TOBIASZ BOCHEŃSKI: TRZASKOWSKI NIE DAJE RADY. PROPONUJĘ RZĄDY ZDROWEGO ROZSĄDKU

KOŁODZIEJSKI: DLACZEGO TUSK NISZCZY CPK

JANECKI: NAUCZYCIEL CZY DONOSICIEL?

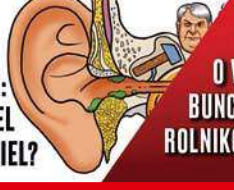

MATUSZAK O WIELKIM BUNCIE ROLNIKÓW

BUDZISZ: CZY KRYM BĘDZIE UKRAIŃSKI

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE

7 (585) 2024
12–18 lutego 2024
CENA: 10,90 zł
(w tym 8% VAT)

BARTŁOMIEJ SIENKIEWICZ
MINISTER KULTURY I DZIEDZICTWA NARODOWEGO

TYLKO U NAS

TAJEMNICE PUŁKOWNIKA SIENKIEWICZA

W WOLNEJ POLSCE ZACZYNAŁ OD WSPÓŁPRACY Z DAWNYMI ESBEKAMI. DZIŚ STOSUJE ICH METODY RODEM Z PRL W WALCE Z WOLNYMI MEDIAMI. KIM NAPRAWDĘ JEST?

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694

NOWA TELEWIZJA W POLSCE PL

OGLĄDAJ NAS

polsat box
wcześniej Cyfrowy Polsat
NA POZYCJI 196

NETIA
NA POZYCJI 192

orange
NA POZYCJI 32

vectra
NA POZYCJI 825

PLAY
dawniej UPC
NA POZYCJACH 339 dekoder Mediabox 121 dekodery KAON i Horizon

www.wPolsce.pl

eprasa.pl 05aed3788f

Niech Tusk powie, dlaczego osłabia Polskę

Trwa intensywna debata publiczna na temat Centralnego Portu Komunikacyjnego i tego, czy powinien on powstać, czy nie. Słyszałem ciekawy komentarz na ten temat w mediach społecznościowych. Brzmiał on mniej więcej tak: „Przestańcie mi mówić o PiS za każdym razem, gdy jest dyskusja o CPK. Podajcie mi merytoryczne powody, dla których warto go zbudować lub dlaczego nie powinnyśmy go budować".

Ten komentarz, który swoją drogą nie pochodził od wyborcy Prawa i Sprawiedliwości, dobrze podsumuje najważniejszy element dyskusji o Centralnym Porcie Komunikacyjnym.

Ludzie po prostu nie postrzegają CPK jako projektu jednej partii (choć faktem jest, że powstał on jako idea PiS), ale jako przedsięwzięcie, które powinno służyć Polsce, jej sile gospodarczej i politycznej, niezależnie od tego, która partia rządzi. Projekt ten powinien służyć wszystkim obywatelom, niezależnie od tego, na jaką partię głosowali. I jest to fakt. Oczywisty dla wszystkich ludzi o zdrowym rozsądku.

„Jeśli chcemy odgrywać znaczącą rolę, a wiemy, że jesteśmy w środku tych systemów, między wielką chińską gospodarką, która bez wątpienia będzie parła na zachód, a interesami innych graczy, którzy chcieliby wziąć w tym udział, to z tego punktu widzenia CPK wydaje się projektem absolutnie kluczowym. Nie tylko jako lotnisko, smart city, infrastruktura wokół tego. Ale z perspektywy strategicznej, dalekosiężnej Polski wydaje się absolutnie kluczowy" – odpowiedział były szef Sztabu Generalnego Wojska Polskiego gen. Rajmund Andrzejczak na pytanie, czy trzeba budować CPK. Jest to jeszcze jeden głos w obronie tego projektu. I to człowieka, którego dziś, po spektakularnej i szkodzącej PiS dymisji w finale kampanii wyborczej, trudno oskarżyć o mocne związki z obecną opozycją.

Coraz więcej jest takich głosów, które widzą w Centralnym Porcie Komunikacyjnym to, czym on naprawdę jest – urzeczywistnioną wizję Polski jako ważnego i silnego gracza w Europie. A także sposobem na skokowe uporządkowanie systemu komunikacyjnego naszego państwa, w oparciu o sieć szybkich kolei i dróg ekspresowych.

Fakt ten bardzo utrudni rządowi Donalda Tuska sabotaż projektu CPK. Piszę „sabotaż", bo po ostatnich posunięciach Tuska trudno to nazwać inaczej. Jak wyjaśnić powołanie do zarządu CPK osoby, która od dawna otwarcie sprzeciwiała się temu projektowi, czyli Dariusza Kusia?

Tusk musi teraz usprawiedliwić swoją politykę i będzie to bardzo trudne zadanie. Bo jak wytłumaczyć swoim wyborcom, że robi coś, co szkodzi Polsce i jej strategicznym interesom? Pomysł, że coś trzeba zniszczyć, tylko dlatego, że powstało za czasów PiS, może zadowolić jedynie wąskie grono jego wyborców. Sektę, która nie jest zainteresowana niczym innym, jak tylko nienawiścią. Ale i jej rewolucyjny zapał w końcu osłabnie. Paradoksalnie za czasów rządów PiS miliony Polaków przyzwyczaiło się do ambicji swojego państwa, nawet jeżeli nie byli sympatykami, delikatnie mówiąc, rządów Szydło czy Morawieckiego.

Wcześniej czy później wszyscy Polacy, zarówno ci, którzy głosowali na rządzącą koalicję, jak i ci, którzy poparli inne formacje, zobaczą w niszczeniu CPK to, czym jest ono naprawdę. Zobaczą celowe osłabienie Polski i deptanie jej rozbudzonych ambicji. Rzeczywiście, Tusk będzie się musiał nieźle napracować, żeby wytłumaczyć wyborcom, dlaczego osłabia Polskę. Patrząc na rozwój debaty w tej sprawie widać, że napotyka silny opór. Taki, którego się nie spodziewał. I dlatego będzie raczej kluczył i powoli wygaszał projekt, niż od razu go likwidował. Już słyszymy ze strony Platformy Obywatelskiej: „Dzisiaj nie ma dyskusji, czy CPK powstanie. Dzisiaj jest dyskusja, kiedy i w jakiej konfiguracji".

Opinia publiczna nie może jednak nabrać się na tę sztuczkę. Jest ona zbyt czytelna.

Goran Andrijanić

Autopromocja

eprasa.pl 05aed3788f

SIECI

spis treści

36 Seksualnie wyedukowani
Dorota Łosiewicz

40 Koniec balu u Strzępki
Jakub Augustyn Maciejewski

49 Rosyjski spisek w Katalonii
Małgorzata Wołczyk

NA POCZĄTEK

6 SYGNALISTA NADAJE
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 LEPIENIE MARSZAŁKA
Krzysztof Feusette

9 CPK, CZYLI RACJA STANU
Dorota Łosiewicz

10 ŚWIATOWE ŻYCIE
redaguje Konrad Kołodziejski

12 DEMOKRACJA BEZPRAWIA
Jan Pietrzak

12 PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU
Dominik Zdort

13 WOJNA PO–PIS JAKO CYWILIZACYJNY KONFLIKT
Bronisław Wildstein

14 WALIZKA PAWŁA PŁOSKIEGO
Michał Korsun

16 OGNIEM NA WPROST
Andrzej Rafał Potocki

17 HISTORYCZNE ANALOGIE
Marta Kaczyńska-Zielińska

18 ŻULCZYK, WSTAWAJ!
Samuel Pereira

TEMAT TYGODNIA

20 SŁUŻBY, KASA I ZERO KULTURY
Marek Pyza

KRAJ

25 Z TOBIASZEM BOCHEŃSKIM
rozmawia Michał Karnowski

30 KRÓL JEST NAGI
Konrad Kołodziejski

33 NAUCZYCIEL CZY DONOSICIEL?
Stanisław Janecki

36 SEKSUALNIE WYEDUKOWANI
Dorota Łosiewicz

40 KONIEC BALU U STRZĘPKI
Jakub Augustyn Maciejewski

ŚWIAT

43 CZY UKRAINA ODZYSKA KRYM?
Marek Budzisz

46 UKRAINA: ROZKŁAD SYSTEMU WŁADZY
Jan Rokita

49 ROSYJSKI SPISEK W KATALONII
Małgorzata Wołczyk

52 WIELKI BUNT
Dariusz Matuszak

54 ZARZĄDZANIE STRACHEM
Aleksandra Rybińska

OPINIE

56 KONGO WPŁYWA DO TYBRU
Grzegorz Górny

SIECI KULTURY

59 GWIAZDORSKIE CIOSY
Jolanta Gajda-Zadworna

62 ARYSTOKRACJA DEMOKRACJI
Robert Tekieli

63 WOJNA CYWILIZACJI
Robert Tekieli

64 KOKTAJL KULTURALNO-POLITYCZNY
Maciej Walaszczyk

SPORT

68 ROZMOWA Z PAWŁEM TARNOWSKIM
żeglarskim wicemistrzem świata

PODRÓŻE

72 MOJE SZLAKI: MATTHEW TELLER
Jolanta Gajda-Zadworna

KUCHNIA

73 SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

74 CYRK HOŁOWNI
Wojciech Reszczyński

76 BULDOŻER
Aleksander Nalaskowski

77 NA PRZEDWIOŚNIU, Z HEJNAŁEM…
Leszek Długosz

78 CZYJA BĘDZIE?
Katarzyna Zybertowicz

Reklama | 40/0124/F

eprasa.pl 05aed3788f

Narodowy Bank Polski informuje:

Złoty dobrze służy polskiej gospodarce.

Polska rozwija się znacznie szybciej niż kraje, które przyjęły euro.

Łączny wzrost realnego PKB od I kw. 2004 r. do III kw. 2023 r. w wybranych gospodarkach

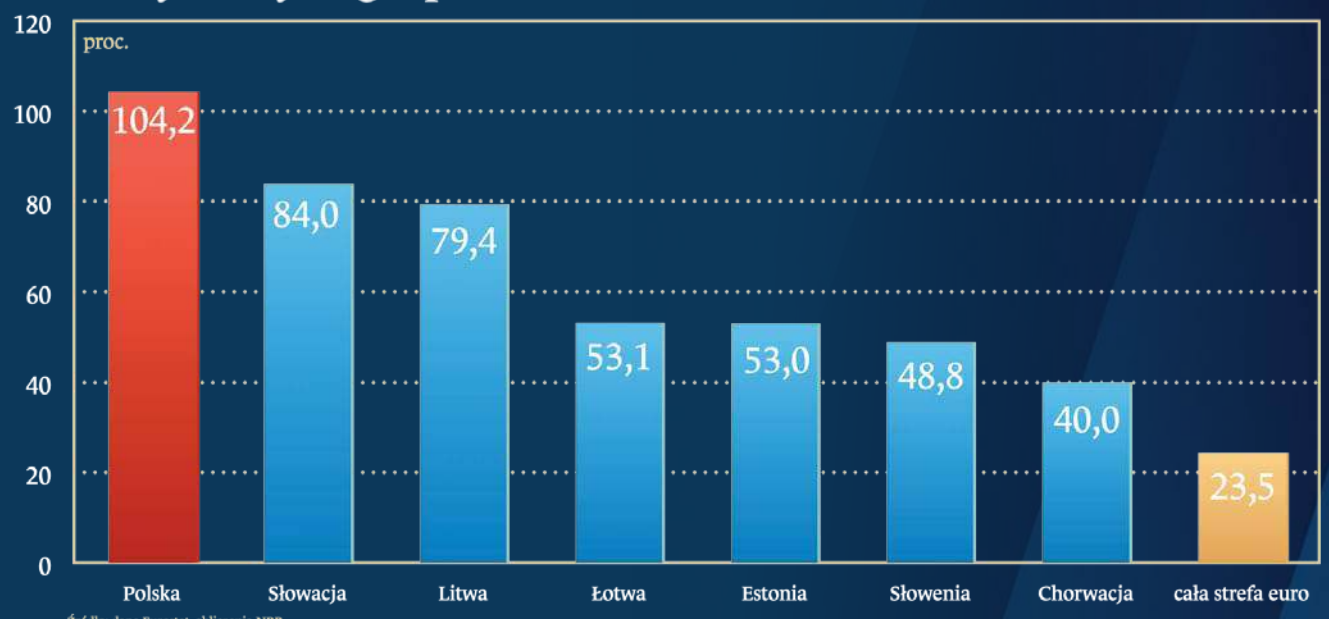

Źródło: dane Eurostat, obliczenia NBP.

nbp.pl

eprasa.pl 05aed3788f

Sygnalista nadaje

Znowu puszczają nam ten straszny film: premier ***Donald Tusk*** wpada na kilka dni do Warszawy, potem pędzi odpocząć na narty. „Włoskie wakacje Tuska. Premier szusuje w Dolomitach" – zachwyca się „Fakt". W międzyczasie kilka złośliwych wpisów w internecie i koniec roboty. Media zachwycone „nową jakością rządzenia". Tylko w krajach postkomunistycznych możliwe jest tak infantylne podejście do polityki, z czekającymi nas potężnymi wyzwaniami i wojną tuż za granicą. I pomyśleć, że jego poprzednik Mateusz Morawiecki wypruwał sobie żyły, by jeszcze jedną sprawę pchnąć do przodu, coś tam poprawić, ściągnąć kolejną zagraniczną inwestycję.

Ci mają najwyraźniej inny pomysł: oni inwestycje zagraniczne, te prawdziwe, a nie złodziejski wykup rynku, będą wypychali. Zostanie wyłącznie niemiecki kapitał. Dotyczy to także inwestycji infrastrukturalnych. Pogrywają z atomem, portami, Centralnym Portem Komunikacyjnym. Do władz spółki mającej ją budować wprowadzani są przeciwnicy tego tak potrzebnego projektu, po mediach rozprowadzane są bzdurne argumenty, a pełnomocnik rządu Tuska ds. budowy CPK ***Maciej Lasek*** publicznie go atakuje! Wywodzi, że „jedno, wielkie, centralne lotnisko to jest też jedno, wielkie, duże zagrożenie", to z punktu widzenia militarnego problem, bo trzeba je bronić. W tej logice najbezpieczniej będzie na pustyni. Może o to chodzi?

Dobierają się do Orlenu. Najpierw ujawnili pierwszą odkrytą „zbrodnię" byłego już prezesa Daniela Obajtka: spotykał się z dziennikarzami! Rzucono publice listę zbrodniarzy, którzy go odwiedzali, z dokładną rozpiską, kto ile razy tam był. Czytelnicy „Sieci" sami mogą sobie to policzyć, bo efektem takich wizyt były wywiady – tematów nie brakowało. Ale to drobnostka. Bardziej niepokoi rzucone przez rządową prasę hasło „demonopolizacji" Orlenu, która miałaby go „naprawić". Czytaj: szykują wyprzedaż, pewnie za bezcen. Ponawiamy pytanie: co im Polska zrobiła, że tak jej nienawidzą?

Najsmutniejsze, że wszystko to jest możliwe dzięki oszustwu o „trzeciej drodze", która miała przełamywać stary konflikt polityczny, a w efekcie pozwala Tuskowi na dowolne bezprawne ekscesy. „Czy wezmą Trybunał Konstytucyjny? Czy to też »załatwią uchwałami?«" – zapytano w nowej telewizji wPolsce.pl (zapytają państwo swojego operatora kablowego o tę stację) Jana Rokitę. „Szczerze mówiąc, nie bardzo jest co rozważać, odpowiedź jest prosta: tak". A NBP? „To będzie skomplikowane, zabiorą się do tego później. Teraz wymyślają, jak to zrobić i jeśli dostaną zgodę Europejskiego Banku Centralnego, to tak". A prezydent? Jego będą, w opinii publicysty, próbowali lekceważyć. Dodajmy, że tak być nie musi. Ale może to zatrzymać tylko mobilizacja polskiej opinii publicznej.

„Tygodnik Powszechny" za to wciąż w innym świecie. Z okładki patrzy smutna, zatroskana twarz ***Adama Bodnara***, od dawna zawodowego polityka, podpisana absurdalnym tytułem: „Jak obywatel wchodzi do polityki". Po pierwsze, wszedł już dawno,

eprasa.pl 05aed3788f

jeszcze jako Rzecznik Praw Obywatelskich, potem kandydat PO w wyborach na senatora. Po drugie, redakcja nie zauważa tego, co inne media III RP nawet podkreślają: pan Bodnar bez mrugnięcia bierze na siebie „brudną robotę" bezprawnego rzekomego „przywracania praworządności". I 100 zmyślonych oraz zamyślonych okładek tego nie zmieni, tak zostanie zapamiętany.

Może lepiej pójdzie innym nowym twarzom w polityce? Na giełdzie trzy nowe nazwiska: gen. Rajmunda Andrzejczaka, byłego szef Sztabu Generalnego Wojska Polskiego, tego samego, który trzy dni przed ostatnimi wyborami z hukiem podał się do dymisji, chcąc czy nie chcąc, pomagając Tuskowi. Dziennikarza i trochę już celebryty Krzysztofa Stanowskiego (jako jedyny sam to zapowiedział) oraz cenionej za profesjonalizm i lubianej za wyjątkowy styl dziennikarki i menedżerki mediów Doroty Gawryluk (ani nie zdementowała, ani nie potwierdziła). Czy to na serio? A jeśli tak, to czy spełnią nadzieję? Jedno jest pewne: gorzej od Hołowni w tej wielkiej grze o Polskę wypaść się nie da.

Nowe, rzekomo czystej wody neomedia państwowe rozpędzają się. Próba wejścia do Sejmu, miejsca ich pracy, przez posłów Kamińskiego i Wąsika opisana została tak: „Kamiński i Wąsik próbują wedrzeć się do Sejmu". Ronald Reagan został „Reganem". No i niemal nie ma programu bez pary gejów, których trzeba podziwiać. Z kolei z Radia Szczecin została zwolniona dziennikarka Joanna Gralka, która, jak przekonuje w mediach społecznościowych, napisała tekst o kolejnych próbach uchylenia immunitetu senatora Tomasza Grodzkiego przez prokuraturę. „Nie bez powodu informacja zniknęła ze strony Radio Szczecin poranku. Na życzenie pana likwidatora. Kilka godzin później zostałam zwolniona" – stwierdziła dziennikarka. Wygląda na to, że immunitet pana Grodzkiego w nowych czasach się rozszerza – teraz obejmuje zakaz pisania o sprawie.

W porannym programie TVP zagościła pani radca prawny z Warszawy, która zachwalała tzw. flipowanie, czyli kupowanie mieszkań w celu ich szybkiej sprzedaży. Sprawę skomentował w rozmowie z wPolityce.pl aktywista miejski Jan Śpiewak. „Na pewno jest to wyraz hegemonii ideologicznej i finansowej tej grupy społecznej. Oni już mogą przychodzić do programu telewizji publicznej i zwyczajnie zachwalać »czyszczenie« mieszkań, często z lokatorów. To pokazuje, że ten deweloperski system jest bardzo zdegenerowany. Każda władza go wspierała, a przy tej władzy wydaje się, że już nie muszą specjalne udawać". Celnie ujęte – przy tej władzy wiele grup interesu nie będzie musiało niczego udawać.

Notujemy ku pamięci haniebne zachowanie tzw. mediów branżowych, piszących o sprawach medialnych. Jeden z tytułów głosi: „Mocne wejście Tomasza Pietraszaka do TVP3 Bydgoszcz. Dziewięć osób zniknęło z anteny". Faceta wprowadził na stołek, nie mając do tego prawa, ppłk Bartłomiej Sienkiewicz, facet dokonuje zwykłej czystki, ale opisywane to jest jako „mocne wejście". Genialny patent!

Wizyta polskiej pary prezydenckiej w Afryce to nie tylko wiele spotkań o charakterze polityczno-gospodarczym oraz rozmowy i wizyty w wielu placówkach, w których osoby duchowne i świeckie troszczą się o najsłabszych. Ludzie opozycji natychmiast rozpoczęli jednak heheszki z wizyty na Czarnym – w ich oczach niewartym zainteresowania i uwagi – Lądzie. Celnie skomentował to publicysta Dawid Wildstein: „Zobaczyliśmy, jak bardzo powierzchowna jest ta »postępowość« i »europejskość« naszej elitki. Tymczasem to banda prymitywnych troglodytów. Ilość rasistowskiego syfu, jaki wylał się z trolli PO, z »oświeconych« fanatyków Tuska i Hołowni, jest wprost niebywały. Hue hue, niech zostanie z dzikusami, uga uga, małpa pojechała do małp etc. etc., nawet nie chcę przytaczać tego szamba nienawiści, jakie się wylało i wciąż leje". Też nie będziemy przytaczać. Ważny wniosek.

W tej zabawie nie chodzi przecież o prawdziwą walkę z rasizmem czy seksizmem – to tylko pałka. To, co jeden z drugim naprawdę myślą o Murzynach i kobietach, już kiedyś usłyszeliśmy na taśmach. Dlatego celebryci i politycy bez wstydu latają prywatnymi samolotami na „szczyty klimatyczne", a władcy miast rozjeżdżają się limuzynami, zwykłym ludziom likwidując możliwość zaparkowania auta przy okazji wizyty u lekarza czy odwiezienia rodziny na dworzec. W Stanach Zjednoczonych lewicowi ekstremiści znaleźli właśnie nowego wroga: jedna z organizacji broniących praw zwierząt nalega, aby największy producent urządzeń rozrywkowych w Kansas zaprzestał sprzedaży karuzel z motywami zwierzęcymi. „Karuzele o tematyce zwierzęcej celebrują wykorzystywanie zwierząt" – oskarża. Koniec z kucykami nawet na karuzelach? Ci ludzie naprawdę zamierzają zniszczyć ten świat. Obawiamy się, że w Polsce za chwilę zakażą powiedzenia „koń by się uśmiał", bo stygmatyzuje konie. Korzystajmy więc, póki można!

Fot. Andrzej Skwarczyński, Andrzej Wiktor x2

eprasa.pl 05aed3788f

Lepienie marszałka

KRZYSZTOF FEUSETTE

– Halo? Czy to pan przewodniczący? To znaczy, przepraszam, pan premier Rady Ministrów, ojej, co ja mówię, Lubnauer tak gada i mi się udzieliło... Halo?
–...
– Halo? Czy mnie słychać? Ja dzwonię z Wiejskiej, taka ulica w Warszawie, okrągły budynek, czy mogę mówić?
–...
– Halo! Marszałek mówi! No, żesz, k... jego mać, żadnego szacunku dla drugiej osoby w państwie? Halo? Jak mnie słychać?!
– Słucham?
– Pan premier? Donald, to ty?!
– A do kogo dzwonisz, chłopcze? Przecież mam cię w kontaktach. Od razu mi się wyświetla „Beksa" i włącza: „Płacz, maleńka, płacz, masz to u mnie od dziś". Czego chcesz?
– Czy pan premier, jego ekscelencja, słońce jednego z krajów Ameryki Południowej, co ja mówię, jednego, całej Ameryki, to znaczy Południowej, pojawi się dziś pod Sejmem?
– Ja?
– No, tak. Bo mi się wydaje, że jednak powinienem poczekać.
– Na co?
- No, na opinie. Sąd Najwyższy każe mi wznowić mandat Wąsika. Państwowa Komisja Wyborcza pyta, jakim prawem wygasiłem mandaty. Ja jestem za krótki, panie premierze...
– Słucham? Sorry, ale tutaj słabo słychać, a ja akurat bramki mijam...
– Sejmowe? Zablokowali pana premiera?! Ja im dam, tym hołownianym żołnierzykom! To ma być Straż?
– Nie „Straż", nie „Straż", bo się... Sam wiesz, co.
– To co, będzie pan premier na sali?
– Kochany, obecnie to ja jestem na nartach. Takie dwie deski równoległe, kojarzysz?
– Oczywiście. Jak u Małysza.
– Tyle że ja nie skaczę. I ty też nie próbuj. Powiem ci tak: w tych moich Donaldomitach, to znaczy Dolomitach, jest tak pięknie, że nawet paparazzi z „Faktu" nie przeszkadzają. Ja już tu byłem, jak Anodina raport po Smoleńsku ogłaszała, więc miejsce mi się dobrze kojarzy. Najważniejsze, że wnuki przyjechały. No i tak sobie razem ustalamy strategię na Polskę.
– Czyli, że nie będzie pana, jak będziemy blokowali?
– A co konkretnie?
– No, wejście do Sejmu Wąsikowi i Kamińskiemu, jak pan kazał.
– Oj tam, ty wszystko bierzesz na poważnie. Czekaj, bo mi się gogle obsunęły... Niczym się nie przejmuj. Przyjdzie czas, że zrozumiesz politykę. Pytanie tylko, czy nie będzie za późno. Jak u Rafała, na przykład...
– A co, nie startuje?
– Kto to może wiedzieć, gdzie pójdzie lunatyk, kiedy się przebudzi? Kopaczowej na lotnisku nie widziałeś? Tak ją w Rosji zaprogramowali, że przez ogrodzenie szła. Gdyby nie Angela...
– To by pan przewodniczący królem Rady Europejskiej nie został.
– A ty chcesz startować?
– W jakim sensie?
– Do mnie chcesz startować? Biłeś się na podwórku, że teraz takiego kozaka chcesz rżnąć?
– Ja nikogo nie rżnę...
– Wystarczy. Nie zapędzaj się, tylko mierz siły na liczbę głosów. Wyniki pierwszej rundy i tak są praktycznie przesądzone.
– Ja i Rafał?
– Ani ty, ani on. Osobiście będę nadzorował proces wyłaniania wspólnego kandydata...
– Z całym szacunkiem, ale na pewno nie będę ryczał, a już na pewno nie przed kamerą. Pragnę jedynie zwrócić uwagę pana przewodniczącego, iż to pan się mylił, nie ja. Kto marudził o jednej liście?
– Wyluzuj, synku, bo ci ego strzeli. I my, i wy, chociaż wy to my, a my to nie wy, co rozumie każdy, kto choć raz głosował w wyborach powszechnych – mamy swoje za uszami. Natomiast powaga chwili dziejowej, bo dzieje się dużo, wymaga od nas, obrońców Konstytucji, przywracaczy praworządności, podeptania prawa i uchylenia sprawiedliwości. Wróć, dużymi literami mówię, Prawa i Sprawiedliwości... Swoją drogą, patrzcie, co za perfidia wyszła z Kaczyńskiego, że takie pojęcia sobie zawłaszczył. Na szczęście nasze wartości rodowe, w sensie tego, skąd nasz rój, to znaczy ród, są zupełnie inne. „Obywatelska" – oto nasze słowo klucz do serc obywateli. Przykro powiedzieć, ale to jedno hasło nam zostało z czasów opozycyjnych. Bo „J...bać PiS" to już obciach. „Wyp...lać" – też już trochę nie wypada, prawda?
– No, właśnie. Bo w sumie, to kto by teraz miał „wyp...alać"? My?
– Widzisz, jak szybko się uczysz? Ale teraz musisz stawić czoło historii.
– Czemu czoło?
– Tak się mówi. Podołasz?
– Oczywiście. Ja w TVN nie takim koziołkom podoba... połaby... podoła... bywałem... K..., nie dam rady tego powiedzieć...
– Nie szkodzi. Ważne, że poznałeś własne ograniczenia. A to w polityce jest najważniejsze. Szczerze? Ja np. swoich jeszcze nie poznałem, a trzeci raz jestem premierem. Łapiesz?
– Ale co?
– Nic, akurat śnieżkę rzucałem... To jak? Sejm bez barierek, co?
– K..., Donald... weź, bo się posikam ze śmiechu. Ty to masz poczucie humoru, nie, no, rozwaliłeś mnie totalnie...
– No i fajnie. Kończę, bo mi się storczyk w budkę wciska...
– Czyli, że nie wpuszczamy?
– A kogo? Czekaj, bo mi kijki wypadły... Ech, ty już nie masz kiedy dzwonić, tylko jak ja szusuję na stoku, unikając medialnego rozgłosu? Potem będziesz zdziwiony, że mnie maluchy pytają: dziadku, a kiedy marszałka ze śniegu ulepimy? Dobra, kończę, a ty zjeżdżaj...
– Tak jest.
– Do wnuka mówiłem. Pa.

eprasa.pl 05aed3788f

CPK, czyli racja stanu

Ciekawe, że łatwiej propagować akcję zbierania podpisów za CPK, niż przekonać premiera własnego rządu, że tu chodzi o polską rację stanu

Już nie tylko kwestie mieszkaniowe, temat aborcji, antykoncepcji awaryjnej czy kwestia list w wyborach samorządowych dzielą koalicję 13 grudnia. Coraz głośniej wybrzmiewa też spór o Centralny Port Komunikacyjny.

Nie widać końca draki o program mieszkaniowy rządu pomiędzy Lewicą a Trzecią Drogą. Dopłaty do kredytów nie podobają się Lewicy, która chce budowy tanich mieszkań pod wynajem. „Nie wierzę. Minister Hetman, pytany o krytykę dopłat do kredytów, chwali się, że będzie aż 1 mld na budownictwo społeczne. 1 mld na program podażowy. Przecież to ostatnia rzecz, którą można się chwalić w dobie kryzysu mieszkaniowego. Nawet w 2023 r. było 1,65 mld i było to śmiesznie mało" – napisała na platformie X (d. Twitter) Dorota Olko, rzeczniczka partii Razem, które to ugrupowanie do rządu nie weszło, ale go wsparło.

Z kolei Paulina Matysiak, także z partii Razem, głośno pytała w Sejmie przedstawicieli rządu o przyszłość CPK. Jej zdaniem nowa koalicja rządząca powinna kontynuować projekt.

„Dla wielu to, że jeszcze nie rozpoczęły się żadne prace, nie została wbita przysłowiowa łopata w ziemię oznacza, że nic nie zostało zrobione. To nieprawda. W spółce została wykonana ogromna praca przez ekspertów, fachowców, którzy myślą w propaństwowy sposób – mówiła Matysiak. – Ja bym chciała, żebyśmy dzisiaj usłyszeli o tym, czy ten projekt będzie kontynuowany, bo to jest polska racja stanu, żeby nasz kraj mógł się rozwijać. To jest jedna istotna rzecz, która powinna nas na tej sali łączyć ponad podziałami. CPK powinien być narzędziem zrównoważonej polityki transportowej, która jest niezbędna dla osiągnięcia celów klimatycznych i ona realizuje cele klimatyczne UE. Warto o tym pamiętać" – mówiła z mównicy sejmowej polityk tuż po tym, jak zszedł z niej pełnomocnik rządu ds. CPK Maciej Lasek.

W swoim wystąpieniu stwierdził on m.in.: „Wszyscy wiemy, że ani jedna łopata w CPK nie została wbita. Sprzątamy po was, teraz musimy ten projekt urealnić, dlatego wykonujemy audyt. [...] Może źle pan zrozumiał skrót CPK. Tu nie chodziło o Centralny Program Komunikowania Propagandy Sukcesu. Potęgę buduje się nie za pomocą milionowych wydatków na reklamę. W Baranowie stała pusta łąka, a w mediach społecznościowych radziliście, jak podróżować z CPK ze swoim pieskiem. Jesteśmy na początku audytu, ale powiem, że w 2023 r. ponad 1,8 mln zł wydaliście na kampanię prowadzoną we wrześniu i październiku" – mówił Lasek. Pełnomocnik rządu ds. CPK odniósł się także do sprawy bezpieczeństwa związanego z inwestycją. Stwierdził, że jedno centralne lotnisko może stanowić duże zagrożenie dla Polski w obliczu polityki prowadzonej przez Rosję. „Możemy powiedzieć, że zbudujmy tam Żelazną Kopułę, ale może powinniśmy bronić Warszawy i innych miast?" – stwierdził Lasek.

Na jego wystąpienie ostro zareagowała w mediach społecznościowych Anna Maria Żukowska, szefowa klubu parlamentarnego Nowej Lewicy. Posłanka wspiera projekt i propaguje w mediach społecznościowych akcję „TAK dla CPK". Tylko dla przypomnienia dodam, że Nowa Lewica w przeciwieństwie do partii Razem weszła do rządu, więc nie tylko jak koledzy z klubu popiera rząd w głosowaniach, lecz także zwyczajnie go współtworzy. „Chłopie, wiesz co to jest Żelazna Kopuła?" – zapytała Żukowska pełnomocnika z własnego rządu. W kolejnym wpisie odniosła się do wypowiedzi Laska w kontekście budowy antyrakietowej bazy w Redzikowie: „Kiedyś czytałam, że nie, bo Rosja od razu będzie wiedzieć, w co celować".

Wcześniej Żukowska wielokrotnie wspierała CPK. „Polska potrzebuje dużej elektrowni jądrowej oraz dużego centrum transportowego" – mówiła w Radiu Wnet posłanka, która pod koniec stycznia dołączyła do zespołu parlamentarnego „Tak dla rozwoju. CPK – atom – porty", utworzonego przez Marcina Horałę (PiS), byłego pełnomocnika rządu ds. inwestycji w Baranowie. W zespole tym zasiada także Paulina Matysiak z partii Razem. Ciekawe, że łatwiej propagować akcję zbierania podpisów za CPK, niż przekonać premiera własnego rządu, że tu chodzi o polską rację stanu.

Dorota Łosiewicz

Kino politycznie poprawne

USA

Ogłoszono nominacje do tegorocznych Oscarów. Do rywalizacji o statuetkę zgłosiło się 321 filmów, ale dopuszczono 256 produkcji. Pozostałe mogły być arcydziełami filmowymi, wyróżniać się grą aktorów, zdjęciami lub muzyką, ale nie spełniały nowych, cenzorskich kryteriów rodem ze świata totalitarnych utopii.

Najwięcej nominacji, bo aż 13, otrzymał „Oppenheimer" Christophera Nolana. Poza tym w czołówce znalazły się „Biedne istoty", „Czas krwawego księżyca" i „Barbie". Regulamin zmieniono cztery lata temu, a od br. nowe reguły funkcjonują już w pełni. Aby ubiegać się o Oscara, film musi spełnić choć jeden z poniższych warunków. Przynajmniej jeden z odtwórców głównych ról lub znaczącej roli drugoplanowej nie może być biały. Przynajmniej 30 proc. aktorów w drugoplanowych i epizodycznych rolach musi reprezentować co najmniej dwie spośród tych grup: kobiety, mniejszości rasowe, osoby LGBT+, osoby z niepełnosprawnością fizyczną lub intelektualną, niedosłyszące. Ewentualnie główny wątek fabularny musi być związany z co najmniej jedną spośród tych grup. Do tego dochodzą „standardy dotyczące ekip i zespołów twórczych" oraz „kontaktów z widownią". Nowych wymagań nie spełniły m.in. „Ant-Man i Osa: Kwantomania" Marvela, „Taylor Swift: The Eras Tour", „Twórca" oraz „Inwestorzy amatorzy".

Mimo to poprawność polityczna jest odrzucana przez widownię, co boleśnie odczuli właściciele Disneya, którzy zaangażowali miliony dolarów w wojnę kulturową. Dziś rozrywkowy gigant mierzy się z największymi stratami w historii, sięgającymi 750 mln dol. Chodzi o 13 ostatnich produkcji filmowych. Disney Studio znalazło się w ogniu krytyki m.in. z powodu wątków homoseksualnych w filmach dla dzieci, takich jak np. „Dziwny świat" i „Buzz Astral".

Disney, który indoktrynuje ideologicznie widzów na Zachodzie, łatwo ulega za to presji chińskiej cenzury. Koncern usunął z platformy w Hongkongu jeden z odcinków „Simpsonów" z powodu wzmianki o chińskich obozach pracy. W Chinach czujnie ingerują w treść filmów. Dwa lata temu zablokowano tam premierę filmu „Thor: Miłość i grom", bo był naszpikowany nawiązaniami do transpłciowości i homoerotyką. Zresztą nie chodzi tylko o cenzurę. W ostatnich pięciu latach gwałtownie spadła widownia amerykańskich filmów w Chinach. Okazało się, że Chińczycy nie są zainteresowani oglądaniem produkcji zbudowanych według reguł „inkluzywności". Również w Ameryce wolą oglądać filmy pozbawione ideologii, czego dowodem był ogromny sukces kasowy drugiej części „Top Gun". Niestety takich filmów jest dziś na Zachodzie coraz mniej.

Maciej Walaszczyk

Plaga kradzieży

Kanada

Kanada robi międzynarodową karierę, ale nie taką, o jakiej marzyli jej obywatele. Według Interpolu, międzynarodowej organizacji zajmującej się ściganiem przestępczości, stała się jednym ze światowych centrów kradzieży samochodowych.

Gangi zajmujące się tym procederem wybrały Kanadę ze względu na niskie kary za tego rodzaju przestępstwa i słabą ochronę granicy. Umożliwia to szybki przerzut skradzionych samochodów, które trafiają w kontenerach głównie do Afryki. Środki z ich sprzedaży są potem przeznaczane na finansowanie handlu narkotykami.

Według Interpolu rocznie na świecie kradnie się 7,8 mln samochodów i ta liczba gwałtownie wzrasta. W ub.r. w Kanadzie, gdzie mieszka 38 mln osób, skradziono 127 tys. samochodów (dla porównania w Polsce w 2022 r. było to 6 tys.). W pierwszej połowie ub.r. prowincja Ontario zanotowała wzrost kradzieży aut o 31 proc., a Quebec – o 17 proc. Rok wcześniej w obydwu prowincjach było to aż 50 proc. Jak alarmują ubezpieczyciele, codziennie kradnie się w Kanadzie 200 samochodów (najpopularniejsza jest Honda CR-V), a w Toronto w porównaniu z 2015 r. odnotowano 300-proc. wzrost liczby kradzieży aut.

Problem stał się na tyle palący, że rząd Justina Trudeau planuje odbyć „narodową debatę" poświęconą kwestii, jak radzić sobie z plagą kradzieży samochodów. Towarzystwa ubezpieczeniowe tylko w czterech kanadyjskich prowincjach musiały w ub.r. wypłacić ponad 1 mld dol. odszkodowań za skradzione pojazdy, co odbija się na wysokości składek opłacanych przez wszystkich posiadaczy samochodów.

Badania opinii publicznej przeprowadzone na obszarze wielkiego Toronto (miasto wraz z przedmieściami) wskazują, że obecnie 73 proc. ankietowanych jest zaniepokojona sytuacją i domaga się energicznych działań władz. Opozycja proponuje zaostrzenie kar i odejście od liberalnego sposobu ich egzekwowania. Pierre Poilievre, lider będących w opozycji kanadyjskich konserwatystów, powiedział, iż złodziej nie może odbywać kary, „siedząc w swoim salonie i oglądając Netfliksa". Tym bardziej że za kradzieżami aut nie stoją drobni złodzieje, lecz zorganizowane gangi, które pozyskują w ten sposób środki na handel narkotykami, co jest znacznie poważniejszym zagrożeniem.

Marek Budzisz

Fot. Songquan Deng/Shutterstock.com

eprasa.pl 05aed3788f

Odległy front

Sudan

Ukraina prowadzi zmagania z Moskwą nie tylko na własnym terytorium, lecz także w odległej Afryce. W internecie pojawiły się ostatnio filmy wskazujące, że ukraińskie służby specjalne biorą udział w sudańskiej wojnie domowej, walcząc tam przeciwko rosyjskim najemnikom.

Na filmie opublikowanym przez „Kyiv Post" widzimy przesłuchanie rosyjskiego jeńca i dwóch sudańskich rebeliantów. Rosjanin twierdzi, że jest byłym członkiem Grupy Wagnera i przybył do Sudanu z Republiki Środkowoafrykańskiej, aby wesprzeć rebelię. Nagranie ma pochodzić z ukraińskiego wywiadu wojskowego. Z tego samego źródła pochodzi też inny film pokazujący nocne przeszukanie pojazdu wojskowego gdzieś w Afryce. Zamaskowani członkowie ukraińskich sił specjalnych pokazują rosyjskie dokumenty, które znaleźli przy zwłokach martwego żołnierza leżącego w samochodzie.

Wcześniej w sieci pojawiały się inne filmy z Sudanu, m.in. przedstawiające białego snajpera polującego na rebeliantów, który został opisany jako Ukrainiec. Udokumentowano też ataki dronów na oddziały rebelianckie. Zdaniem specjalistów taktyka działania tych dronów do złudzenia przypominała stosowaną przez wojska ukraińskie przeciwko Rosjanom.

Pojawienie się takich nagrań w sieci jest wiązane ze spotkaniem prezydenta Ukrainy Wołodymyra Zełenskiego z szefem sudańskiej armii Abdelem Fattahem al-Burhanem, do którego doszło we wrześniu 2023 r. w Irlandii. „Omawialiśmy nasze wspólne wyzwania dla bezpieczeństwa, a mianowicie działalność nielegalnych grup zbrojnych finansowanych przez Rosję" – powiedział wówczas Zełenski.

W sudańskim konflikcie zbrojnym, który wybuchł w kwietniu 2023 r. i pochłonął już ponad 10 tys. ofiar, Ukraina wsparła gen. al-Burhana. Jego rywalem jest gen. Mohamed Hamdan Dagalo, szef Sił Szybkiego Wsparcia – muzułmańskich bojówek, utworzonych 10 lat temu do zwalczania rebelii w Darfurze. Obaj generałowie w 2021 r. wzięli udział w obaleniu cywilnego rządu, który powstał po upadku reżimu Umara al-Baszira. Jednak nie potrafili podzielić się zdobytą władzą i doszło między nimi do konfliktu, który przerodził się w otwartą wojnę domową.

W walkach po stronie gen. Dagalo bierze udział grupa rosyjskich najemników wywodzących się z Grupy Wagnera. Niedobitki wagnerowców działają w Sudanie w ścisłym porozumieniu z Kremlem, dlatego władze w Kijowie zdecydowały się wysłać przeciwko nim siły specjalne. Ma to być element szerszej kampanii, uderzającej w globalne interesy Moskwy. I choć potyczki w odległym Sudanie nie wpłyną na przebieg wojny na Ukrainie, to jednak mogą mieć spory walor psychologiczny, pokazując determinację Kijowa w walce z rosyjskim agresorem.

Konrad Kołodziejski

Fot. Karasev Viktor/Shutterstock.com

Na zwolnionych obrotach

Włochy

Lewicowe władze 400-tys. Bolonii postanowiły, że ich miasto zostanie pionierem zielonej transformacji, dając przykład całemu światu. 16 stycznia jako pierwsze w Europie wprowadziły ograniczenie prędkości dla samochodów do 30 km/h. Do tej pory taki limit obowiązywał w szczególnych sytuacjach, jak niebezpieczne odcinki drogi, bliskość szkół, brak chodników, skrzyżowania bez sygnalizacji świetlnej, nietypowe zwężenia czy duże wzniesienia. Rada miejska rozciągnęła jednak ów zakaz na 70 proc. wszystkich ulic w mieście.

Powyższa decyzja została oprotestowana przez ministra infrastruktury Matteo Salviniego, który zaskarżył ją do sądu. Jego zdaniem nałożenie tak dużego ograniczenia prędkości jest sprzeczne z obowiązującym kodeksem drogowym, przewidującym, że kierowca nie może jechać zbyt wolno, aby nie utrudniać ruchu. Wprowadzony limit powoduje zaś zatory na drogach, a także jest szkodliwy z ekologicznego punktu widzenia.

Ministrowi w sukurs przyszło stowarzyszenie prawników Arbitrium, które uważa, że zmiany spowodują pojawienie się nowego zagrożenia drogowego. Chodzi o zjawisko zwane „zezem kierowcy", gdy osoba prowadząca auto jest zmuszona co chwila patrzeć jednym okiem na drogę, a drugim na licznik, by nie przekroczyć dozwolonej prędkości. Poza tym, jak zauważają eksperci, nakaz jazdy z szybkością do 30 km/h wywoła większe zanieczyszczenie powietrza niż do tej pory. Emisja spalin zmniejsza się bowiem dopiero przy prędkości 50 km/h dla samochodów benzynowych i 70 km/h dla aut na olej napędowy. Nowe przepisy zwiększają też ryzyko uszkodzeń pojazdów spowodowane wyłącznym używaniem pierwszego i drugiego biegu.

Sprawa znajdzie swój finał w sądzie, na co czekają kierowcy nie tylko w Bolonii. Mieszkańcy innych włoskich miast obawiają się bowiem, że wyrok korzystny dla rady miejskiej ośmieli inne władze lokalne do wprowadzania podobnych ograniczeń.

Grzegorz Górny

Fot. Andrzej Skwarczyński

eprasa.pl 05aed3788f

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Demokracja bezprawia

Jan Pietrzak

Kiedy Sejm łamie prawo, rząd popiera bezprawie, sędziowie wydają wyroki z sufitu... jak my, szaraki - nieboraki, mamy postępować? W dodatku Unia Europejska, która przez lata karciła Polskę za brak praworządności, w ogóle nie zwraca uwagi na destrukcję naszej konstytucji. Co gorsze, z Brukseli płyną opinie o wyższości prawa europejskiego nad krajowym. Nikt jednak nie wie dokładnie, jak ono brzmi i wygląda, ponieważ władcy UE nie krępują się w narzucaniu swoich niedorobionych projektów zdominowanym, bezradnym Europejczykom. Robią to *ad hoc*, bez rozgłosu, bez bawienia się w demokratyczne procedury.

W sumie widzimy postępującą anarchizację społecznych relacji i poczynań, wylewającą się z sal parlamentarnych, ministerialnych gabinetów na płonące ulice i zaorane autostrady. Anarchia matką porządku! Wraca stare hasło, które do niczego dobrego nie doprowadziło. Pozwalało jedynie najbardziej agresywnym środowiskom, w pewnym momencie, przez pewien czas na dominację, na poczucie siły. A po co tym dominatorom, politykom, partiom czy państwom jakaś szczególna siła? Po prostu niczym innym nie dysponują. Zwłaszcza żadną nową myślą.

A stabilna demokracja jest bardzo wymagająca. Np. na naszym podwórku należy odróżniać ustawę od uchwały, cenić różnorodność poglądów, bo jest cechą wolnych narodów, ale też rozumieć istotę wspólnego mianownika, mówiąc górnolotnie: kochać „ten kraj" i jego mieszkańców. Podaję te słowa w cudzysłowie, bo tak mówią ludzie, którzy demonstrują swój dystans do „tego kraju". Nie utożsamiają się z polskością, a nawet jej nienawidzą, co jest nazywane ojkofobią.

Kilka lat temu, przyznaję, nie znałem tego greckiego słowa. Także pojęcie demokracji liberalnej nie było szerzej znane. Peerelowska propaganda lansowała dwa typy demokracji: ludową i socjalistyczną. Za Bieruta, Gomułki mówiło się o krajach demokracji ludowej, za Gierka, Jaruzelskiego o obozie socjalistycznym. Kiedy patrzę obecnie na osobników uważających się za liberałów, tacy z nich liberałowie, jak z komuchów demokraci. Bardzo sobie bliscy. Na sztandarach mogliby nieść ten sam imperatyw programowy: OSZUSTWO I ZŁODZIEJSTWO. Tak z grubsza biorąc, prezentuje się demokracja bezprawia, nasz obecny ustrój.

Dominik Zdort

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Punkt widzenia

Każda władza chce pozostawić po sobie coś trwałego. Niekoniecznie ustawy, bo ich wyborcy nie czytają, a następcy mogą przepisy zmienić. Nawet tak wielkie przedsięwzięcie, jak „cztery wielkie reformy" koalicji AWS-UW – dotyczące administracji, emerytur, oświaty i zdrowia – z czasem zostały częściowo lub całkowicie rozmontowane, uchowała się tylko ta pierwsza, skądinąd najbardziej szkodliwa i podminowująca fundamenty polskiej państwowości. Monument, który wybudowali sobie Jerzy Buzek i Leszek Balcerowicz, padł w gruzy, choć nieco mniej efektownie niż warszawski pomnik Feliksa Dzierżyńskiego.

Trwalsze od ustaw i od pomników są budowle. Co znaczące: im są większe, tym trwalsze. Oczywiście i ich można się pozbyć, jeśli jest społeczna determinacja, jak było w II RP z soborem św. Aleksandra Newskiego, symbolem rusyfikacji, monumentalną cerkwią, która stała na stołecznym pl. Saskim (dziś pl. Piłsudskiego).

Rosjanie już jako Sowieci przebili swoich antenatów i postawili Pałac Kultury i Nauki im. Józefa Stalina. Były propozycje rozebrania tego symbolu moskiewskiego władztwa nad Polską, ale chyba wpływy Kremla w Warszawie wciąż są zbyt znaczące i gmach nadal stoi.

Wracając na pl. Piłsudskiego, ale nie tylko tam. Poprzednia władza też chciała po sobie zostawić ślad, czerpiąc z historycznych tradycji. Trochę z Edwarda Gierka, który odbudował Zamek Królewski, a trochę z Eugeniusza Kwiatkowskiego, który zasłużył się dla rozbudowy portu w Gdyni. Powstały plany rekonstrukcji pałacu Saskiego i stworzenia Centralnego Portu Komunikacyjnego.

Wyborcy są jak złote rybki w akwarium – mija kilka miesięcy i już nie pamiętają, co mówiło się parę miesięcy temu. A warto przypomnieć, że dużo się mówiło. Liczni politycy ówczesnej opozycji krzyczeli, że to „megalomańskie pomysły PiS" i zapowiadali, że nie będą ich kontynuować.

Dziś już wiemy, że pałac Saski będzie odbudowywany, bo, jak powiedział minister kultury Bartłomiej Sienkiewicz (który wcześniej głosował przeciw ustawie o rekonstrukcji gmachu), „tam jest ołtarz ojczyzny, Grób Nieznanego Żołnierza".

Teraz czytamy, że także inny megalomański pomysł nowej władzy się podoba – budowa CPK będzie trwać. W sumie trudno się dziwić: nie po to na szefa inwestycji powołuje się zasłużonego propagandystę, żeby miał zaraz stracić pensję.

Jak zawsze punkt widzenia zależy od miejsca siedzenia. Czasem: niestety. Czasem: na szczęście.

eprasa.pl 05aed3788f

BRONISŁAW WILDSTEIN

Wojna PO–PiS jako cywilizacyjny konflikt

Podobno Polacy mają dość starcia PO–PiS. Należy wyjść poza duopol tych partii. Wojna Kaczyńskiego i Tuska blokuje polską politykę. Czytam te i podobne deklaracje ze strony głównie „prawicowych publicystów", gdyż publicyści bezprzymiotnikowi (w każdym razie według własnej nomenklatury) wiedzą tyle, że PiS trzeba wykończyć – i dumam nad ograniczeniem owych tęgich głów.

W rzeczywistości wojna PO–PiS to refleks fundamentalnego, cywilizacyjnego starcia, którego rezultat wyznaczy losy ludzkiej cywilizacji na pokolenia, a które rozstrzyga się właśnie dziś. Konflikt ten nie musi być reprezentowany w Polsce akurat przez te ugrupowania, ale o ile wymiana partii Tuska na inną, wykreowaną przez establishment i pełniącą identyczną funkcję jest sprawą banalną – cały czas zresztą obserwujemy powoływanie kolejnych politycznych bytów, które PO wspierają, a w sytuacji kryzysowej mogą ją zastąpić – o tyle przejęcie roli PiS przez inne, odwołujące się do pokrewnych idei stronnictwo, może być niezwykle trudne, co pokazuje doświadczenie zachodniej Europy.

Dzieje się tak dlatego, że wprawdzie ugrupowanie Kaczyńskiego kontynuuje klasyczną europejską konserwatywną orientację polityczną, ale właśnie ona została unicestwiona na całym Zachodzie, a zwłaszcza na naszym kontynencie przez zwycięską rewolucję. Nie był to krwawy przewrót bolszewickiego typu. Przez ostatnich kilkadziesiąt lat rewolucja przebiegała w Europie pokojowo i bez naruszania procedur demokracji, chociaż doprowadziła do wydrążenia jej z treści. Na naszym kontynencie nadal funkcjonują instytucje, które tworzyły jego specyfikę. Tyle że zaczynają one znaczyć coś radykalnie innego niż jeszcze kilkadziesiąt lat wcześniej, a regulatywne idee, obyczaje i normy kulturowe stają się zaprzeczeniem tego, co obowiązywało jeszcze pół wieku temu. Europejska prawica została skolonizowana przez liberalną lewicę i dziś różni się od niej wyłącznie nazwami, twarzami liderów oraz tempem wprowadzanych zmian.

Na oficjalnej, publicznej scenie kontynentu nie ma już sił, które przeciwstawiają się ideologii emancypacji oraz przeprowadzanej pod jej sztandarami rewolucji. Nie dotyczy to wyłącznie środowisk politycznych, ale najszerzej rozumianych instytucjonalnych elit, które tworzą dziś jednorodny oligarchiczny układ.

Przywykliśmy rozumieć władzę w sensie politycznym, ale to jedynie jej coraz mniej znaczący element, który funkcjonuje obok wielkiego biznesu, potężnych korporacji (szczególnie sędziowskiej) czy ośrodków opiniotwórczych, w tym mediów. Władza polityczna, która jest jednak wybierana, a więc może wymknąć się z rąk, jest coraz bardziej ograniczania, a tym samym pozostawia coraz większe uprawnienia ośrodkom niewybieranym. Dokonywane jest to głównie przez rozbudowę systemu prawnego, który narzuca coraz bardziej restrykcyjne ograniczenia dla polityki i coraz głębiej interweniuje we wszelkie dziedziny życia pozbawiając ludzi autonomii. Realna demokracja przekształca się w jej pozór, którym jest demokracja liberalna.

W tym stanie rzeczy ogół, który nie akceptuje narzucanej sobie ideologii nie dysponuje instytucjami, które wyartykułowałyby jego niezgodę, a już zwłaszcza takimi, które reprezentować by go mogły w sferze politycznej. Niemniej protest wobec coraz mocniejszej presji ideologicznej i utraty wolności poszukuje reprezentantów i powoduje powstawanie nowych ugrupowań określanych w oficjalnym dyskursie jako populistyczne. Ich walka o zaistnienie jest niezwykle trudna, gdyż mają one przeciw sobie nie tylko establishment polityczny, lecz także całość oligarchicznego układu, który blokuje próby krytyki i wysiłki na rzecz zmiany *status quo*.

W Polsce mechanizmy są identyczne, a nawet szczególnie trudne dla tych, którzy przeciwstawiają się postkomunistycznemu układowi, ale jednak PiS przebiło się już na scenę polityczną i stanowi jedną z jej najważniejszych sił. Nie istnieją ani dziś, ani w bliskiej perspektywie stronnictwa zdolne przejąć jego rolę, a rozpad partii Kaczyńskiego spowodowałby ofensywę establishmentu, który mógłby wyeliminować jego kontynuatorów. Dlatego ci, którym droga jest europejska cywilizacja i liczą, że w naszym kraju ciągle możliwa jest jej obrona, powinni zrobić wszystko, aby PiS przetrwało w naszym politycznym pejzażu. Nie znaczy to zablokowanie krytyki tej partii czy prób jej reformy.

Konflikt PiS–PO to nie konkurencja demokratycznych ugrupowań. PO nie odgrywa żadnej podmiotowej roli. Jej lider i realny twórca Donald Tusk to skrajny cynik, który w 2005 r. licytował się na konserwatyzm z Kaczyńskim, a po przegranej dokonał zwrotu o 180 st., aby stać się reprezentantem ideologii emancypacji. Partię ukształtował na swój obraz i podobieństwo. Może być ona zastąpiona przez dowolną inną, która bronić będzie interesów oligarchii. Natomiast PiS stanowi dziś w Polsce niezbywalny element demokracji.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 05aed3788f

Walizka Pawła Płoskiego

dyrektora Muzeum Karykatury w Warszawie, wykładowcy warszawskiej Akademii Teatralnej

Jeżdżę mniej, niżbym chciał i niżby trzeba było. Podróże służbowe przeplatają się z prywatnymi. Częściej w miejsca już znane. Przy okazji wyjazdów od zawsze staram się znaleźć czas na wizytę w galerii sztuki czy muzeum. Kiedyś mój syn skwitował to bezsilną uwagą: „Tata zaraz znajdzie kolejne muzeum i będzie chciał wejść". No, nie jest aż tak! Mam za to inną słabość. Jako teatrolog zawsze ciągnę towarzyszy podróży pod gmach teatru, jeśli tylko się dowiem, że jakiś jest w pobliżu. Nazywam to „theatrespottingiem". Niezależnie od tego, czy to stolica czy 15-tys. miasteczko. (Wiem, że nie jestem w tym hobby osamotniony).

SCYZORYK

Od 20 lat zawsze ze mną. Ostrza stale czyszczę, ale statystycznie w ostatnim czasie najczęściej używam korkociągu.

LEKTURY

Zawsze biorę do walizki za dużo książek. Czytam kilka na raz, więc nie wiem, na którą będę miał chęć. Ostatnio „Burza i zwierciadło" Krzysztofa Mrowcewicza, pyszna powieść epistolarna na zmianę z „Odrzanią" Zbigniewa Rokity (sam jestem z Prus Wschodnich). Zawsze jednak dobieram coś jeszcze. Do tego buszuję w księgarniach odwiedzanych miast.

PAPIERY I TECZKI

Umowy, raporty, projekty – do roboczej lektury w podróży. Tu na wierzchu projekt plakatu najnowszej wystawy „Rok pod kreską", która podsumowuje 2023 r. w satyrze.

Fot. Michał Korsun

eprasa.pl 05aed3788f

POWERBANK
Nigdy nieużywany. Ale pakowany na wszelki wypadek, gdyby telefon padał.

KARTA ICOM
ICOM, czyli Międzynarodowa Rada Muzeów. Karta członkowska to skarb muzealnika. Pozwala swobodnie i na ogół bezpłatnie korzystać ze wspaniałych muzeów na całym świecie.

PARASOL, RĘKAWICZKI
Zawsze, gdy używam, pilnuję się, żeby nie zgubić. Oczywiście miesiąc temu parasol został na przystanku. Teraz jest nowy. A ulubiona rękawiczka wypadła ze zbyt wypchanej kieszeni. Tutaj osierocona rękawiczka. Przedmioty po prostu traumatyczne.

KOMIKS
Muzeum Karykatury otwiera się na sztukę komiksu. Latem organizujemy warszawską wystawę Grzegorza Rosińskiego, twórcy Thorgala. W naszym oddziale Lengrenówce – dawnej pracowni Zbigniewa Lengrena – organizujemy warsztaty i spotkania komiksowe, a ostatnio nawet komiksowe dysputy. „Festiwalowi" Jacka Świdzińskiego poświeciliśmy spotkanie tuż po premierze. Czuliśmy, że to jest coś! Mamy satysfakcję, widząc, że to jedna z najważniejszych książek ub.r.

NOTESY
Używam kilku na raz, do różnych tematów. Co bywa kłopotliwe, gdy jest za dużo spraw na raz.

ULOTKI
To jest chyba mania. Zabieram z hoteli, muzeów, teatrów. Z Berlina przywiozłem 1,5 kg. Szukam ciekawostek oraz inspirujących projektów. Chcę się dowiedzieć, czym żyje miasto. Zawsze obiecuję sobie przejrzeć uważnie po powrocie...

KATALOGI
W podróż służbową zawsze biorę wydawnictwa Muzeum Karykatury. Szczególnie że ostatnio wydaliśmy wspaniałe prace Bohdana Butenki – dla małych i dużych. Pamiątka wspaniałej wystawy, którą odwiedziło 10 tys. widzów. Na ubiegłoroczny jubileusz 45-lecia Muzeum przygotowaliśmy specjalny zeszyt „Zwykłego Życia", poświęconego „Szpilkom" i humorowi.

Wysłuchał Michał Korsun

eprasa.pl 05aed3788f

OGNIEM NA WPROST

I po generale

Andrzej Rafał Potocki

Dywersanci HUR, czyli Głównego Zarządu Wywiadu Ministerstwa Obrony Ukrainy pod szefostwem Kyryło Budanowa, hasają po Kacapii jak zające po łące. W mieście Engels, gdzie znajduje się wielokrotnie atakowana dronami rosyjska baza bombowców strategicznych i dalekiego zasięgu, odstrzelili jednego z pilotów Tu-95, dowódcę załogi bombowca, który ostrzeliwał rakietami terytorium Ukrainy. Następnie w kosmos poleciała instalacja ELOU-AVT-5 w rafinerii w Wołgogradzie (oddana w ub.r.), która była dość istotnym elementem procesu rafinacji ropy naftowej. W Moskwie są nieco zaniepokojeni, bo uderzenia sięgają coraz dalej w głąb terytorium Rosji, a wymierzone są głównie w rafinerie, składy paliw i infrastrukturę naftową. Zaatakowano już sześć rafinerii. W efekcie eksport rosyjskiej ropy spadł o jedną trzecią w stosunku do stycznia ub.r., a w lutym będzie gorzej. W Moskwie otwarcie mówi się o zakazie eksportu ropy, co oznacza także zmniejszenie się wpływów do budżetu, w którym już brakuje pieniędzy. Z kolei w Łysyczańsku rakiety Tryzubów precyzyjnie trafiły w kawiarnię „Adriatyka", w której bawili się oficjele bantustanu Ługandy (tzw. Ługańska Republika Ludowa) wraz z tamtejszym ministrem sytuacji nadzwyczajnych Aleksiejem Poteleszczenką. Rosjanie, którzy rok z okładem temu podczas podobnej sytuacji z byłym szefem Roskosmosu rżnęli głupa, że to przypadek, teraz nie ukrywają, że ktoś musiał naprowadzić rakiety. Akurat Łysyczańsk to ta część Ługańszczyzny, na której od początku działa partyzantka, a pierwszego zamachu na okupantów dokonano kilka dni po zajęciu przez Moskali miasta.

W jednym z ostatnich dni na froncie doszło do 59 starć – poinformował Sztab Generalny Sił Zbrojnych Ukrainy. Najcięższa sytuacja jest na kierunku Awdijiwki, gdzie, jak podaje sztab, Ukraińcy odparli aż 31 ataków. Rosjanie byli tam wspierani przez swoje lotnictwo. Moskale krzyczą głośno, że w Awdijiwce zajęli 19 domów, ale obszar ten nadal jest szarą strefą. Natomiast chytre Ruskie w południowej części miasta wleźli do rury ściekowej z koksowni i idąc w kucki, przeszli na tyły wojsk ukraińskich, zmuszając je do odwrotu i oddania rejonu restauracji „Carskie polowanie". Ukraińcy kontratakowali i zablokowali Rosjanom tę drogę, ale samej restauracji jeszcze nie odbili. Trwają walki. Jednak manewr wyjścia na ukraińskie tyły przez rurę zachwiał ukraińskimi pozycjami, tak że w zasadzie zaczęła się sypać cała obrona. Nawet najwięksi optymiści nie wierzą już w utrzymanie Awdijiwki i porównują sytuację z Bachmutem. Być może miasteczko zostanie utrzymane do wyborów prezydenckich w Rosji, żeby nie robić Putinowi prezentu, ale utrata tej pozycji jest w zasadzie pewna.

Jak donoszą niektóre światowe media, rosyjski satrapa i zbrodniarz wojenny Władimir P. nie żyje. Spekulacje o śmierci dyktatora pojawiają się w ostatnim czasie coraz częściej, ale mimo że w przestrzeni publicznej padła nawet dokładna godzina jego śmierci podana przez rosyjskiego analityka politycznego Walerija Solowieja, to Kreml zaprzecza tym doniesieniom. „Władimir Putin umarł" – czytamy we wpisie Solowieja. Jego zdaniem śmierć miała nastąpić w czwartek 26 października o godz. 20.40. „Ostatecznie i nieodwołalnie. Upokarzające, prawda, ale całkowicie zasłużone. Nie ma wątpliwości co do jego fizycznej śmierci" – podkręca info Solowiej. O śmierci Putina informował już wcześniej na Telegramie kanał Generał SVR. „Prezydent Rosji Władimir Putin zmarł dziś wieczorem w swojej rezydencji w Wałdaj. O godzinie 20.42 czasu moskiewskiego lekarze przerwali reanimację i stwierdzili zgon" – napisano. Jednak według mnie – powtórzę tu za Markiem Twainem: „The report of my death was an exaggeration" (Wiadomość o mojej śmierci była przesadzona), dodając za wspomnianym autorem tych słów: „Oczywiście, że umieram. Ale nie umieram szybciej niż ktokolwiek inny".

Natomiast z pewnością nie jest przesadzona wiadomość o dymisji głównodowodzącego Siłami Zbrojnymi Ukrainy gen. Wałerija Załużnego. Podpisał ją Zełenski. Jednak za odwołaniem stał szef gabinetu prezydenta Andrij Jermak. Czekał tylko na dobry moment, żeby formalnie dokonać odwołania. Z nieoficjalnych przecieków wynika, że generał faktycznie niczym już nie dowodzi i został odsunięty od podejmowania decyzji. W mediach ukraińskich zaczęła się nagonka na Załużnego. Nie stawia mu się żadnych zarzutów, tylko bredzi, że „zużył się wizerunkowo". Jakby w przypadku dowodzącego to było kluczowe. Tymczasem pół roku temu w urodziny generała ukraińska armia, a konkretnie 93. Brygada „Chłodnyj Jar" – ta, która bohatersko broniła części Bachmutu, z okazji jego urodzin śpiewała mu tak: „Bat'ko nam Załużny sierce u tiebia". Naprawdę wierzycie krawaciarze z Kijowa, że dymisjonując bohatera, ocalicie stołki?

Współpraca: „Skipper"

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 05aed3788f

Historyczne analogie

Marta Kaczyńska-Zielińska

Cesarstwo Rzymskie było jednym z najważniejszych i najbardziej wpływowych imperiów w historii. Jego język, kultura, prawo, sztuka i architektura wywarły wpływ na rozwój cywilizacji nazwanej łacińską. Przez większą część historii Rzymu rządem państwa była republika. Upadek cesarstwa to długi proces, trwający kilka stuleci. Do dziś naukowcy spierają się o to, kiedy rozpoczął się postępujący rozpad państwa rzymskiego i jakie były jego przyczyny. W powszechnej świadomości zasadniczy wpływ na upadek cesarstwa wywarły plemiona barbarzyńskie.

W II w. Cesarstwo Rzymskie posiadało rozwinięty rynek ze stosunkowo wolnym handlem. Daniny były niskie, a odgórne regulacje miały niewielki wpływ na obroty. W III w. zaczęła się inflacja. Zdając sobie sprawę z negatywnego wpływu tego zjawiska, cesarz Konstantyn Wielki zdecydował się na przeprowadzenie reformy walutowej, którą wprowadzono przed najazdem barbarzyńców w V w. Sztucznie zaniżone ceny doprowadziły do niedoborów żywności, głównie w miastach. Mimo regulacji prawnych mających na celu zapobieganie wyludnianiu się miast, nieuchronnie następował spadek liczby ludności z obszarów zurbanizowanych do obszarów wiejskich. Ludność decydowała się na przekwalifikowanie i porzucenie handlu na rzecz rolnictwa. Przy utrzymywanych wysokich podatkach nastąpił spadek obrotów handlowych, spadek innowacyjności i dochodów państwa. Z czasem nastąpił kryzys rolnictwa, powodowany przez najazdy i nadmiernie obciążenia fiskalne.

Historycy Arnold J. Toynbee i James Burke wskazują, że wewnętrzny system cesarstwa był „zgniły" i wymagał naprawy. Potrzebne były rewolucyjne reformy, których żaden cesarz nie był w stanie przeprowadzić. Rzymianie nie mieli ustabilizowanego systemu budżetowego, co doprowadziło do marnowania wszelkich zasobów. Gospodarka była nastawiona na wyzysk, który prowadzono na bogatych, podbitych terytoriach. Tam wprowadzono wysokie podatki, co doprowadziło drobne gospodarstwa albo do ubóstwa, albo do uzależnienia od wpływowych elit.

Ponieważ główne źródła finansowania armii były ograniczone, państwo musiało nakładać podatki na obywateli rzymskich. Wraz z rosnącą presją ludów barbarzyńskich na granice cesarstwa wzrosła także potrzeba finansowania armii. Okazywało się, że armie barbarzyńców bywały nie tylko bardziej liczne, ale również lepiej wyposażone niż Rzymianie. Z upływem lat ludność rzymskich miast zaczęła postrzegać Rzymian jako okupantów, wyzyskujących swoich poddanych, a barbarzyńców jako wyzwolicieli.

Wzrosło też bezrobocie, ludzie tracili majątki i głodowali. Władze próbowały rozwiązać problem głodu poprzez pomoc społeczną, a problem bezrobocia – zatrudniając ludzi do budowy budynków użyteczności publicznej, na które przeznaczano ogromne środki.

Upadek Rzymu był następstwem splotu złożonych wydarzeń. Państwo nękały liczne kryzysy, które miały miejsce w tym samym czasie: regres gospodarczy, społeczny, najazd Germanów, wyludnienie Włoch, zależność armii od germańskich *foederati*, zdrada Stylichona, utrata woli walki i inne zdarzenia. Cesarstwo zachodniorzymskie upadło w 476 r.

Cesarstwo wschodniorzymskie, znane też jako Bizancjum, przetrwało aż do 1453 r., do czasu najazdu Turków Osmańskich. W czasach świetności cesarstwa wschodniorzymskiego udało się odzyskać panowanie nad częścią Italii i dawnych ziem zachodnich, m.in. w Hiszpanii i Afryce Północnej. W granicach Bizancjum znajdowała się Jerozolima, doskonale rozwinięte prowincje na Bliskim Wschodzie, Egipt z jednym z najważniejszych ośrodków chrześcijaństwa – Aleksandrią.

Bizancjum odziedziczyło po Rzymie instytucje polityczne, kulturalne i społeczne, a także prawo. Przez wiele stuleci filarem ustawodawstwa bizantyńskiego były dwie kodyfikacje prawa rzymskiego dokonane przez Teodozjusza II i Justyniana (*Corpus iuris civilis*).

Cesarstwo wschodniorzymskie było mocno chrześcijańskie i wielu historyków twierdzi, że właśnie wiara pozwoliła mu na przetrwanie o wiele dłużej niż cesarstwu zachodniorzymskiemu.

REKLAMA

6/0224/F

eprasa.pl 05aed3788f

Żulczyk, wstawaj!

Samuel Pereira

Z zaciekawieniem obserwuję zdziwienie niektórych ludzi tym, że obecna władza zmierza do zablokowania budowy CPK. Naprawdę są takie osoby i sam takie znam, które szczerze się tego nie spodziewały i w ciągu ostatnich dwóch lat wcale nie były zahibernowane albo odcięte od mediów.

Słysząc Donalda Tuska, który utyskiwał na wywłaszczenia albo kpił sobie z nazwy Centralnego Portu Komunikacyjnego (swoją drogą, co mu przeszkadza imię Solidarności?), nie byli w stanie wyciągnąć z tego wniosku, że to tylko pretekst i ucieczka przed tym, żeby wprost powiedzieć: „NIE dla CPK" w kampanii wyborczej. Ostatnim przykładem takiej naiwnej postawy była rozmowa na nowym internetowym Kanale Zero, gdzie Jakub Żulczyk, bożyszcze lemingów od czasu zwyzywania głowy polskiego państwa, załamywał ręce nad doraźną polityką, której ofiarami padają projekty długofalowe, ponadpartyjne i krytyczne dla rozwoju Polski w XXI w., jak elektrownia atomowa. Czyją polityką? On się nie będzie nad tym zastanawiać. Zagłosował na opcję, której ambicje kończą się na wybudowaniu kilku stadionów, a później się dziwi.

Kto zyska, a kto straci na CPK? „Zacznijcie zadawać właściwe, pie...ne pytania" – jakby powiedział bohater serialu „True Detective" Rust Cohle. Nie zaświtało nic w głowie panu Żulczykowi, gdy słyszał, jak w kampanii Tusk sobie kpił z „megalomanii" Jarosława Kaczyńskiego? „Jedwabny Szlak to jest przeszłość" – ogłaszał lider PO w 2022 r., gdy rosyjska spółka kolejowa RŻD Logistics i niemiecka firma DB Cargo chciały przekierować dostawy ładunków z Chin do Kaliningradu i Petersburga, a potem do niemieckich portów.

Tak, powstanie CPK to zagrożenie dla wspólnych interesów Berlina oraz Moskwy i w tym należy szukać źródeł sprzeciwu obecnej władzy wobec tego projektu. To, że będą wymyślać różne preteksty, mówić, że za drogo, że za długo, że może nie tak, że trzeba zrobić audyt i spytać ekspertów nie przykryje tego, że od lat wszyscy poważni analitycy wskazują na konieczność wybudowania takiego portu centralnego i niezrealizowanie tego będzie ich ciężkim grzechem wobec Polski.

Kargul, podejdź no do płota

Fot. Jarosław Sosiński

Z aktorem Karolem Dziubą rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

16 lutego trafi do kin film „Sami swoi. Początek", prequel kultowej sagi („Sami swoi", 1967; „Nie ma mocnych", 1974, i „Kochaj albo rzuć", 1977). Czuje pan presję?

Karol Dziuba: Od kiedy przyłączyłem się do tego projektu, mam świadomość, jak mocno wspomniane filmy są osadzone w pamięci widzów. Jak wiele oczekiwań wywołują. Skupiłem się więc na tym, by jak najlepiej wypełnić powierzone mi zadanie, jak najpełniej wcielić się w postać. Nie mam wpływu na to, jak nasz film, nasze role zostaną odebrane, niezależnie od tego, czy i jak odczuwałbym presję.

Długo zastanawiał się pan, czy zagrać młodego Kargula?

Zgodziłem się natychmiast. Należę do pokolenia, które zna historię Kargula i Pawlaka. Pierwszy raz oglądałem ją na ekranie jako parolatek.

A jak już pan rolę dostał, było ponowne oglądanie?

Oczywiście. Szukałem inspiracji – bo przecież nawiązujemy do kultowej trylogii i stworzonych w niej kreacji (ja do roli Władysława Hańczy, Adam Bobik – Wacława Kowalskiego), ale na żadnym etapie nie pojawiło się kopiowanie. Nawet nie byłoby możliwe. Jesteśmy innymi ludźmi. Nasi bohaterowie znajdują się też na innym życiowym etapie niż w filmach Sylwestra Chęcińskiego.

„Sami swoi. Początek" to debiut Artura Żmijewskiego jako reżysera filmu fabularnego. Jak się w tej roli sprawdził?

Ponieważ już wcześniej reżyserował seriale i spektakle Teatru Telewizji, był przygotowany i od strony technicznej, i artystycznej. Dodatkowo jako aktor potrafił wesprzeć interpretacyjnie. Ale oczywiście był też wymagający.

eprasa.pl 05aed3788f

POWOLNE MEDIA WEDŁUG MICHAŁA KORSUNA

SIECI

ISSN 2544-2694

www.SIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 255 93 32, (22) 255 93 33; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, ADAM CIESIELSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, JAROMIR KWIATKOWSKI, JAKUB MACIEJEWSKI, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, JAN PIETRZAK, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, ROBERT TEKIELI, MACIEJ WALASZCZYK, BRONISŁAW WILDSTEIN, MAŁGORZATA WOŁCZYK, PIOTR ZAREMBA, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA, MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK), ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL, LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOLIŃSKA, KATARZYNA LASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 14.00 – 16.00)
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.SIECIPRAWDY.PL
WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA, W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT. NA OKŁADCE: A.WIKTOR X2, M.KORSUN, A. GLIZ X2, B. ZAWRZEL/REPORTER, R. PIETRUSZKA/PAP, SHUTTERSTOCK, MAT. PRASOWE

TRENDY I OWĘDY

Uśmiechnięta zemsta

Przyszła do nas uśmiechnięta Europa, ale do śmiechu nie jest

Ryszard Makowski

Podstawowym zajęciem obecnej władzy jest udowodnienie, jakim ciemnym okresem w historii Polski był ośmioletni czas rządów PiS. Kobiety cierpiały, dzieci musiały odrabiać lekcje i dostawały laptopy, był COVID-19, niespotykany za Platformy, była pomoc dla Ukrainy i był to czas porażek gospodarczych, czego najlepszym przykładem jest ORLEN. Do tego wszechobecne złodziejstwo, nepotyzm, malwersacje. Izolacja na arenie międzynarodowej w ambasadzie USA i w jakże przychylnej nam Brukseli. Deptanie konstytucji, poniewieranie praworządności, TVP zbudowana na kłamstwie. Było strasznie.

Ciemiężono obywateli, wypłacając im 500+, 13. i 14. emeryturę oraz zwiększając niepotrzebnie dobrą stawkę 3 zł za godzinę. Okazuje się, że żyliśmy w kraju, w którym praktycznie wszystkie instytucje były nielegalne i trzeba je brutalnie zniszczyć. Co ciekawe, wielu postaciom znanym z tolerancji i poszanowania inności polowanie na osoby ośmiogwiazdkowe daje satysfakcję.

Jednak zdarzają się dziwne sytuacje. Gdy do Donalda Tuska dotarła informacja, że córka europosłanki Róży Thun dostała posadę w instytucji podległej ministrowi Krzysztofowi Gawkowskiemu, kazał ją zwolnić, mimo że miała odpowiednie kompetencje. O co chodzi? Jeśli to walka kumoterstwem, to jak teraz obsadzić kilkaset miejsc w SSP? Obcymi? Może to tylko prywatna zemsta i można odetchnąć. Dookoła pachnie zemstą. Zemstą na Polsce, że chciała się dynamicznie rozwijać i być niepodległą. Na to uśmiechnięta Europa nie mogła pozwolić.

eprasa.pl 05aed3788f

Służby, kasa i zero kultury

W wolnej Polsce zaczynał od współpracy z dawnymi esbekami. Dziś stosuje ich metody w walce z wolnymi mediami. W międzyczasie doił państwową spółkę i publikował teksty pełne pogardy dla Polski. Kim naprawdę jest Bartłomiej Sienkiewicz?

MAREK PYZA

Gdy zostawał ministrem kultury i dziedzictwa narodowego, dla wszystkich orientujących się w kulisach środowiska Platformy Obywatelskiej było jasne, że to nominacja krótkoterminowa.

– Spodziewałem się, że wejdzie do rządu, ale obstawiałem raczej resorty spraw wewnętrznych, zagranicznych, może koordynatora specsłużb? To obszary, w których ma rozległą wiedzę i doświadczenie. Ale jego kompetencje w dziedzinie kultury to jedno wielkie zero – mówi nam dawny znajomy Sienkiewicza, jeszcze z czasów demokratycznej opozycji w PRL i Urzędu Ochrony Państwa.

Sienkiewicz dostał od Donalda Tuska tylko jedno zadanie: spacyfikować media publiczne, nieważne, jakimi metodami. Sięgnął więc po jedyne, jakie zna, jeszcze z lat 90. XX w. – siłowe.

Tyle że – jak mówią jego współpracownicy sprzed lat – dawny Sienkiewicz nie pozwoliłby sobie na tak ostentacyjne łamanie prawa.

– Znaliśmy się jeszcze z czasów organizacji Wolność i Pokój. Pamiętam swoje zdziwienie, gdy ktoś mi powiedział, że na Uniwersytecie Jagiellońskim pisał pracę o historii ZSRR. W latach 80. to była rzadkość. Gdy trafiliśmy do UOP, nie pracowaliśmy razem, bo ja wylądowałem w innym biurze. Ale widywaliśmy się, czasem też towarzysko. Wspominam go pozytywnie, jako wesołego, otwartego i porządnego człowieka – opowiada krakowski działacz antykomunistyczny.

– To chyba służby go zepsuły. Wsiąknął w nie bardziej, niż planował. I już z niego nie wyjdą. Kiedyś był ideowcem, pryncypialnym, jeśli chodzi o zasady, prawo. Ile mu z tego zostało do dziś? Sądząc po rozprawie z telewizją, niewiele – wspomina kolejny, również proszący o anonimowość.

Inna postać z tego środowiska, Ryszard Majdzik, przed dekadą mówił „Gazecie Polskiej": „Byłem dumny z faktu, że działa z nami prawnuk wielkiego pisarza, który uczył Polaków patriotyzmu. Nasza walka z komunistyczną dyktaturą wynikała z wiary w te sienkiewiczowskie wartości". Lecz po 1989 r. wszystko się zmieniło: „Komuniści podzielili się wpływami z ludźmi dawnej opozycji. Trzeba było wybierać między patriotyzmem i pieniędzmi. Niestety, Bartłomiej Sienkiewicz wybrał to drugie. Nie jest już moim przyjacielem, bo zdradził patriotyczne wartości, także to, czego uczył jego pradziadek" – dodawał Majdzik.

O pociągu do wielkich pieniędzy i wpływie specsłużb na obecnego ministra kultury jeszcze opowiemy. A co z tym patriotyzmem? Czy idee, którymi napełniał swoich czytelników Henryk Sienkiewicz, żyją w sercu ministra?

POGARDLIWY ESTETA

Zacznijmy od tego, że Bartłomiej Sienkiewicz jest niespecjalnie dumny ze swego pradziada. Gdy przed laty jeździł do Oblęgorka (noblista otrzymał tę posiadłość od narodu, dziś znajduje się tam muzeum Henryka Sienkiewicza), niektórzy mówili do niego „paniczu". Wtedy go to łechtało. Dziś jednak wiemy, że ma letni – mówiąc delikatnie – stosunek do twórczości autora „Trylogii".

Fot. Andrzej Iwańczuk/REPORTER

eprasa.pl 05aed3788f

Zdarzało mu się publicznie przekonywać, że twórczość Henryka to nie tylko „budzenie narodowej dumy", lecz także niezwykła krytyka polskiego społeczeństwa, jak gdyby chciał nadwątlić mit literata, krzepiącego polskie serca. Nie raz postulował, by nie postrzegać autora „Potopu" jednowymiarowo. A w prywatnych rozmowach?

Od jednego z posłów słyszymy taką opowieść: „Spotkał się z pewnym człowiekiem, zachwyconym, że może obcować z potomkiem jednego z największych polskich pisarzy. Gdy ten wyartykułował swoją euforię, natychmiast zdębiał, bo Sienkiewicz szybko zripostował, że pisarstwo jego pradziadka to obciachowe grafomaństwo, którego pan minister się wręcz wstydzi".

W prasowych sylwetkach potomka noblisty niczym mantrę powtarza się frazy o jego talencie publicystycznym, którego koronnym dowodem ma być nominacja do nagrody Grand Press (obiektywnie dawno zdezawuowanej, choć wciąż totemizowanej przez główny nurt środowiska dziennikarskiego). Otrzymał ją za opublikowany w 2011 r. w „Tygodniku Powszechnym" tekst „Ambaras z polskością".

To w jednej połowie pamflet na polską prowincję, w drugiej zaś panegiryk na cześć Platformy Obywatelskiej. Mamy więc w nim akapity obrzydzenia na widoki, które atakują kierowcę wjeżdżającego z Niemiec do Polski: „W mijanych miejscowościach nie widać prawie ludzi, tylko na zdewastowanych przystankach siedzą małolaty, one w legginsach »w panterkę«, oni w dresach i z ogolonymi głowami. Budynki we wszystkich możliwych stylach, zdradzających marzenia właścicieli o nowoczesności, z podobnymi rezultatami jak ubiór małolatów na przystankach. Jeśli mignie coś ładnego – dom, stodoła, leśniczówka, to widać, że zbudowane przed najazdem tej lokalnej odmiany Gotów czy Longobardów, pozostałość po starych rasach, zamieszkujących niegdyś te ziemie".

eprasa.pl 05aed3788f

Polska jest tonącym w nędzy (Sienkiewicz pomija fakt, kto za tę nędzę odpowiada – sąsiedzi ze Wschodu i Zachodu), „krajem jednego wielkiego second-handu w architekturze, ubraniach, samochodach. I zachowaniach: piosenkarka, która nauczyła pokolenie młodych Polek mody i stylu bycia dotąd zarezerwowanych dla dziwek pośledniej kategorii, młodzieńcy, dla których sześciopak »Żubra« w sobotę jest kresem aspiracji do dobrego życia".

Na szczęście – cieszy się Sienkiewicz – nadeszła zmiana, wraz ze zwycięstwem partii Tuska. Zachwyca się „reformami strukturalno-budżetowymi o dalekosiężnych skutkach – zniesieniem emerytur pomostowych, ograniczeniem OFE, zbudowanych na wyrost kosztem budżetu" czy „niedostrzegalnym wydłużeniem czasu pracy (rok wcześniej w szkole to rok dłużej na rynku)", Orlikami, które mają być dowodem na to, że „Polska niedostrzegalnie zaczęła się przesuwać w stronę nowoczesnego państwa", no i budowanymi autostradami, przy których ekrany zasłonią „to wszystko", co kłuje w oczy po przekroczeniu granicy niemiecko-polskiej.

Ten paszkwil na Polskę Sienkiewicz napisał z okazji... Święta Niepodległości.

Nie pierwszy i nie ostatni raz pochodzący ze szlacheckiego rodu (herbu Oszyk) polityk wykazał się taką pogardą. W październiku 2013 r. mówił „Gazecie Wyborczej" o policjantach: „Sami często z patologicznych rodzin, nie potrafią właściwie zareagować na przemoc".

Rok wcześniej po patriotycznym marszu „Obudź się Polsko" stwierdził, że biorący w nim udział są jak „alkoholik pośród śmietnika" i apelował, by z nimi nie walczyć, lecz pomagać.

Jakże trafnie otworzył przed 11 laty artykuł o Bartłomieju Sienkiewiczu „Newsweek", cytując znajomych naszego bohatera: „Ten niepozorny okularnik to twardy zawodnik, nawet brutalny".

ICH CZTERECH

Kolejny cytat sprzed dekady: „Polacy nie cenią państwa, nie rozumieją go, nie potrafią się do niego przywiązać. Nie zdają sobie sprawy, że państwo jest ich jedyną arką, dzięki której nie stają się archaicznym plemieniem, i że o państwo trzeba dbać. Trzeba je pielęgnować i je wzmacniać, nie dlatego że samo w sobie jest wartością. Państwo jest tylko narzędziem albo rodzajem osłony dla ludzi, którzy tutaj żyją. Dla moich rodaków".

> To chyba służby go zepsuły. I już z niego nie wyjdą. Kiedyś był ideowcem, pryncypialnym, jeśli chodzi o zasady, prawo. Ile mu z tego zostało do dziś? Sądząc po rozprawie z telewizją, niewiele – wspomina krakowski działacz antykomunistyczny

Czyżby właśnie ta marna opinia o Polakach pchnęła go do brutalnej rozprawy z mediami publicznymi? Czy liczył na to, że demolując prawo, zachowa bezkarność, że rodacy się nie upomną o pryncypia? Inna sprawa, że ostatnie tygodnie w jego wykonaniu to totalne zaprzeczenie wszystkiemu, co powiedział o konieczności dbania o państwo.

Powyższy cytat pochodzi z wydanej w 2014 r. książki „Czterech" autorstwa Grzegorza Chlasty, zawierającej wywiady ze współtwórcami Urzędu Ochrony Państwa – poza Sienkiewiczem chodzi o nieżyjącego już Konstantego Miodowicza, a także Piotra Niemczyka i Wojciecha Brochwicza.

Ten ostatni to przyjaciel obecnego ministra. Siedział nawet za kierownicą mercedesa, który przywiózł do krakowskiego kościoła dominikanów Berenikę, by ta wyszła ze świątyni z podwójnym nazwiskiem Kluczykowska-Sienkiewicz. W latach 80. w Białymstoku Brochwicz był sekretarzem ds. kształcenia ideologicznego i propagandy zarządu wojewódzkiego Związku Socjalistycznej Młodzieży Polskiej, prowadził też kursy dla kandydatów do PZPR.

W latach 90. został zaś dyrektorem w UOP, później odnalazł się również na wielu wysokich stanowiskach (zastępca komendanta Straży Granicznej, wiceminister spraw wewnętrznych i administracji, doradca premiera, prezesa NBP, szefa MSW). Po latach Ludwik Dorn powiedział o nim, że jest „uosobieniem wszystkich patologii służb specjalnych". To w związku z aferą wokół Włodzimierza Cimoszewicza, a właściwie prowokacją wymierzoną w kandydata SLD na prezydenta w 2005 r. W czasie prac komisji śledczej ds. afery Orlenu Brochwicz przyprowadził do Konstantego Miodowicza (zasiadał w komisji jako poseł PO) Annę Jarucką, byłą asystentkę Cimoszewicza, która zeznała, że na polecenie szefa wykreśliła z jego oświadczenia majątkowego informację o posiadanych akcjach PKN ORLEN. Skandal spowodował wycofanie się Cimoszewicza z prezydenckiego wyścigu, politycy SLD mówili o „sfałszowaniu wyborów" i „zamachu stanu", a Jarucka po latach została skazana za podrobienie podpisu Cimoszewicza, posłużenie się fałszywym dokumentem i składanie fałszywych zeznań.

Brochwicz zaś robił karierę w biznesie (pracował m.in. dla Ryszarda Krauzego i Aleksandra Gudzowatego) oraz prowadził własną kancelarię prawną.

Ostatni z czwórki, Piotr Niemczyk, od końca lat 70. współpracował z opozycją. Po odejściu z UOP próbował sił w polityce (był sekretarzem generalnym Unii Wolności, należał do Partii Demokratycznej, a z list Nowoczesnej bezskutecznie kandydował do Sejmu). Doradzał też ministrom i sejmowej speckomisji. Ale przede wszystkim prowadził biznes – założył jedną z pierwszych w Polsce wywiadowni gospodarczych.

SŁUŻBIŚCI

Wszyscy czterej panowie zwykle są wymieniani obok siebie w publikacjach dotyczących Urzędu Ochrony Państwa jako architekci tej służby specjalnej (wszyscy też później znaleźli się albo w PO, albo w jej bliskiej orbicie). Nic więc dziwnego, że wszyscy są bohaterami książki „Czterech". W dość po-

eprasa.pl 05aed3788f

wszechnej opinii to publikacja, w której nie padają najtrudniejsze pytania o kulisy funkcjonowania UOP i weryfikacji dawnych esbeków. A czterech dawnych funkcjonariuszy może się gładko tłumaczyć z budowania służb specjalnych wolnej Polski na funkcjonariuszach SB.

„Innych ludzi wtedy nie miałem. Cały wydział wschodni powstał z byłych funkcjonariuszy. Ja ich wybierałem podczas weryfikacji" – beztrosko przyznaje Brochwicz. Sam Sienkiewicz zaś przekonuje, że w zasadzie to ta weryfikacja nie była potrzebna: „W Polsce nikogo nie trzeba było bardzo namawiać, żeby przestał służyć Moskwie".

I tak właśnie powstawał Urząd Ochrony Państwa, przez pierwsze dwa miesiące jeszcze z ministrem Czesławem Kiszczakiem jako nadzorcą. Później już pod opieką Krzysztofa Kozłowskiego, którego popiersie wciąż stoi na dziedzińcu MSWiA.

UOP lat 90. to więc misz-masz starej ubecji i żółtodziobów z opozycji, którym zabrakło determinacji do należytego rozprawienia się ze spuścizną PRL. To chroniczna niemoc wobec rozkradania narodowego majątku i uwłaszczania się na nim postkomunistycznych sitw wraz z częścią „nowych elit". To wreszcie liczne prowokacje i działania wymierzone w obóz patriotyczny, a także – czego najlepszym przykładem jest działalność zespołu płk. Jana Lesiaka – inwigilacja ugrupowań prawicowych i rozbijanie ich, zresztą bardzo skuteczne, co obrazują np. wyniki wyborów w 1993 r.

„Zbrodnia Sienkiewicza i jego kolegów polega na tym, że podżyrowali i zaakceptowali to, co stworzyli im komuniści. Cieszyli się ze stanowisk, które zajmują, i zgodzili się na to, że nie będą budować służb specjalnych takich, jakie powinna mieć wolna Polska. Zbudowali je na zasadzie kontynuacji pomiędzy służbami PRL a III RP i oddali pod kontrolę ludziom komunistycznego aparatu władzy" – powie po latach „Naszemu Dziennikowi" prof. Sławomir Cenckiewicz.

Antoni Macierewicz w rozmowie z „Gazetą Polską" stwierdzi zaś: „Niektóre analizy Bartłomieja Sienkiewicza dotyczące np. relacji europejsko-rosyjskich były wartościowe. Ale jednocześnie mieliśmy drastyczny rozziew pomiędzy trafną analizą a zakładaną z góry niemożliwością podjęcia skutecznego przeciwdziałania wobec zagrożeń".

Były szef SKW ma rację. UOP nie zasłynął np. z zatrzymań rosyjskich szpiegów, którzy przecież w latach 90. grasowali w Polsce na potęgę.

Sienkiewicz pozostał w Urzędzie do samego końca, czyli do 2002 r. Odszedł ze służby w stopniu podpułkownika.

> Jak każdy umiejący się ustawić funkcjonariusz służb, po przejściu do cywila Sienkiewicz postanowił sprawdzić się w biznesie. Założył wywiadownię gospodarczą, która stała się sprawnym wehikułem do dobrych zarobków

„Gazeta Wyborcza" w jego sylwetce z 2014 r. tak opisywała początek tej drogi: „Pierwszego dnia nowej pracy idzie na Rakowiecką na kacu. Koledzy oblewali z nim to, że będzie się teraz zajmował »pisklętami tego orła, którym ma być Polska«. Na szczęście poratowali go potem kroplami do oczu, dzięki którym znikają czerwone żyłki z białek".

Tę historię niektórzy przypominali przed dwoma laty, gdy Sienkiewicz osobliwie zachowywał się w Sejmie. W styczniu 2022 r. posłowie Zjednoczonej Prawicy alkoholem interpretowali scenę z sali plenarnej. W czasie debaty pojawił się Sienkiewicz, chwiejnym krokiem zszedł do siedzącego w pierwszym rzędzie Borysa Budki, pochylił się, by porozmawiać, lecz ten ostatni szybko wstał i wyprowadził kolegę, potykającego się na niewielkich stopniach i przed samymi drzwiami zbijającego piątkę z poseł Marzeną Okłą-Drewnowicz.

Z ław koalicji dobiegało: „Panie marszałku, chyba trzeba alkomat na salę". Sam Sienkiewicz pytany przez dziennikarzy o swoją niedyspozycję unikał odpowiedzi: „Jeśli PiS sądzi, że moje potknięcie przykryje potknięcie rządu w rządzeniu, w drożyźnie, to się grubo myli".

W styczniu br. w czasie debaty nad wotum nieufności wobec Sienkiewicza media społecznościowe rozgrzały jeszcze dalej idące spekulacje – w sieci pojawiły się nagrania, na których wielu dopatrywało się wyciągania z kieszeni przez ministra torebki z białym proszkiem. Na spekulacjach się skończyło, postulaty wprowadzenia do parlamentu narkotestów się nie przebiły, a sam zainteresowany skomentował: „Żułem kości swoich wrogów".

MILIONY Z ORLENU

Jak każdy umiejący się ustawić funkcjonariusz służb po przejściu do cywila Sienkiewicz postanowił się sprawdzić w biznesie. Podobnie jak Niemczyk (w którego firmie zasiadał zresztą w radzie nadzorczej) założył wywiadownię gospodarczą pod nazwą ASBS Othago, która stała się sprawnym wehikułem do dobrych zarobków. W 2003 r. podpisał umowę z PKN ORLEN na sporządzanie analiz i serwisów informacyjnych. Przez 10 lat zainkasował za te usługi w sumie 7,6 mln zł. Większość w czasie prezesowania w płockim koncernie Jacka Krawca. Średnio dawało to aż 50 tys. zł miesięcznie na rękę.

Za co dostawał tak duże pieniądze? Jak ujawnił w programie „Śledczym okiem" w TVP Info Piotr Nisztor za sporządzane cztery razy w miesiącu informacje z regionu. „To liczące od 7 do 14 stron opracowania informujące, co ukazało się w prasie zagranicznej na temat sektora naftowego" – informował dziennikarz.

W momencie wejścia do rządu Tuska Sienkiewicz formalnie rozstał się ze spółką, a ostatnia płatność z ORLENU dla jego firmy opiewała na 150 tys. zł z tytułu zakazu konkurencji oraz 120 tys. zł za analizę o niefinansowych ryzykach inwestycji w Wenezueli.

Co ciekawe, po odejściu Sienkiewicza jego (była) firma pod nową nazwą (Salver) podpisała nowy kontrakt (o bliźniaczej treści) z państwowym gigantem i w ciągu kolejnych czterech lat wyciągnęła zeń ponad 4 mln zł.

eprasa.pl 05aed3788f

Tą żyłą złoto przestało płynąć dopiero w 2018 r., gdy prezesem Orlenu został Daniel Obajtek. Nie może więc dziwić zaangażowanie, z jakim Sienkiewicz wielokrotnie krytykował ostatniego prezesa płockiej spółki. Nie będzie przesadą mówienie w tym kontekście o formie zemsty.

PRAWIE PREMIER

Cofnijmy się jednak o kilka lat, do pierwszego ministrowania prawnuka noblisty.

– Nie wiem, z czego to wynika, ale Sienkiewicz nienawidzi się z Wojtunikiem i kompletnie mu nie ufa. Może nim po prostu gardzi, jak wieloma ludźmi. Zwłaszcza że były szef CBA nie jest, powiedzmy delikatnie, typem intelektualisty, z którym Sienkiewicz miałby o czym pogadać. A może chodzi o to, że gdy Wojtunik szefował CBA, w ogóle nie słuchał Sienkiewicza. Wiem, że gdy po wybuchu afery taśmowej Wojtunik przyszedł do ministra, ten nawet nie zaprosił go do gabinetu, a przyjął w korytarzu. Dopóki więc Sienkiewicz będzie miał jakikolwiek wpływ na obsadę ważnych stanowisk, Paweł nie dostanie niczego – opowiada nam doświadczony funkcjonariusz CBA.

Po tej korytarzowej rozmowie w MSWiA niechęć Sienkiewicza do szefa jednej ze służb mogła się tylko wzmóc. Później bowiem ujawniono zapis rozmowy Elżbiety Bieńkowskiej z Wojtunikiem w restauracji Sowa i Przyjaciele.

„***PW:*** *Do mnie się nie odzywał, jak na koordynatora dwumiesięczna cisza w rozmowach.*
EB: *Tak.*
PW: *Mnie jest z tym dobrze...*
EB: *Tak, tak.*
PW: *Bo mam czas. Nie muszę nigdzie jeździć. Widzę, jak on gania Łuczaka...* [szefa ABW – przyp. red.]
EB: *Tak, tak, tak.*
PW: *W piętkę, ledwo się wyrabia, jak co pięć minut telefon...*
EB: *Tak, tak.*
PW: *Znaczy Bartek ma ze mną taki problem, że Bartek się nauczył zarządzać wszystkim przez telefon. Nawet jak siedzieliśmy na tej trybunie, to szef BOR-u do niego telefonem, czy śmigłowiec nie może dalej latać. No ja pierniczę. No to minister. Jak on do mnie zadzwonił, czy może śmigłowiec dalej latać czy nie. Jakbym go pierdyknął telefonem.*
EB: *Ha, ha, naprawdę?*
PW: *Stołeczny dostaje telefon, żebyśmy...*
EB: *Ale jaja, ale jaja, ale jaja.*
PW: *Widzisz, ale facet nauczył ich, że on dzwoni i on im rozkazuje. I tak samo poszli, spalili budkę pod ambasadą, bo minister osobiście wymyślił taką... wiesz z takiego...*
EB: *Taką koncepcję, tak, tak.*
PW: *Z takiego zarządzania ręcznego są same problemy. Tym bardziej dla ministra, który nie ma takich uprawnień, on nie ma uprawnień".*

> W połowie 2014 r. było już wiadomo, że Tusk wyprowadza się z Polski do Brukseli. Na następcę planował namaścić właśnie Sienkiewicza. Jednak po skandalu z taśmami ten ruch był już wykluczony, więc stery rządu musiała objąć Ewa Kopacz

Najbardziej sensacyjny wątek tej rozmowy dotyczy spalonej budki strażniczej przed rosyjską ambasadą. Doszło do tego 11 listopada 2013 r., a winą próbowano obarczyć uczestników Marszu Niepodległości. Słowa Wojtunika wskazywały, że zdarzenie to było prowokacją, zorganizowaną przez służby specjalne na polecenie Sienkiewicza.

Sam Sienkiewicz też dał się nagrać, co było skrajnym kuriozum. To on wszak nadzorował służby specjalne, które powinny były nie dopuścić do tego skandalu.

Jego rozmowa z prezesem NBP Markiem Belką była zresztą pierwszą, której treść ujrzała światło dzienne. W masowej pamięci zapisały się dwie wypowiedzi ministra koordynatora: „Państwo polskie istnieje teoretycznie. Praktycznie nie istnieje, dlatego że działa poszczególnymi swoimi fragmentami, nie rozumiejąc, że państwo jest całością". Drugi dotyczy Polskich Inwestycji Rozwojowych – sztandarowego projektu rządu Donalda Tuska: „Ich po prostu nie ma. To ch..., d... i kamieni kupa".

Jednak większym skandalem był wątek dotyczący finansowania deficytu budżetowego przez NBP, by ratować finanse państwa i nie dopuścić PiS do władzy. Markowi Belce plan się podobał, lecz stawiał warunek: dymisja ministra finansów Jana Vincenta Rostowskiego. I do tej dymisji rzeczywiście doszło po czterech miesiącach.

Wśród wielu skutków afery podsłuchowej był też taki, o którym mówi się rzadziej. W połowie 2014 r. było już wiadomo, że Tusk wyprowadza się z Polski do Brukseli. Na następcę planował namaścić właśnie Sienkiewicza. Jednak po skandalu z taśmami ten ruch był już wykluczony, więc stery rządu musiała objąć Ewa Kopacz.

Sienkiewiczowi nie pomogła też reakcja na ujawnienie treści restauracyjnych rozmów i pojawienie się w redakcji „Wprost" smutnych panów z ABW i prokuratury, którzy żądali od dziennikarzy wydania nośników z nagraniami. Doszło do szarpaniny, z symboliczną sceną, w której redaktor naczelny Sylwester Latkowski kurczowo przyciska do klatki piersiowej laptopa, a ciamajdy ze służb Sienkiewicza nie są w stanie mu go odebrać.

Od tamtych wydarzeń mija 10 lat. Polskim Radiem kieruje dziś (nielegalnie) Paweł Majcher, który przed dekadą był szefem gabinetu politycznego ministra Sienkiewicza. A nasz bohater zapisuje się w dziejach Polski jako najbardziej bezwzględny pacyfikator wolnych mediów w III RP, który swoimi metodami nawiązuje do wzorców Wojciecha Jaruzelskiego. Pewnego dnia z pewnością za to odpowie. Nawet jeśli – wzorem swego pryncypała – za kilka miesięcy ucieknie do Brukseli.

eprasa.pl 05aed3788f

Zaproponuję warszawiakom rządy zdrowego rozsądku

Popełnia błąd ten, kto uznał, że w związku z politycznymi sympatiami warszawiaków niczego oni od władzy nie wymagają, na wszystko się zgodzą, zaakceptują każdy standard rządów w mieście. To nieprawda

Michał Karnowski rozmawia z dr. Tobiaszem Bocheńskim, byłym wojewodą mazowieckim, kandydatem Prawa i Sprawiedliwości na prezydenta Warszawy

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 05aed3788f

Zaskoczyło pana, jak bardzo media skupiły się na pana wzroście?

Tobiasz Bocheński: Mój wzrost to 1,92 m, rzeczywiście trochę wyżej od średniej, może zwracać uwagę mediów [śmiech]. To prezent od rodziców – oboje byli wysocy, poznali się zresztą na obozie siatkarskim. Traktuję to jako element naturalny w dzisiejszych, tak zdominowanych przez media społecznościowe, czasach. Skupiano się także na mojej żonie, która była ze mną w czasie inauguracji kampanii i której jestem za to bardzo wdzięczny. Tak naprawdę zaskoczyło mnie co innego – jak bardzo niektóre media rzuciły się na sprawę mojego rzekomego kibicowania temu lub innemu klubowi piłkarskiemu.

I jaka tu jest prawda?

Bardzo prosta. Nie jestem fanem futbolu klubowego, choć zawsze mocno trzymam kciuki za reprezentację narodową. Rzeczywiście kilka razy zabrałem głos w sprawie Widzewa Łódź, bo prosili mnie o to mieszkańcy i kibice zaniepokojeni dziwną wojną toczoną przez miejscową Koalicję Obywatelską z tym klubem. Wybrano tam prezesa, który nie podobał się władzom miasta. Zaczęto mówić, że albo się to zmieni, albo będą problemy. No i były problemy, jak wysyłanie Straży Miejskiej na stadion. Uznałem to za dyskryminację, stanąłem w obronie słabszego. Gdyby to dotyczyło jakiegokolwiek innego klubu, którejkolwiek z dyscyplin sportowych, postąpiłbym dokładnie tak samo.

Zamieścił pan kiedyś w tej sprawie wpis internetowy ze zdjęciem ze stadionu. Uznano to za dowód, że jest pan wielkim kibicem tego klubu. To nieprawda?

Tak. Wychowałem się w Łodzi, gdzie oczywiście poszczególne osiedla były przypisane do Widzewa lub ŁKS – i to wszystko. Nie interesuję się ligą, nie znam trenerów, piłkarzy, nigdy nie byłem na ligowym meczu. Co nie oznacza, że nie szanuję świata piłki, kibiców, związanych z tym emocji. A zdjęcie zamieściłem, by zilustrować moją wypowiedź, nigdy nie byłem na meczu Widzewa ani na żadnym innym meczu ligowym.

> Otoczkę propagandy pana Trzaskowskiego będę spokojnie zdzierał jak kolejne warstwy cebuli, aż dojdziemy do smutnej dla niego i mieszkańców prawdy

Jest na ligowych stadionach sporo dobrych rzeczy, w tym patriotyczne nastawienie większości kibiców.

Wiem o tym i to szanuję, ale nie będę przecież nagle kogoś na siłę przekonywał, że jestem wielkim znawcą Legii Warszawa.

Sport byłby ważny dla pana jako prezydenta stolicy?

Ogromnie. Osobiście doświadczyłem, walcząc w pewnym okresie życia z otyłością, jak pozytywny wpływ na człowieka może mieć sport i zdrowy tryb życia. Sport uczy też zasad fair play, konieczności systematycznej pracy w drodze do sukcesu, umiejętności zaakceptowania porażek, przełamywania naszych ograniczeń. W dzisiejszych czasach sprzyja walce z nadwagą, która jest coraz

eprasa.pl 05aed3788f

Fot. Andrzej Wiktor

większym problemem wśród dzieci i młodzieży, odciąga też od smartfonów. Gdy byłem wojewodą, organizowałem akcję „Rośnij zdrowo", zachęcając młodzież do wysiłku sportowego. Gdybym został prezydentem Warszawy, sport miejski, trenerzy, zawodnicy i kibice mogliby na mnie liczyć, wspierałbym wszystko, co przyczynia się do aktywności fizycznej mieszkańców. Sam chodzę na siłownię, biegam, jeżdżę na rowerze. Tak jak większość warszawiaków.

W kampanii dobra kondycja się przyda. Ale zapytam tak: Warszawa w większości głosuje na PO, konsekwentnie wybiera kandydatów tej partii na prezydenta stolicy. Po co pcha się tutaj kandydat Prawa i Sprawiedliwości?

Popełnia błąd ten, kto uznał, że w związku z politycznymi sympatiami warszawiaków niczego oni od władzy nie wymagają, na wszystko się zgodzą, zaakceptują każdy standard rządów w mieście. To nieprawda. To są ciężko pracujący, zbyt ambitni i utalentowani ludzie. Być może dla części emocje ideologiczne są i będą najważniejsze. Ale przecież i pan słyszy to potężne rozczarowanie słabą jakością rządów w stolicy, brakiem realizacji wielu obietnic, ciągłym odkładaniem kluczowych dla mieszkańców inwestycji, brakiem transparentności w zarządzaniu, ideologicznie motywowanymi decyzjami. I wreszcie, o czym coraz głośniej, biernością i faktyczną nieobecnością prezydenta Rafała Trzaskowskiego w mieście.

Nieobecnością?

Tak wszyscy mówią, taka jest opinia nawet wśród jego urzędników.

A jednak miasto się kręci!

Tak – pracowitością, dynamizmem i geniuszem jego mieszkańców. Ale gołym okiem widać, że kuleje polityka miejska, rozwój infrastruktury nie nadąża za rozwojem miasta, stolica traci wiele szans, nie pokazuje się też odpowiednio godnie na poziomie ogólnopolskim i europejskim.

W dzielnicach sporo się dzieje.

To prawda, choć są nierówno traktowane. To jest też problem demokracji lokalnej, którą należałoby zreformować. Więcej władzy powinno być bliżej mieszkańców, w dzielnicach.

Tak było w latach 90. i to był koszmar, nic się nie dało przeprowadzić.

Wtedy wahadło wychylono za bardzo w tamtą stronę, teraz w kierunku centralizacji, skupienia ogromu władzy w rękach prezydenta stolicy. Poruszamy się zatem między skrajnościami. Po tych doświadczeniach powinniśmy skorygować tzw. ustawę warszawską. Będę to proponował.

Jak podkreślił podczas prezentacji pana kandydatury prezes Jarosław Kaczyński, Warszawa to wielka aglomeracja, w której życiu uczestniczą też mieszkańcy okolicznych miejscowości. Tak licząc, to ponad 3 mln mieszkańców. Czy Warszawa powinna się rozszerzać? Opór okolicznych samorządów jest potężny.

Problem nie leży w rozszerzaniu, ale we współpracy. Jako wojewoda rozmawiałem z samorządowcami okolicznych miejscowości, tzw. obwarzanka, i wiem, że problemem jest niechęć stolicy do współpracy. Jest ona odwrócona plecami do miast i wsi, w których żyją ludzie

eprasa.pl 05aed3788f

budujący jej bogactwo, pracujący tu, korzystający ze szkół. To dziwna polityka, która szkodzi wszystkim, bo na sprawnym współdziałaniu zyskają obie strony. Przecież dobre połączenia komunikacji miejskiej z tym miejscowościami radykalnie zmniejszyłyby korki w mieście. Dziś ci ludzie często nie mają innego wyboru jak samochód. Czasami droga jest wyremontowana tylko do granic Warszawy, bo stolica na swoim terenie nie ciągnie już remontu. Słowem: ustawa aglomeracyjna nie jest konieczna do tego, aby Warszawa była stolicą aglomeracji.

Jako wojewoda mazowiecki pracował pan w tym samym gmachu co Rafał Trzaskowski, urzędowaliście niemal drzwi w drzwi przy pl. Bankowym w Warszawie. Spotkaliście się?

Raz się minęliśmy w urzędzie na schodach. Ja byłem codziennie, z wyjątkiem jednego dnia w tygodniu poświęcanego na wyjazdy terenowe. Pan prezydent Trzaskowski bywał najwyraźniej dużo rzadziej.

Czym pana propozycja różni się od tego, co oferuje obecny prezydent?

Przede wszystkim pełne skupienie na sprawach miasta i mieszkańców, rządy zdrowego rozsądku, oderwane od ideologii, poważnie traktujące złożone zobowiązania. Umiałbym rozwiązać nabrzmiałe problemy, o których warszawiacy codziennie rozmawiają w domach. Nie wierzę, że dominującymi tematami i potrzebami są tam Parada Równości, eutanazja, kara śmierci czy aborcja. Jak mówią mi ludzie, bardziej martwią się korkami, komunikacją miejską, dostępnością żłobków, przedszkoli, szkół, szpitali, drastycznie rosnącymi cenami mieszkań. To będą moje priorytety.

Czy to nie jest jednak pewne złudzenie? W ostatniej kampanii parlamentarnej rządzący mogli się pochwalić świetnymi danymi gospodarczymi, najniższym w historii bezrobociem, rozwiązaniem wielu problemów infrastrukturalnych, repolonizacją kluczowych sektorów, rozpędzeniem ważnych inwestycji, odbudową armii. A jednak wygrały ośmiogwiazdkowe emocje. Dlaczego teraz miałoby być inaczej?

Może dlatego, że tamta opozycja zdołała przekonać część wyborców, że będzie te dobre rzeczy kontynuowała? Czy tak będzie w istocie? Wątpliwości narastają, co widać w sondażach – Prawo i Sprawiedliwość trzyma się mocno, a nowa władza nie ma zwyczajowego bonusu zwycięzcy. Polacy oczekują realizacji obietnic, które składano w kampanii wyjątkowo hojnie. Jeśli ktoś myśli, że znowu uda się bezkarnie oszukać naszych rodaków, zapłaci wysoką polityczną cenę. Przede wszystkim jednak demokracja polega na ciągłej próbie przekonywania wyborców, na budowaniu oferty, której oczekują mieszkańcy. To zrobię.

> Przecież w tym tempie to metro na poziomie średniej europejskiej będziemy mieli w 2040 r.! Czy to jest skuteczność na miarę ambicji warszawiaków? Nie sądzę

Jak będzie pan odpowiadał tym, którzy zechcą jednak pana wciągnąć w dyskusję o LGBT+? Którzy twierdzą, że czują się dyskryminowani?

Powiedziałbym, że niedobrze jest, gdy jakakolwiek grupa społeczna czuje się źle w swoim kraju. Dlatego nie pochwalam wypowiedzi, które są agresywne wobec tej grupy, zderzające z nią, potępiające ją w czambuł. Jestem od tego daleko. Ale jednocześnie daleko jestem też od gloryfikowania tej grupy. Przyjmuję za oczywisty fakt, że istnieje, jest częścią polskiego społeczeństwa. Jako człowiek prawicy uważam, że także osoby identyfikujące się jako LGBT+ mają swoją przestrzeń wolności, co jednak nie oznacza, że zgłaszane przez nie postulaty zawsze i automatycznie mają stawać się pewnymi normami prawnymi, że muszą stawać się zasadą działania instytucji. Ważne, by każdy czuł się w Polsce bezpiecznie i dobrze, ale to nie jest jednak tym samym, co uzyskiwanie dodatkowych uprawnień. Jako konserwatysta uważam, że jeżeli coś jest w historii sprawdzone, to się tego trzymamy, jeżeli nie działa, staramy się to zmienić, ale nie eksperymentujemy na społeczeństwie.

W sferze kultury w stolicy dyskryminowani są raczej konserwatyści. Jest problem z pójściem do miejskiego teatru na przedstawienie, które nie przekraczałoby norm społecznych, nie było jakimś uderzaniem w wartości ważne dla wielu Polaków. Można to zmienić?

Tak, w Warszawie mamy problem z dostępem do różnorodnej kultury. Niech istnieje teatr eksperymentalny, lewicowy. Ale dlaczego tylko taki? Każdy powinien znaleźć ofertę dla siebie, np. klasyczną inscenizację Szekspira czy Moliera. Miasto zarządza dziś tymi instytucjami tak, jakby istniała tylko lewicowa bańka artystyczna. To nie jest prawda.

Wielki wysiłek w tym wymiarze podjął były minister kultury i dziedzictwa narodowego prof. Piotr Gliński, by wspomnieć tylko Teatr Klasyki Polskiej.

Tak. Zgadzam się też z Patrykiem Jakim, który pięć lat temu po swojej kampanii w Warszawie, powiedział, że trzeba się zająć kwestią kultury. I to jest trafna diagnoza, choć wiem, że to problem ogólnoświatowy. Nic nas jednak nie zwalnia z tego wysiłku, trzymamy się swoich wartości,

eprasa.pl 05aed3788f

bo są dobre dla każdego człowieka, każdej rodziny, społeczeństwa.

Priorytet?

Komunikacja, stworzenie sieci, w której zarówno zasoby miasta, jak i WKD, SKM oraz Koleje Mazowieckie są częścią systemu połączonego z metrem. Przypomnę, że prezydent Trzaskowski obiecywał połączenie stacji Metro Centrum z dworcem kolejowym Warszawa Śródmieście. Nie ma go i nic tu się nie dzieje. Tu jest bardzo dużo do zrobienia.

Czym jeszcze pana rządy w stolicy różniłyby się od Rafała Trzaskowskiego, a wcześniej Hanny Gronkiewicz-Waltz?

Unikałbym niepotrzebnego generowania konfliktów. Dziś władze stolicy czynią tak np. w odniesieniu do rowerzystów i użytkowników samochodów. Przecież to absurd – większość z nas czasami jedzie na dwóch kółkach, a czasami na czterech. Trzeba budować ścieżki rowerowe i robiłbym to w szybkim tempie, ale nie likwidowałbym specjalnie, celowo, czasami mam wrażenie – złośliwie, miejsc parkingowych pod miejscami zamieszkania. Tak zdarzało się choćby na Ursynowie.

Co jeszcze?

Chciałbym dużych inwestycji, aktywnego miasta w obszarze polityki zdrowotnej, w tym w psychiatrii dziecięcej, w poradniach psychologiczno-pedagogicznych. Za cel postawiłbym sobie też uporządkowanie gospodarki przestrzennej i udrożnienie procedur w budownictwie mieszkaniowym. To prezydent Warszawy wydaje zgody budowlane i te procedury potrafią ciągnąć się latami. Wciąż nie ma planu zagospodarowania przestrzennego i uregulowania stosunków własnościowych.

Jedną z przyczyn jest pewnie brak ustawy reprywatyzacyjnej. Te sprawy wskutek dekretu Bieruta są w Warszawie straszliwie zabagnione.

To jest przeszkoda, zadanie do wykonania, ale nie wyjaśnienie tak potężnego i tak długo trwającego bałaganu. To są dziesiątki tysięcy spraw, które trzeba wreszcie zacząć rozwiązywać.

Rafał Trzaskowski też mówił w kampanii o problemach codziennego życia mieszkańców. Linie metra i tramwajowe mnożył jak króliki, podobnie żłobki i przedszkola, wszystkie problemy miały być rozwiązane. Może się nie da?

Da się, tylko trzeba codziennie ciężko pracować i wiedzieć jak. Przecież w tym tempie to metro na poziomie średniej europejskiej będziemy mieli w 2040 r.! Czy to jest skuteczność na miarę ambicji warszawiaków? Nie sądzę. Otoczkę propagandy pana Trzaskowskiego będę spokojnie zdzierał jak kolejne warstwy cebuli, aż dojdziemy do smutnej dla niego i mieszkańców prawdy.

> Piękna historia Warszawy, sięgająca średniowiecza, mogłaby być spoiwem tożsamościowym mieszkańców, wspaniałą atrakcją turystyczną. Tracimy coś ważnego

Dzika, złodziejska reprywatyzacja, która tyle krzywdy zrobiła warszawiakom, często emerytom, może wrócić?

Obawiam się, że niestety może. W Urzędzie Miasta nie przeprowadzono przecież koniecznych reform, to wszystko działa podobnie, jak wtedy. A niedawno przecież była kolejna afera – śmieciowa. I znowu nic nie zmieniono. Tu trzeba świeżego oka, osoby z zewnątrz, kogoś, kto w interesie mieszkańców ułoży ten mechanizm na nowo. To bizantyjska struktura, od lat niereformowana i co ciekawe, niezinformatyzowana. Czy pan wie, że dokumenty między ratuszem a dzielnicami nadal są wożone samochodami? Coś niebywałego. Trzeba zmian kadrowych, jasnych procedur, odważnego pójścia w nowoczesność.

Pałac Saski?

Jestem wielkim zwolennikiem odbudowy. Jak prezydent stolicy może być przeciw? Albo nie interesować się tym? To wielka wyrwa, bolesna strata spowodowana przez okupantów. Jako wojewoda szukałem porozumienia w tej sprawie z prezydentem Trzaskowskim, ale z tamtej strony nie było zainteresowania.

Stolica państwa polskiego nie interesuje się historią? Nie troszczy się o tożsamość?

Tak to odczytują. Piękna historia Warszawy, sięgająca średniowiecza, mogłaby być spoiwem tożsamościowym mieszkańców, wspaniałą atrakcją turystyczną. Popatrzmy na Muzeum Historii Warszawy, ciekawe, ale maleńkie, skromne. Porównajmy to z tym, jak swoją przeszłość opowiadają inne stolice europejskie. Tracimy coś ważnego.

Będzie za to Muzeum Sztuki Nowoczesnej w sąsiedztwie Pałacu Kultury i Nauki. Ładne?

A zna pan kogoś, nawet wśród zwolenników prezydenta Trzaskowskiego, komu by ten klocek się spodobał? Nie sądzę, by takich osób było wiele. Była szansa na budynek dodający Warszawie uroku. Powstało coś bez charakteru, na dodatek zmarnowano szansę na zasłonięcie Pałacu Kultury i Nauki.

Kiedy poznamy cały pana program?

Będę go odkrywał etapami, dla całego miasta, poszczególnych grup społecznych, dzielnic, obszarów tematycznych.

eprasa.pl 05aed3788f

Tusk spektakularnie dewastuje państwo odziedziczone po poprzednikach. Igrzyska mają przesłonić brak oferty dla Polaków. Dlatego dokręcanie śruby jest kluczowe dla jego władzy

Król jest nagi

KONRAD KOŁODZIEJSKI

Odkąd 13 grudnia 2023 r. Tusk objął władzę, minęły raptem dwa miesiące. W tym krótkim czasie szef rządu, który raczej nie słynie z nadmiernej pracowitości, wykazywał się nadzwyczajną – jak na niego – aktywnością. Niestety, jest to ten rodzaj aktywności, po której państwo polskie może leczyć rany jeszcze przez wiele lat. Działalność Tuska przywodzi bowiem na myśl zjadliwego wirusa, wpuszczonego do zdrowego organizmu.

W ciągu dwóch miesięcy rząd Tuska zdążył już zahamować najważniejsze projekty rozwojowe poprzedniej ekipy, takie jak CPK, budowa elektrowni atomowych oraz morskich terminali kontenerowych. Nowy reżim chce również ograniczyć zakupy uzbrojenia, a jego działania wokół ORLENU zdradzają zamiar osłabienia, a być może rozbicia największego polskiego koncernu energetycznego.

Do tego wszystkiego dochodzi brutalna rozprawa z mediami publicznymi oraz wymiarem sprawiedliwości, podczas której sięgnięto po wzorce zza naszej wschodniej granicy, łamiąc prawo i wykorzystując zamaskowanych zbirów. Szczególnym ukoronowaniem tych dwóch miesięcy rządów Tuska było pozbawienie mandatów poselskich

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 05aed3788f

i wtrącenie do więzienia Mariusza Kamińskiego i Macieja Wąsika. Obydwaj zostali w istocie ukarani za to, że przez wiele lat walczyli z korupcją, czym zapewne zaszli za skórę różnym stronnikom obecnej władzy.

Wszystkim wymienionym akcjom – a to jedynie najgłośniejsze przykłady – towarzyszy kampania propagandowa mająca zohydzić w oczach społeczeństwa poprzednią ekipę rządzącą. Cała uwaga Polaków ma być skoncentrowana wyłącznie na zwalczaniu pisowskiej opozycji. Dzięki temu ekipa Tuska może mieć pełną swobodę działania. Ludzie, podekscytowani rzekomymi rozliczeniami, nie będą przecież zauważać rozpoczętej właśnie destrukcji państwa.

Gdyby sięgnąć pamięcią do ostatnich 30 lat, to trudno byłoby znaleźć drugi rząd – wliczając to wcześniejsze gabinety Tuska – który tak ostentacyjnie łamałby prawo i demontował fundamenty suwerennego państwa. Można być niemal pewnym, że w przyszłości, uczestnicy tej haniebnej operacji będą się od niej wstydliwie odcinać, zapewniając o swojej niewiedzy i niewinności. Na razie jednak ochoczo wspierają nową ekipę.

POLITYCZNA INWESTYCJA

O tym, jakie są cele destrukcyjnej w swojej istocie polityki Tuska, wspomniał tydzień temu na tych łamach Jan Rokita. Wskazał on m.in., że Tusk może chcieć zaistnieć w polityce europejskiej jako ten, który pokazał, jak skutecznie wypalić „populistyczne zagrożenie". To dlatego Unia, a w szczególności Niemcy, dopingują Tuska do dalszych, nawet bardziej brutalnych działań. Jeśli plan Tuska powiedzie się, będzie występował na unijnych salonach w roli autorytetu, którego doświadczenia mogą okazać się cenne dla obawiającej się utraty władzy liberalnej oligarchii.

Innym celem jest konieczność znalezienia spoiwa dla patchworkowej koalicji rządowej. Obecni koalicjanci są bowiem świadomi, że zbudowanie wspólnej „zapory ogniowej" przeciwko PiS gwarantuje każdemu z nich udział we władzy oraz realizację własnych, partykularnych interesów. Warto zauważyć, że Tusk bardzo sprawnie zrzuca na swoich koalicjantów część odpowiedzialności za łamanie prawa, czego najjaskrawszym przykładem może być udział Szymona Hołowni w usunięciu Kamińskiego i Wąsika z ław poselskich. Współodpowiedzialność koalicjantów gwarantuje, że w obawie przed konsekwencjami będą zwalczać PiS do ostatnich dni swoich rządów.

Polityka odwetu może być również sposobem na ukrycie programowej pustki. Taktyka „j...bania PiS" okazała się wcześniej na tyle skuteczna, że zaadaptowano ją do nowej sytuacji. Doceniając trafność tych spostrzeżeń, warto jednak pójść jeszcze jeden krok do przodu. Otóż mizeria programowa Tuska nie jest wyłącznie kwestią rozbieżności interesów we wspierającej go koalicji czy też – jak twierdzą niektórzy – miernoty intelektualnej w szeregach rządu. Brak ambicji i brak pomysłów są całkiem świadome. Polityczne zwycięstwo Tuska byłoby prawdopodobnie niemożliwe bez silnego wsparcia udzielonego mu przez Unię Europejską z Niemcami na czele. Takich rzeczy nie robi się jednak bezinteresownie. Rząd Tuska jest inwestycją, która musi się teraz spłacić.

> Tusk próbuje stłumić aspiracje społeczeństwa, pobudzone za rządów PiS, i skierować jego uwagę na igrzyska, którymi są rozliczenia z poprzednikami

Nie chodzi wyłącznie o walkę z „populistycznym zagrożeniem", chociaż poligon doświadczalny, którym za sprawą Tuska stała się w tej kwestii Polska, może być dla unijnej oligarchii bardzo inspirujący. Wydaje się, że większe znaczenie ma, zwłaszcza dla Berlina, obawa przed niekontrolowanym wzrostem gospodarczym Polski, co zagraża pogrążonym w kryzysie Niemcom. Stłumienie tego wzrostu jest więc dla ich pozycji bardzo istotne.

Z punktu widzenia Tuska racjonalne i politycznie korzystne byłoby kontynuowanie programów rozwojowych poprzedniej władzy, które są popierane przez zdecydowaną większość społeczeństwa. Mimo to Tusk – tak zwykle skory do kokietowania wyborców – tego nie robi. Musi być jakieś wytłumaczenie tej postawy.

Można oczywiście przyjąć, że przyczyna tkwi w psychice Tuska, który jest do tego stopnia ogarnięty pragnieniem zemsty na PiS, że w kompletnej fiksacji odrzuca wszystko, co ma związek z poprzednikami. Ale nawet jeśli tak jest, to beneficjentami tej fiksacji są przede wszystkim Niemcy, którzy pozbywają się dzięki temu potencjalnego konkurenta w regionie. Niewykluczone więc, że Berlin, znając słabości Tuska, wcale nie musiał na niego mocno naciskać w sprawie CPK, energetyki jądrowej czy wielu innych inwestycji rozwojowych. Niezależnie od tego, jak było (być może kiedyś się tego dowiemy), czynnik niemiecki może być kluczem do zrozumienia pustki programowej Tuska oraz minimalizmu inwestycyjnego obecnej ekipy.

SPEKTAKL NIE TRWA WIECZNIE

Mając – jak wiele na to wskazuje – do spłacenia polityczny dług, Tusk próbuje stłumić aspiracje społeczeństwa, pobudzone za rządów PiS, i skierować jego uwagę na igrzyska, którymi są rozliczenia z poprzednikami. PiS występuje tu w roli zwierzyny łownej, zaganianej na arenę i po kolei odstrzeliwanej ku uciesze zgromadzonej gawiedzi.

W tym miejscu jeszcze raz warto sięgnąć do wspomnianego wcześniej artykułu Jana Rokity, który zauważył, że Tusk nieźle odczytał społeczne emocje. PiS – jak pisze Rokita – było przekonane, że poparcie społeczne otrzymuje się w zamian za wsparcie materialne.

eprasa.pl 05aed3788f

Tymczasem Tusk postanowił kupić to poparcie znacznie taniej, bo za cenę schlebiania niskim instynktom. I niestety w dużym stopniu odniósł tutaj sukces.

Widać przy tej okazji przepaść dzielącą PiS i PO. O ile PiS, udzielając Polakom pomocy finansowej, odwoływało się podczas swoich rządów do pozytywnych emocji, o tyle Tusk okazał się specjalistą od ciemnej strony ludzkiej natury i jego główną, o ile nie jedyną, ofertą dla społeczeństwa stała się polityka zemsty. Trudno nie uznać tego za objaw pogardy dla ludzi, skoro oferuje im się tak żałosne widowisko.

Środowisko skupione wokół obecnej władzy musi teraz przeżywać chwilę triumfu. PiS zginął od własnej broni – jak się uważa w tych kręgach. Bo poprzedni rząd ciągle próbował ludziom dogodzić, ale gdy Tusk poszczuł tłuszczę na pisowców, to głupi lud od razu ucieszył się z ich porażki. Na razie to działa, ale ten spektakl nie może trwać wiecznie. Bo ten lud nie jest tak głupi, jak się wydaje zadufanym w sobie fajnopolakom.

Paliwo, jakim jest odwet na pisowcach, może wyczerpać się w chwili, gdy konsekwencje zmiany władzy dotrą w końcu do szerszych warstw społeczeństwa. Dziś ogół ludzi nie jest zainteresowany przepychankami na szczytach władzy, mało kogo – choć to brzmi brutalnie – obchodził najazd na media publiczne i Prokuraturę Krajową czy aresztowanie dwóch posłów PiS. Ludzie zmienią jednak zdanie, gdy wkrótce pogorszy się gwałtownie jakość ich życia. Gdy okaże się, że muszą zapłacić dwa razy więcej za energię, że muszą pozbyć się swoich samochodów, że będą płacić podatki klimatyczne. A na ulicach pojawią się „inżynierowie" z Afryki. Wtedy radość z polowania na pisowców szybko zamieni się we wściekłość na obecną koalicję.

PONAD PODZIAŁAMI

Oznaki rozczarowania widać już dzisiaj. Przykładem może być choćby debata wokół CPK, w której ekipa Tuska nie ma dosłownie żadnych argumentów, bo przecież trudno poważnie traktować jej majaki o tym, że lepszy byłby duoport w Radomiu i Modlinie lub bzdury na temat klimatycznej szkodliwości nowego lotniska. Wielu ludziom nie podobają się także cięcia programów zbrojeniowych czy dziwne manewry rządu wokół energetyki jądrowej.

> W takiej kwestii, jak CPK podziały polityczne nie mają wielkiego znaczenia. Ambicje Polaków, zwłaszcza tych młodszych, daleko wykraczają poza niskie horyzonty ekipy Tuska

Nieoczekiwanie okazało się, że w tych kwestiach podziały polityczne nie mają wielkiego znaczenia. Ambicje Polaków, zwłaszcza tych młodszych, którzy nie odziedziczyli kompleksów poprzedniego pokolenia, daleko wykraczają poza niskie horyzonty ekipy Tuska. W tej sprawie poprzedni rząd znacznie lepiej odczytał nastroje ludzi. I jeśli PiS zdoła to wykorzystać, to zła karta wkrótce się odwróci.

Warto jednak zauważyć, że PiS nie ma dziś monopolu na krytykę polityki rozwojowej Tuska. Takich głosów jest coraz więcej. Surową ocenę tej polityki w kontekście CPK wygłosił ostatnio m.in. były szef Sztabu Generalnego gen. Rajmund Andrzejczak, który stał się gwiazdą internetowego Kanału Zero. Tego rodzaju media – odległe zarówno od PiS, jak i od PO – mają dziś coraz większy wpływ na Polaków. Wielu z nich ma już dość nieustannej wojny politycznej i widzi w niej zagrożenie dla rozwoju kraju.

Niebezpieczeństwo dla obecnie rządzących dostrzegają nawet zagorzali zwolennicy Tuska, którzy apelują do swojego premiera, aby skorygował obecną politykę. Takie głosy w sprawie CPK pojawiają się również wśród sekty ośmiu gwiazd, co pokazuje, jak bardzo Tusk rozmija się tutaj z nastrojami społecznymi.

Należy jednak wątpić, że Tusk faktycznie zmodyfikuje swoją linię. Co najwyżej będzie markował prace nad nowym lotniskiem i elektrowniami atomowymi. I z jeszcze większym natężeniem mścił się na poprzednikach. Będzie też dążył do przekierowania społecznych emocji na sprawy związane z edukacją czy kwestie obyczajowe, takie jak aborcja czy LGBT+ w nadziei, że PiS da się sprowokować do walki na bardzo niewygodnym dla siebie polu.

Tusk nie ma ambitnych pomysłów dla Polski. W ogóle nie ma żadnych pomysłów. Dlatego dokręcanie śruby jest jedynym sposobem utrzymania przez niego władzy. Wie, że jeśli ustąpi, to przegra.

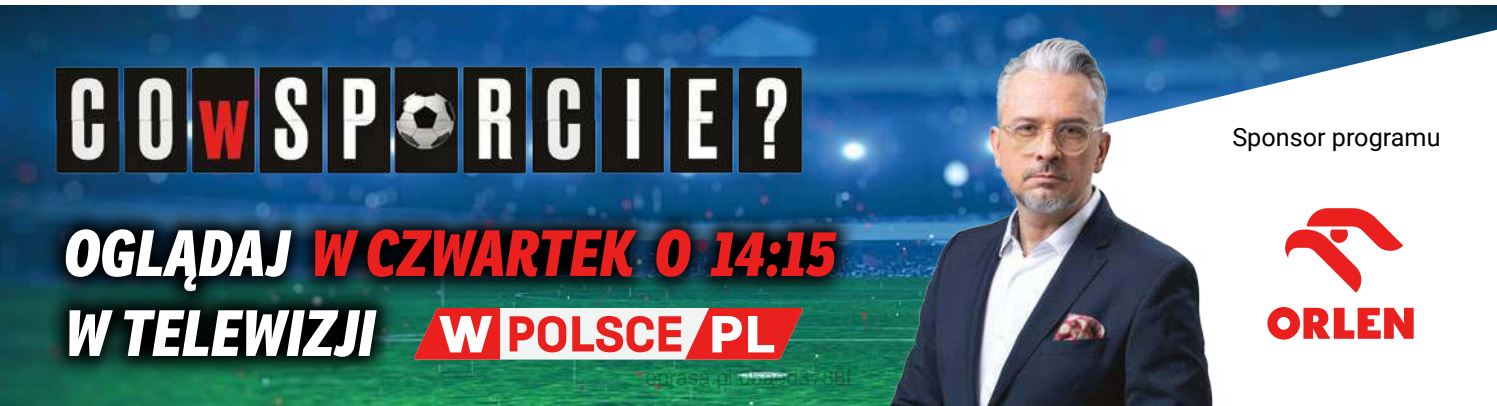

Nauczyciel czy donosiciel?

Gdyby w międzywojniu nauczyciele „donosili" na swoich sławnych uczniów, byliby zawodowo skończeni i towarzysko izolowani. Czy dziś te etyczne normy już nie obowiązują?

STANISŁAW JANECKI

Gdy 3 lutego 2024 r. Prawo i Sprawiedliwość ogłosiło, że kandydatem partii w wyborach na prezydenta Warszawy będzie prawnik dr Tobiasz Bocheński, głos w sprawie byłego wojewody łódzkiego i mazowieckiego zabrał jego nauczyciel niemieckiego w łódzkim liceum, a obecnie profesor Uniwersytetu Łódzkiego (germanista) i szef łódzkiej Rady Miejskiej Marcin Gołaszewski. I zaczął wystawiać dawnemu uczniowi cenzurki moralno-psychologiczne. Nie jako polityczny konkurent z partii Nowoczesna, w latach 2015 i 2019 bez powodzenia startujący do Sejmu, a w 2019 r. do Parlamentu Europejskiego, tylko w roli nauczyciela. Dywagacje nauczyciela Gołaszewskiego o uczniu Bocheńskim wpisały się w przeszczepiony do polskiego życia publicznego „sowiecki" w istocie zwyczaj „rozpracowywania" przez nauczycieli ich dawnych i współczesnych uczniów. W systemie sowieckim, skopiowanym w latach 1944–1956 także w Polsce, było to zwykłe donoszenie, często wiążące się ze ściągnięciem na uczniów (częściej dawnych niż współczesnych) represji ze niszczeniem kariery zawodowej i życia rodzinnego włącznie.

Z moralnego punktu widzenia zawsze jest to drastyczne, bowiem chodzi o nadużycie zaufania i specjalnej relacji etycznej między nauczycielem i uczniem. I sprzeniewierzenie się zasadzie, że nauczyciel nie może uczniowi szkodzić, tym bardziej że z powodu swojej pozycji społecznej i specyficznej relacji jest kimś w rodzaju powiernika. Zwyczaj „donoszenia" przez nauczycieli na uczniów we współczesnej Polsce przypomniał Marek Jędrychowski, nauczyciel Mateusza Morawieckiego. We wrocławskim IX Liceum Ogólnokształcącym pod koniec lat 80. uczył on premiera propedeutyki nauki o społeczeństwie (PNOS), czyli przedmiotu mocno zideologizowanego (marksistowsko) i w szkołach powierzanego zwykle zaufanym „towarzyszom". Jeszcze nie ucichły wynurzenia Jędrychowskiego, a o swoim dawnym studencie i doktorancie, od 2015 r. prezydencie RP Andrzeju Dudzie w zadziwiający sposób zaczął się wypowiadać prof. Jan Zimmermann, prawnik z UJ.

„Donoszenie" na uczniów czy studentów, przebrane w szaty wspomnień o osobach robiących błyskotliwe publiczne kariery, to nie tylko wyraz zawiści, lecz także złamanie wszelkich zasad etycznych. Przykrawanie swoich obecnych sympatii politycznych do przeszłości, nawet odległej. To celowe przyprawianie gęby, ale też rodzaj zemsty wynikającej często z kompleksów ludzi, którzy sami nawet się nie zbliżyli do osiągnięć swoich „wychowanków".

JĘDRYCHOWSKI REEDUKUJE

Nauczyciele celowo rekonstruujący przeszłość pod kątem swego rodzaju zbierania haków na sławnych uczniów albo ich wymyślania na polityczne zamówienie świadomie lub nieświadomie powielają zachowania i metody współpracowników tajnych służb, którym powierzano zadania skompromitowania tych, których znali, z którymi tworzyli relacje oparte na zaufaniu. Współcześnie zwykle tak się dzieje, że nauczyciele mający więcej do powiedzenia o swoich uczniach niż o sobie posiadają mocno przeciwstawne do nich poglądy. Nauczyciel Jędrychowski okazał się sympatykiem Komitetu Obrony Demokracji, a w wyborach parlamentarnych w 2023 r. startował z listy Koalicji Obywatelskiej (bez powodzenia). Nauczyciel Zimmermann wypowiadał się tak, jakby był nie tylko sympatykiem, lecz wręcz działaczem Platformy Obywatelskiej. A nauczyciel Gołaszewski wprost reprezentuje partię Nowoczesna.

Jędrychowski stwierdził, że premier Mateusz Morawiecki zapisze się na kartach historii „bardzo negatywnie", a określenie „Pinokio" nie wzięło się z powietrza. „To był notoryczny kłamca. I taka jest prawda o polskim premierze" – powiedział. „Szczerze, to nie mam już sił do tego Mateusza. To jest moja porażka pedagogiczna. Człowiek się tylko wstydzi za niego" – wyznał. Dawny nauczyciel premiera dodał, że na propozycję spotkania Morawiecki „bardzo szybko zrejterował, mówiąc o innych obowiązkach. Od tej pory ani widu, ani słychu". Wręcz wzywał premiera, żeby przybył do ich wspólnej szkoły, gdyż

Autopromocja

eprasa.pl 05aed3788f

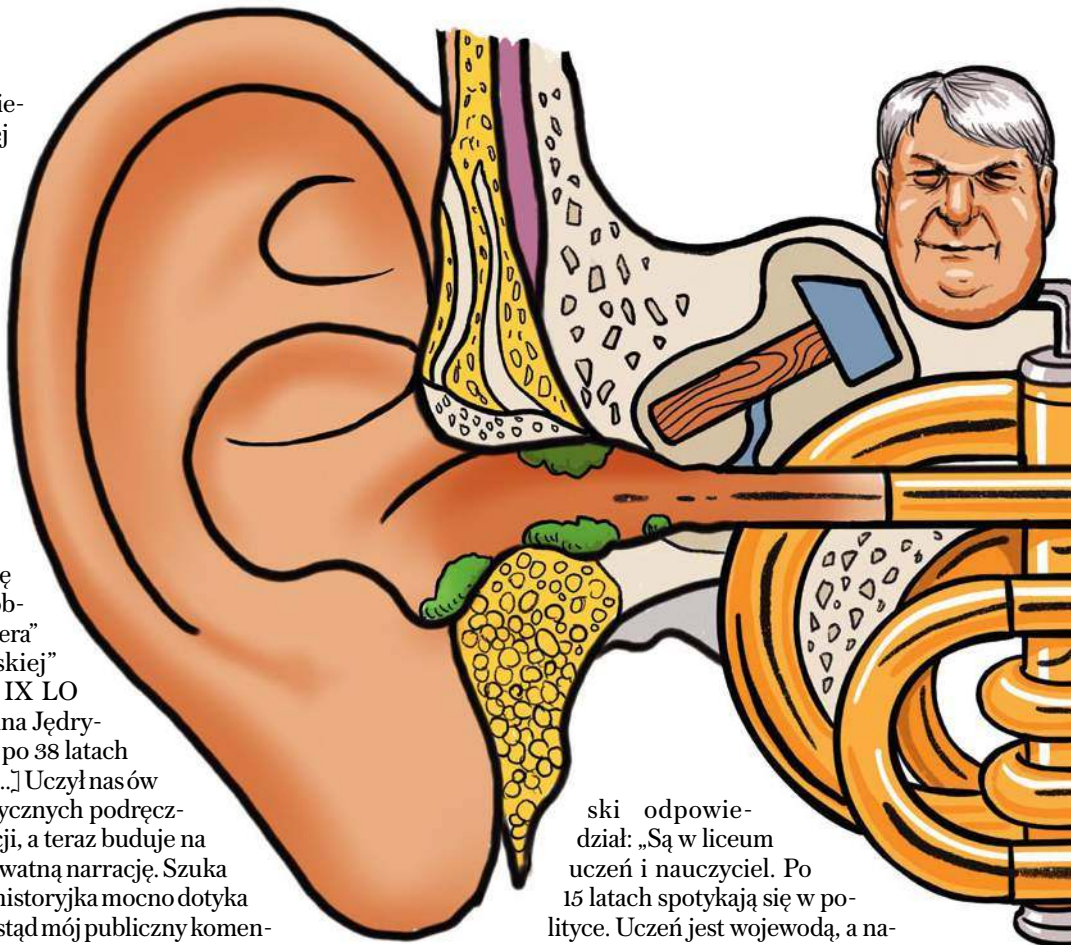

chce mu „zadać wiele pytań z dziedziny polityki, ale w pierwszej kolejności zapytałbym o naszą młodzież". Marek Jędrychowski, uczący w drugiej połowie lat 80. ub.w. o rozwiniętej demokracji socjalistycznej, zarzucał premierowi, że ten „ma podstawowy problem z trójpodziałem władzy".

„Również w szkołach istniały komórki PZPR i tuby oficjalnej propagandy, do których należało nauczanie PNOS. Pan Jędrychowski uczył właśnie tego przedmiotu. Uważam, że skoro do tej pory piastuje funkcję nauczyciela, nie na miejscu jest obrzucanie błotem obecnego premiera" – mówił „Gazecie Wrocławskiej" Wojciech Stando, były uczeń IX LO we Wrocławiu. „Wypowiedź pana Jędrychowskiego dla Onetu o uczniu po 38 latach jest bardzo słaba i prymitywna. [...] Uczył nas ów pan – w 1986 roku – z komunistycznych podręczników o PRL-owskiej konstytucji, a teraz buduje na fakcie tegoż »uczenia« swoją prywatną narrację. Szuka taniej sensacji. Taka wydumana historyjka mocno dotyka każdego ucznia tamtych czasów, stąd mój publiczny komentarz" – stwierdził klasowy kolega premiera Adam Przewłoka.

W czasach licealnych Mateusz Morawiecki w przeciwieństwie do swojego nauczyciela był wielokrotnie zatrzymywany i przesłuchiwany przez komunistyczne służby w związku z działalnością opozycyjną swego ojca Kornela Morawieckiego i własną. Został też kilkakrotnie pobity przez bezpiekę. Funkcjonariusze wywieźli go do lasu i kazali mu tam kopać dół.

Po „wspomnieniach" Jędrychowskiego o premierze Mateuszu Morawieckim dolnośląska Platforma Obywatelska zaproponowała nauczycielowi start w wyborach parlamentarnych. Ale w okręgu 3. (Wrocław i okolice) dostał tylko 1123 głosy (0,14 proc.) i nie dostał się do Sejmu.

GOŁASZEWSKI OBRAŻA

A tak o Tobiaszu Bocheńskim mówi jego licealny nauczyciel Marcin Gołaszewski: „W liceum okazywał daleko idącą niechęć do nauki języka niemieckiego, wypływającą, jak się wydawało, z przesłanek ideologicznych. I z niemieckiego zrezygnował, przeniósł się na francuski. Ta fobia jest w nim bardzo silna. [...] On okazał się moją porażką wychowawczą". Choć nie było i nie ma obowiązku nauki niemieckiego, Marcin Gołaszewski traktuje uczenie się tego języka jak obowiązek i powinność. A swój stosunek do ucznia przenosi na politykę, w której obaj są aktywni. Gołaszewski zarzucił Bocheńskiemu, że „bezpodstawnie i bez żadnych powodów doniósł na mnie do CBA, twierdząc, że rzekomo za mało wydaję na codzienne życie. CBA nic nie znalazło, choć chodziło wokół tej sprawy półtora roku". Na to Bocheński odpowiedział: „Są w liceum uczeń i nauczyciel. Po 15 latach spotykają się w polityce. Uczeń jest wojewodą, a nauczyciel przewodniczącym rady miejskiej. Wyobraźcie sobie, że ów przewodniczący zasiada w takiej liczbie rad nadzorczych, że jest ona niezgodna z prawem. Jak dobrze pamiętam – jedna to było za mało. A skoro łamał prawo, to wojewoda musiał zawiadomić prokuraturę".

Nauczyciel Gołaszewski próbował obrazić ucznia Bocheńskiego: „W przeszłości był »paprotką«, czy raczej »paprotkiem«, [Zbigniewa] Raua. A teraz stał się »paprotkiem« Kaczyńskiego". I zarzucił dawnemu uczniowi rzecz straszną – wierność własnym poglądom: „Jako młody nauczyciel próbowałem inicjować jakąś dyskusję w klasie, ale do Bocheńskiego jakby argumenty strony przeciwnej nie docierały. Bo on wiedział swoje i tego się trzymał. Zasklepiał się w swojej antyniemieckiej fobii". Wiadomo, obowiązkiem polskiego ucznia jest bezwarunkowa miłość do Niemiec i Niemców.

Nauczyciel Gołaszewski chce zdyskredytować dawnego ucznia, twierdząc, że „jako doradca [Zbigniewa] Raua w wyborach w 2019 r. [Bocheński] miał podobno odpowiadać za jego skrajnie homofobiczną kampanię, gdzie Rau zbliżył się do porównywania homoseksualności z zoofilią i pedofilią". Za co „podobno" odpowiadał Gołaszewski i do czego „się zbliżyła" prezydent Łodzi Hanna Zdanowska, tego opinia publiczna już się nie dowiedziała.

ZIMMERMANN SIĘ WSTYDZI

Zawiści i złości, że jego student i doktorant Andrzej Duda dwukrotnie został prezydentem RP, nie krył prof. Jan Zim-

eprasa.pl 05aed3788f

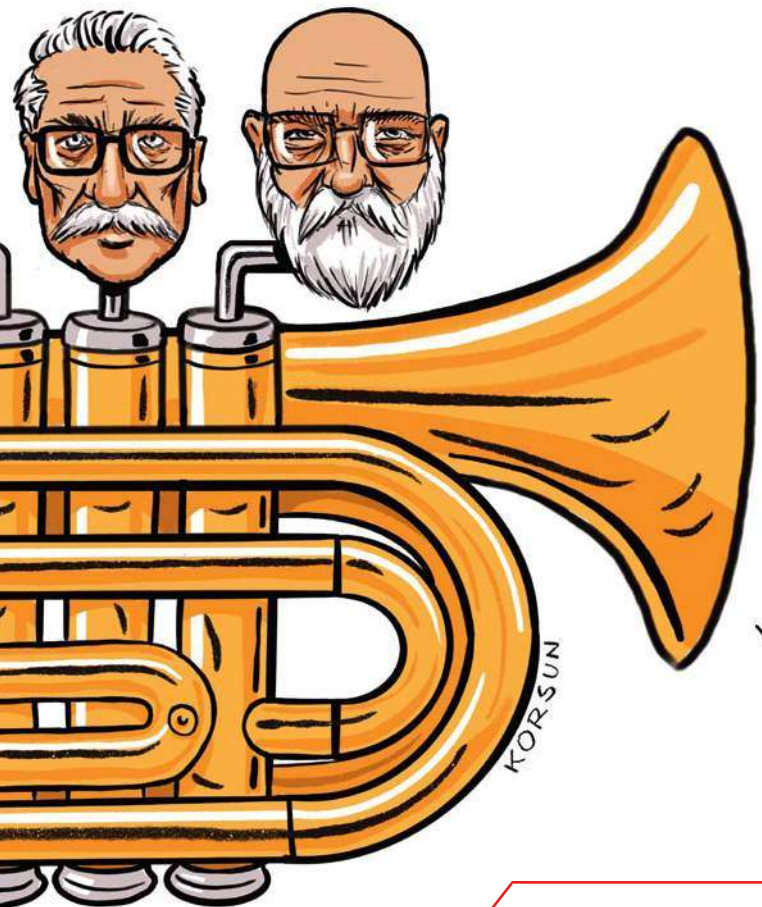

mermann: „Wstydzę się. Wstydzę od początku jego prezydentury, gdy podjął pierwsze antykonstytucyjne kroki, ułaskawiając Mariusza Kamińskiego i Macieja Wąsika. Przez te lata konstytucję, delikatnie mówiąc, nieustannie lekceważył. [...] A teraz wszystko zniszczył podpisem pod »lex Tusk«. Także zniszczył swoją karierę".

Zimmermann próbował się bawić w zastępczego rodzica i wychowawcę swego dawnego studenta: „Przez długie lata był moim asystentem i byliśmy zaprzyjaźnieni, bywał u mnie w domu towarzysko. [...] Jak poszedł w politykę, całkowicie się zmienił. Teraz brnie i zabrnął tak, że nie widzę dla niego przyszłości w Polsce ani w świecie. Przecież na UJ nie wróci, w świecie nie ma czego szukać". Nie stroni też od kuchennej psychoanalizy: „Andrzej Duda był sympatycznym człowiekiem. Moja córka była potem jego studentką i mówiła, że bardzo dobrze prowadził ćwiczenia. [...] Gdy był podwładnym u Zbigniewa Ziobry, potem Lecha Kaczyńskiego, a po katastrofie smoleńskiej Jarosława Kaczyńskiego, wszyscy po kolei mieli wpływ na niego, a on mu się poddawał. A im ten polityczny wpływ był silniejszy, tym Andrzej Duda stawał się bardziej posłuszny".

Obecny prezydent stanowczo nie sprostał oczekiwaniom swego dawnego nauczyciela, który śmiało dywaguje o jego relacjach w polityce, nie mając o tym bladego pojęcia: „Jak jest telefon z Nowogrodzkiej, to robi to, co mu mówią, jak mu coś prezydent Biden powiedział, to z kolei co innego robił, żona zapewne też ma mu coś do powiedzenia. [...] Zrobił się chwiejny, za słaby, stąd te jego próby: krok do przodu, potem dwa kroki w tył. Ciągle taka chwiejność". Profesor prawa okazuje się zwykłym powielaczem plotek i bzdur, nadając im status „wiedzy", i to tajemnej. W swej bezsilności i złości promotor doktoratu Andrzeja Dudy próbował go infantylizować: „To niesłychane, nasz asystent nam na zebraniach herbatę podawał i zmywał szklanki. Nasz Andrzejek lubiany będzie teraz prezydentem Polski?! [...] Moja żona traktowała go troszkę z dystansem, mówiła mi: »Popatrz, jak on ci się podlizuje«. [...] Kiedyś stanął samochodem pod naszym garażem i tak zatarasował wyjazd, że jak żona wyjeżdżała, otarła o drzwi bok samochodu, bo nie mogła inaczej skręcić. Na drugi dzień Andrzej przyszedł w uniformie majstra ze skrzynką narzędziową. Do dziś mam drzwi garażu obite wtedy przez niego gąbką, by już to się nie powtórzyło. Przepraszał, że zwróci koszty naprawy samochodu".

Prof. Zimmermann za nic nie przeprasza, podobnie jak nauczyciele Mateusza Morawieckiego i Tobiasza Bocheńskiego. I im nie przyjdzie do głowy, że gdyby żyli w międzywojniu i mówili o uczniach to, co mówią, jako nauczyciele, byliby skończeni. Jako ludzie pozbawieni „zdolności honorowej".

> „Donoszenie" na uczniów czy studentów, przebrane w szaty wspomnień o osobach robiących błyskotliwe publiczne kariery to nie tylko wyraz zawiści, lecz także złamanie wszelkich zasad etycznych. Przykrawanie swoich obecnych sympatii politycznych do przeszłości. To celowe przyprawianie gęby, ale też rodzaj zemsty, często wynikającej z kompleksów ludzi, którzy sami nawet się nie zbliżyli do osiągnięć swoich wychowanków

eprasa.pl 05aed3788f

Seksualnie wyedukowani

Edukację seksualną w szkołach zamiast niechcianych ciąż zapowiada minister zdrowia. Z kolei minister edukacji rozmawia z Anją Rubik, twórczynią projektu SEXEDPL, który ma ambicje zagościć w polskich szkołach. Wiele wskazuje na to, że wychowanie do życia w rodzinie może znikać z programu nauczania

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 05aed3788f

DOROTA ŁOSIEWICZ

Jak zapowiedziała minister zdrowia Izabela Leszczyna, edukacja seksualna w szkołach będzie stanowić część koniecznej edukacji zdrowotnej.

„Profilaktyka zdrowotna w szkołach jest konieczna nie tylko dlatego, żeby uczniowie poznawali samych siebie, a więc swoją psychikę, ciało, organizm, lecz także aby umieli zarządzać swoim czasem, zdrowo się odżywiać, mieli świadomość siebie samych, która jest potrzebna m.in. na poziomie zdrowia seksualnego i zdrowia prokreacyjnego" – mówiła szefowa MZ podczas jednej z konferencji. I argumentowała, że edukacja seksualna jest potrzebna, żeby zapobiec niechcianym ciążom. „Jeśli nie chcemy w Polsce niechcianych ciąż, potrzebna jest edukacja w szkołach" – przekonywała Leszczyna. Jej zdaniem dzieci powinny zdobywać wiedzę m.in. na temat zdrowia seksualnego i prokreacyjnego.

Z kolei minister edukacji Barbara Nowacka spotkała się z modelką Anją Rubik, założycielką fundacji SEXEDPL, promującej edukację seksualną. Celebrytka tak skomentowała spotkanie w mediach społecznościowych. „Dziękujemy za możliwość spotkania i omówienia kwestii związanych z edukacją, bezpieczeństwem i programem szkolnym. To była dla Nas ważna i bardzo obiecująca rozmowa. Zaledwie parę tygodni temu taka dyskusja z MEN byłaby nierealna. Bardzo się cieszymy, że mimo tak napiętego grafiku i zaledwie tydzień po objęciu stanowiska znalazła Pani Ministra dla Nas czas" – czytamy na profilu modelki na Instagramie.

Warto przypomnieć, czym zajmuje się fundacja Anji Rubik, żeby wiedzieć, w która stronę może pchnąć polską edukację seksualną minister Nowacka. „SEXEDPL to więcej niż fundacja. Jesteśmy multimedialną platformą, która zapewnia młodym ludziom, rodzicom i dorosłym kompleksową, dostosowaną do wieku edukację w zakresie praw człowieka, równości płci, relacji, reprodukcji. Informujemy o ryzykach związanych z życiem seksualnym, prezentując równolegle seks i seksualność w sposób pozytywny, podkreślając takie wartości, jak wzajemny szacunek, inkluzywność, równość, empatia i odpowiedzialność" – czytamy na stronie internetowej fundacji. „Każdego tygodnia materiały i treści edukacyjne SEXEDPL osiągają miliony odsłon. Dzięki naszym warsztatom oraz anonimowym konsultacjom online z ekspertami pomagamy setkom dzieci, nastolatkom i dorosłym miesięcznie. Organizujemy kampanie edukacyjne zwiększające świadomość, walczące ze stygmatyzacją i przełamujące tematy tabu" – czytamy.

> Z danych wynika, że częstotliwość występowania tzw. ryzykownych zachowań seksualnych (bardzo wczesnej inicjacji seksualnej, przerywania ciąży) jest wśród polskich nastolatków mniejsza niż wśród ich rówieśników w krajach, w których realizowany jest program permisywnej edukacji seksualnej

KONIEC Z WDŻ?

Powyższe zapowiedzi wskazują na to, że realizowany w polskich szkołach od 1998 r. przedmiot wychowanie do życia w rodzinie dla uczniów w wieku 11–18 lat może odejść do lamusa. Głównym celem nauczania tego przedmiotu jest przygotowanie młodzieży do życia w małżeństwie i rodzinie oraz wychowanie do przedmałżeńskiej abstynencji seksualnej. Nie propaguje się antykoncepcji, ale duży nacisk kładzie się na ekologię płodności i naturalne planowanie rodziny. Uczniowie otrzymują podstawową wiedzę dotyczącą rozpoznawania okresów płodnych i niepłodnych w cyklu kobiecym. Jest to tzw. edukacja seksualna integralna, typu A, która podkreśla aspekt wychowawczy, uwzględnia wszystkie sfery człowieka: fizyczną, psychiczną, społeczną, duchową i etyczną.

Na jej drugim biegunie stoi integracja seksualna permisywna, typu B, promowana przez środowiska lewicowe i liberalne, realizowana np. w Wielkiej Brytanii, Niemczech czy Szwecji. W tym modelu człowiek ma prawo do realizacji swoich potrzeb seksualnych, nawet jeśli nie zamierza wchodzić w relację małżeńską. Aby jednak zaspokajanie potrzeb seksualnych było bezpieczne, przekazuje się wiedzę na temat antykoncepcji i chorób przenoszonych drogą płciową. Ten typ edukacji koncentruje się więc na sferze biologicznej, zakłada całkowitą swobodę w sferze seksualności. Innymi słowy edukacja seksualna typu A ma na celu ukształtowanie dojrzałego człowieka, odpowiedzialnego za swoje zachowania w sferze seksualnej, a edukacja seksualna typu B jest informacją techniczną, swoistym instruktażem, promocją permisywizmu seksualnego. Wszystkie zapowiedzi dzisiejszej władzy wskazują, że w Polsce nastąpi przejście od edukacji seksualnej typu A do tej typu B.

– Mamy najlepszą edukację seksualną w Europie, a może nawet i na świecie. Na pewno najbardziej skuteczną – tłumaczyła mi kiedyś w telewizji wPolsce.pl Teresa Król, konsultant WDŻ. W latach 1998–2001 Król była zatrudniona w MEN przy ministrze Handke i pełniła funkcję głównego wizytatora oraz przewodniczącej Zespołu Opiniodawczo-Doradczego ds. wdrażania zajęć WDŻ, które z niewielkimi zmianami funkcjonują do dziś.

– Od zwolenników wprowadzenia w Polsce edukacji seksualnej typu B często słyszymy, że polska młodzież, dzieci

eprasa.pl 05aed3788f

Wybrane charakterystyki zachowań seksualnych nastolatków w wybranych krajach europejskich (2017 r.)

	Polska	Szwecja	Wielka Brytania	Niemcy
Odsetek nastolatków z inicjacją seksualną w wieku 15 lat				
Chłopcy	16	26	18	19
Dziewczęta	18	24	23	22
Liczba żywych urodzeń na 1000 nastolatek w wieku 15–19 lat	10,9	4,3	12,6	8,0
Liczba legalnie przeprowadzonych aborcji na 1000 nastolatek w wieku 15–19 lat	0,02	13,3	13,1	3,8
Udział aborcji dokonanych przez nastolatki w wieku 15–19 w ogólnej liczbie aborcji (w %)	1,7	9,2	12,4	7,5
Liczba legalnie przeprowadzonych aborcji na 1000 żywo urodzonych dzieci przez nastolatki w wieku 15–19 lat	1,8	3035,1	1048,4	482,9

Opr. Polskie Stowarzyszenie Obrońców Życia Człowieka

nie dowiadują się, jak np. ochronić się przed pedofilami lub że nie dowiadują się, iż ciąża jest wynikiem aktu seksualnego między mężczyzną i kobietą. To nieprawdziwa argumentacja – tłumaczyła pani konsultant. – Permisywizm polega na tym, że kładziemy nacisk na korzystanie z przyjemności bez ponoszenia konsekwencji. Już nawet dzieci próbuje się wprowadzać w sferę seksualności, tylko pytanie, kto weźmie odpowiedzialność za skutki takiej przedwczesnej seksualizacji? – pytała na antenie wPolsce.pl ekspertka.

– Seksualność w typie edukacji integralnej jest zanurzona w ludzkiej naturze. Można oczywiście skoncentrować się wyłącznie na aspektach technicznych, jak jest w edukacji typu B, ale nie jest to ruch w górę, tylko ruch w dół, w kierunku animalizacji człowieka – tłumaczyła mi w tej samej rozmowie dr Justyna Melonowska z Akademii Pedagogiki Specjalnej. – Chciałabym podkreślić wątek, który jest całkowicie pomijany w dyskusji na temat edukacji seksualnej. Chodzi mi o erotyzm. Istotą erotyzmu jest pewnego rodzaju niespełnienie, dążenie. Erotyzm istnieje tam, gdzie mamy pewnego rodzaju niedopowiedzenie, gdzie pewna sfera jest zasłonięta, gdzie jest tajemnica. Im więcej tego permisywnego podejścia do edukacji seksualnej, tym bardziej jesteśmy z tego erotyzmu odzierani i w gruncie rzeczy tępi seksualnie. W tym sensie WDŻ pozwala ocalić erotyzm, który zanika – podkreślała dr Melonowska.

MNIEJ CIĄŻ?

Izabela Leszczyna twierdzi, że edukacja seksualna jest potrzebna, żeby zapobiec niechcianym ciążom. Czy to jednak prawdziwe twierdzenie? By odpowiedzieć na to pytanie, warto spojrzeć na dane dotyczące zachowań seksualnych młodzieży w krajach realizujących program edukacji seksualnej budowany na odmiennych założeniach aksjologicznych.

Czy edukacja seksualna typy B faktycznie prowadzi do obniżenia liczby nieplanowanych ciąż wśród nastolatek i wpływa na spadek poziomu aborcji? Spójrzmy na dane z czterech krajów europejskich: Polski – w której realizowany jest program edukacji seksualnej typu A – o charakterze „proabstynencyjnym i prorodzinnym" – oraz Szwecji, Wielkiej Brytanii i Niemiec, czyli krajów o rozwiniętej edukacji permisywnej typu B. Do przeprowadzenia analizy wykorzystano wyniki zaczerpnięte z oficjalnych źródeł statystycznych.

Z danych wynika, że częstotliwość występowania tzw. ryzykownych zachowań seksualnych (bardzo wczesnej inicjacji seksualnej, przerywania ciąży) jest wśród polskich nastolatków mniejsza niż wśród ich rówieśników w krajach, w których realizuje się program permisywnej edukacji seksualnej. Warto zwrócić uwagę na informację o relatywnie wysokiej w Polsce – w porównaniu ze Szwecją i Niemcami – częstotliwości urodzeń dzieci przez nastoletnie matki. Przeważającą część tych matek stanowią kobiety wprawdzie bardzo młode, ale w świetle prawa pełnoletnie (18- i 19-latki), z których pewna część jest już zamężna. Macierzyństwo w bardzo młodym wieku nie zawsze jest więc synonimem „samotnego" rodzicielstwa.

Warto również zwrócić uwagę na informacje dotyczące przerywania ciąży przez nastolatki. Różnice między Polską a innymi krajami europejskimi są w tym zakresie uderzające. Zarówno wskaźnik przerwań ciąży przez dziewczęta w wieku 15–19 lat, jak i udział przerwań ciąży przez nastolatki w ogólnej liczbie legalnie dokonanych aborcji jest w Polsce od wielu lat znacząco niższy niż w pozostałych krajach.

Wyraźnie więc widać, że realizacja edukacji seksualnej typu B nie eliminuje problemu nieplanowanych ciąż i aborcji u nieletnich, nie zabezpiecza też skutecznie przed chorobami przenoszonymi drogą płciową. Zdecydowanie lepsze wyniki przynosił w tym zakresie realizowany w naszym kraju program wychowania do życia w rodzinie, czyli edukacja seksualna typu A.

– W Szwecji edukacja seksualna typu B obowiązuje od 50 lat. Jednak gdy spojrzymy na dane, okazuje się, że w tejże Szwecji, na której tak chętnie chcieliby się wzorować liberałowie, jest trzykrotnie więcej ciąż wśród nastolatek, które kończą się aborcją, niż w Polsce. Wyniki tej edukacji wcale nie są dobre – nie ma wątpliwości Teresa Król.

Wszystko jednak wskazuje na to, że to tą drogą planuje podążać nowy rząd.

Reklama | 18/1123/F

eprasa.pl 05aed3788f

TOTALIZATOR SPORTOWY

LOTTO

Właściciel marki LOTTO

NAJWIĘKSZY MECENAS SPORTU I KULTURY W POLSCE

PONAD 20

MILIARDÓW ZŁOTYCH

PRZEKAZANYCH NA POLSKI SPORT I KULTURĘ OD 1994 ROKU

#WygrywamyRazem

eprasa.pl 05aed3788f

Koniec balu u Strzępki

Wielka wizjonerka, która chciała przeobrazić warszawski Teatr Dramatyczny w świątynię złotej waginy, wyleciała z hukiem z dyrektorskiego stanowiska, zwolniona przez tak postępowe i lewicowe władze Warszawy. Czy upadek Moniki Strzępki to tylko jej osobista wina?

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 05aed3788f

Jej wprowadzenie dwa lata temu do teatru było nie mniej spektakularne niż siłowe przejęcie polskich mediów. Warszawski ratusz zdecydował, że Tadeusz Słobodzianek zakończy dyrektorowanie i w konkursie, w którym miały miejsca nawet podstawowe uchybienia formalne, wybrano nową gwiazdę feminizmu. Tygodnik „Sieci" (8/2022) pisał o tym już dwa lata temu. W wywiadach Strzępka opowiadała, że jej „ciało domaga się apostazji" od Kościoła katolickiego, że wysokie budynki kojarzą jej się z fallusami, w gmachu teatru ustawiła „złotą waginę", którą z czcią nazywała „wilgotną panią". Ta ostatnia była instalacją Iwony Demko, innej bohaterki polskiego feminizmu, którą Strzępka wyjątkowo ceni. Warto to podkreślić – nowa dyrektor była mocno osieciowana w lewicowym środowisku, nie wzięła się znikąd.

Wojewoda mazowiecki z nadania PiS Konstanty Radziwiłł próbował gasić pożar poprzez jej zawieszenie i namawianie do ponownego wyboru szefa placówki, lecz ludzie Trzaskowskiego stawiali na Strzępkę, a Wojewódzki Sąd Administracyjny w Warszawie uchylił rozstrzygnięcie nadzorcze wojewody.

Po dwóch latach plotek, intryg czy wręcz skandali, ale przede wszystkim osuwania się Teatru Dramatycznego po równi pochyłej, Strzępkę zdjęto z funkcji. Nie myślmy jednak, iż to kolejny epizod polskiego teatru albo że lewicowa rewolucja pożarła kolejne swoje dziecko – tym razem córkę. Wiele wskazuje na to, że sprawa ma drugie dno i szerszy kontekst.

„EZOTERYCZNA DYREKTORKA"

O dziwnych zajściach i atmosferze szaleństwa w teatrze było wiadomo już wcześniej, bo z Dramatycznego odchodzili najlepsi aktorzy. Adam Ferency przeszedł do teatru Imka Tomasza Karolaka, Modest Ruciński odnalazł się w Teatrze Rampa, inni uciekli aż do Łodzi, do teatru Jaracza, a jeszcze inni nieco bliżej – do Teatru Polskiego Andrzeja Seweryna.

Komentatorzy i krytycy teatralni jej to darowali, usprawiedliwiali, tłumaczyli jej wizjonerstwem, jej konsekwencją, Strzępkę nazywano „bezkompromisową" i to miało zamknąć dyskusję. „Dziwi cię ciągłe mówienie o waginach

JAKUB AUGUSTYN MACIEJEWSKI

i fallusach? Widać jesteś polskim zaściankiem, który nie rozumie głębokiej sztuki".

„Zmiana modelu pracy jest najważniejszym wyzwaniem" – zapewniała Strzępka w jednym z wywiadów, mówiąc o aktorach swojego teatru oraz o aktorach w ogóle. Jaki miał być ten nowy model? W teatrze pojawiły się bliżej nieznane menedżerki bez dookreślonych zadań, stronnicy nowej dyrektor zostali nazwani „kolektywem", jej biuro – „waginetem".

Sama szefowa zachowywała się dziwnie. „Próbowaliśmy się dowiedzieć o losie jednej ze sztuk" – tłumaczy tygodnikowi „Sieci" aktor proszący o anonimowość. „Dyrektorka kluczyła, zwodziła, czasem wybuchała gniewem, mówiąc o agresji płciowej czy złej energii". Czy z tego powodu ze scen zdjęto takie sztuki jak „Człowiek z La Manchy" czy „Amadeusza", a „Rewizora" grano raz na rok? To ostatnie też było zabiciem sztuki – jego wystawianie jest trudne, wymaga powtarzania kwestii, wielu przygotowań, nie wystarczy zwołać aktorów raz na kilkanaście miesięcy, by z marszu odegrali swoje role. Dostało się więc głównie sztukom konserwatywnym, europejskiej klasyce. Może „Madame" Antoniego Libery uciekła spod ostrza waginetu, bo choć w tradycyjnym stylu, pokazywała jednak zachwyt nad kobiecym pięknem i przenikliwością, a poza tym przyciągała widzów? Ostał się też „Mistrz i Małgorzata", ale w niektórych pokazach interpretacja aktorów szła w stronę molestowania bohaterki przez samego Wolanda. To oczywiście nie wymysł Bułhakowa, lecz swobodne traktowanie dzieła przez artystów.

DO SEKSU Z DRZEWEM NIE DOSZŁO

W połowie grudnia miała się odbyć wielka premiera feministycznej sztuki „Heksy" w reżyserii samej dyrektorki. Spektakl powstał na podstawie powieści Agnieszki Szpili o tym samym tytule. Dziełko mówi o współżyciu seksualnym z... drzewem. Strzępka miała uzasadniać wielkość tej sztuki nowoczesnością, feminizmem i transhumanizmem. Jej zwolennicy pobłażliwie tłumaczyli, że dyrektor używa „języka ezoteryki". Nie dało się z nią porozmawiać, chronił ją też kobiecy „kolektyw".

Aktorzy odpływali, ale odpływali też widzowie. Pod koniec roku Strzępka zapowiedziała redukcję teatru – zespół aktorski miał się zmniejszyć niemal o połowę. „Atmosfery w Dramatycznym nie da się opisać pojedynczymi anegdotami" – komentuje aktor. „Przyszli jacyś ludzie, artystyczne zera, promowani przez Strzępkę, mówiący jej »psychoterapeutycznym« językiem, w starej ekipie niemal nikt nie był pewny, czy znajdzie się dla niego miejsce". Zaczęły się więc przepychanki o pieniądze, portal Onet ujawnił, że sama dyrektor zarabiała 18 tys. zł brutto, ale to nie jest jakaś zawrotna kwota jak na warszawskie standardy. Zapowiadane zwolnienia miały być wynikiem trudności finansowych, ale stołeczny ratusz byłoby stać na wsparcie swojej ulubienicy. Więc raczej nie finanse zaważyły na upadku Strzępki, lecz jej trudny charakter i zideologizowanie placówki na każdym kroku.

OPUSZCZONA STRZĘPKA

Tadeusz Słobodzianek nie chce komentować sytuacji w Dramatycznym. Jest wyraźnie rozżalony, ale nie odnosi się personalnie do nikogo, lecz po prostu szkoda mu teatru. Tworzył go przez 10 lat, miał cztery sceny, kilkudziesięciu aktorów i wiernych widzów. Wszystko wskazuje na to, że o dyrektorowanie Dramatycznym nie będzie się już ubiegał.

Ale pytani o Strzępkę nie chcą opowiadać szczegółów z jeszcze innego powodu – boją się autentycznie skrzywdzić kogoś z aktorów czy autorów, bo dyrektorka potrafi się mścić i upokarzać. Ostatnio zwolniła nawet swój własny „kolektyw", decydując, że teraz będzie rządziła sama. Dopiero wtedy pożegnał się z nią ratusz. Kolejny cios w plecy – czy to nie dziwne, że jej ideologiczni zwolennicy tak się od niej odwracają?

eprasa.pl 05aed3788f

Na zarzuty o mobbing, które raz po raz wyciekały do mediów, sama Strzępka nie odpowiadała. Do czasu. W grudniu oskarżenie powtórzyła zaprzyjaźniona z nią Agnieszka Szpila, autorka książki „Heksy", której wystawienie miało uratować teatr. Dzień przed premierą ogłoszono, że wszystkie grudniowe pokazy zostają odwołane, a widzowie mogą ubiegać się o zwrot pieniędzy za bilety. To właśnie autorka „Heksów" powtórzyła oskarżenie o „mobbing", a za nią takie media jak TVN24, „Gazeta Wyborcza" czy tygodnik „Polityka".

W tym samym czasie wiceprezydent Warszawy Aldona Machnowska-Góra, która wypromowała Strzępkę i przeforsowała jej wybór na dyrektora, ogłosiła, że odebrała od szefowej Dramatycznego „ustną deklarację o rezygnacji z funkcji". To ciekawe, bo sama Strzępka do dziś mimo formalnego odwołania upiera się, że jest i dalej chce być dyrektorem Dramatycznego. Kolejny cios nadszedł więc z ratusza.

Podsumujmy – zaatakowali ją pracownicy, zawiódł ją „kolektyw", Brutusem okazała się Szpila, dobiła zastępczyni Trzaskowskiego. Sporo tych Judaszów. Lewicowa aktywistka nie została prorokinią w teatrze, który mieści się w Pałacu Kultury im. Józefa Stalina

PAJĘCZYNA LEWICOWYCH AKTYWISTEK

Co prawda na wysłane od tygodnika „Sieci" pytania reżyserka nie odpowiedziała, ale jeszcze w grudniu wydała publiczne oświadczenia. „Nie stosuję przemocy. To nie są moje narzędzia reżyserskie. Ani dyrektorskie. Przemoc jest mi zarzucana wyłącznie w mediach poprzez pomówienia, fałszywe oskarżenia, insynuacje i hejt".

Strzępka broni się też, mówiąc o swojej wcześniejszej karierze. „Pracuję w teatrze od ponad 20 lat, a moje relacje z zespołami aktorskimi, technicznymi i administracyjnymi zawsze opierały się na wzajemnym szacunku i sympatii. Zaufanie, które udało mi się wypracować przez lata, umożliwiało mi wielokrotne powroty do pracy w teatrach w Krakowie, Wrocławiu czy Wałbrzychu. Publiczność zna moje przedstawienia, środowisko zna moje zaangażowanie,

Dlaczego czas Moniki Strzępki w Teatrze Dramatycznym się skończył?

aktorki i aktorzy znają moją metodę pracy. Nigdy nie było w niej miejsca na przemoc".

Pyta też o dowody lub przykłady mobbingu. Faktycznie, nikt konkretnych zarzutów nie sprecyzował, choć nie ma wątpliwości, że zarówno atmosfera w teatrze była fatalna, jak i zarządzanie odbiegało od standardów. Jednak ci, którzy próbują strącić Strzępkę z piedestału, nigdy nie mieli przeważającego głosu w debacie publicznej, a Agnieszka Szpila, której oburzenie na mobbing przepełniło czarę, uchodzi raczej za lewicową, wulgarną ekstremistkę, forsowaną na salony za swoje poglądy, a nie talent. We wrześniu 2022 r. napisała ona w „Krytyce politycznej" tekst, za który oklaskiwali ją inni radykałowie. „Zdecydowałam się napisać ten tekst, by ujawnić szwindel, do którego zmusza mnie ch...jowa polityka społeczna polskiego rządu. Każdego, choć aktualnego w szczególności" – grzmiała w felietonie zatytułowanym „Gdzie są te dzieci? W d...pie". Choć była to mocno antypisowska retoryka, to mainstream nie przyjął jej na sztandary. Słowem: krytycy Strzępki stanowili margines wpływu na decyzje ratusza.

Mamy więc nieudowodnione zarzuty, ideologię, która decydentom wcześniej nie przeszkadzała i braki finansowe, które dla rządzącej w Warszawie PO nigdy nie były powodem do dymisji. Co więc zaszło?

SZKOŁA JANCZARÓW ZAWIESZONA

Owszem, Strzępka miała w sobie coś z Aleksandry Kołłontaj, socjalistycznej feministki, współtworzącej pierwsze projekty Związku Sowieckiego. Polska reżyserka z Teatru Dramatycznego wręcz stworzyła coś na kształt Żenotdiełu, czyli urzędu ds. kobiet, choć wykreowała nie urząd, a instytucję, która miała oddziaływać na kulturę, by walczyć z patriarchatem. Utrącanie sztuk eksponujących zasługi czy wyrazistość mężczyzn, długa praca nad paranoicznie feministyczną premierą i słownictwo artystki dotyczące „waginetów" i „wilgotnych pań" wydawało się być wręcz kalką zbitek słownych drewnianej mowy komunistów. Żenotdieł Aleksandry Kołłontaj nie przyjął się w Sowietach, tak jak nie przyjął się „nowy model teatru" Moniki Strzępki – władza potrzebuje efektywności i spokoju, a nie ideologicznej beczki z prochem.

„A nie dziwi pana, że odwołano ją dopiero teraz? Przecież te zarzuty pojawiły się już dużo wcześniej" – pyta prowokująco jeszcze jedna osoba blisko związana z Teatrem Dramatycznym. „Ten teatr miał być szkołą lewackich janczarów, przydatnych do różnych prowokacji, ale przecież teraz zmieniła się władza w Polsce i już prowodyrzy rozruchów, nowe wersje Marty Lempart nie są potrzebne" – tłumaczy nasz rozmówca.

Nad tą tezą unosi się nie kulturowe i ideologiczne działanie, lecz polityczna strategia – podsycania radykalizmu podczas rządów nielubianych konserwatystów i uspokajania zarzewi konfliktu, gdy władza wróciła na salony III RP. Już przecież gdy wojewoda Radziwiłł próbował zatrzymać Strzępkę przed wejściem do Teatru Dramatycznego, były znane jej poglądy, jej doświadczenie teatralne, specyficzne spojrzenie na sztukę oraz braki jako kandydatki na stanowiska dyrektora. Szpila dorzuciła kamyczek do upadku Strzępki dwa miesiące po wyborach i dopiero wtedy jej dawna zwolenniczka z warszawskiego ratusza przedstawiła wersję o rezygnacji szefowej Dramatycznego.

Przestała być przydatna? Najgorliwsze córy rewolucji czasem najmniej z tej rewolucji rozumieją.

Fot. Jacek Dominski/REPORTER

eprasa.pl 05aed3788f

MAREK BUDZISZ

Czy uda się odbić Krym?

To nie będzie jedna zwycięska bitwa, ale długa batalia. Można ją jednak wygrać, w nowatorski sposób wykorzystując sprzęt, którym się dysponuje. Choćby morskie drony, siejące postrach wśród żołnierzy Floty Czarnomorskiej. Osaczanie Krymu może być sposobem na zmuszenie Rosji do korzystnych dla Ukrainy rozmów pokojowych

Ukraiński wywiad wojskowy ujawnił nagrania Grupy 13, tajnej formacji sił specjalnych, której zadaniem jest polowanie na rosyjskie okręty. W ostatnich dniach przy użyciu morskich dronów własnej konstrukcji udało się jej zniszczyć rosyjski kuter torpedowy Iwanowiec, patrolujący wody okalające Krym w okolicy jeziora Donuzlaw na północ od Eupatorii. To już 28. jednostka Floty Czarnomorskiej, którą stracili Rosjanie od początku wojny. Jest o tyle zaskakujące, że w momencie jej wybuchu Ukraina właściwie nie dysponowała znaczącym potencjałem marynarki wojennej, a te okręty, które miała, takie jak remontowana fregata Hetman Sahajdaczny, musiała sama zatopić w pierwszych dniach marca 2022 r. w obliczu szybkich postępów Rosjan.

Sukcesy strony ukraińskiej, która na masową skalę zaczęła się posługiwać tanimi konstrukcjami bezzałogowymi, potocznie określanymi mianem „dronów morskich", w celu

Fot. Andrzej Skwarczyński

eprasa.pl 05aed3788f

zwalczania okrętów przeciwnika, już wywołały w środowisku ekspertów dyskusję na temat rewolucji w zakresie wojny morskiej. Zdaniem niektórych, np. Alberta Palazzo z australijskiego Uniwersytetu Nowej Południowej Walii, wejście na szerszą skalę bezzałogowych systemów walki oznacza zakwestionowanie sensu budowy dużych i niezwykle kosztownych okrętów, a nawet to, iż teraz siły lądowe są w stanie kontrolować morza i oceany. To, co się dzieje na Morzu Czarnym, jest też baczenie obserwowane w Wielkiej Brytanii, zwłaszcza że Royal Navy ma trudności z rekrutacją (obecnie brakuje 30 tys. personelu). W admiralicji trwa dyskusja, czy w przyszłości warto będzie budować duże i bardzo kosztowne okręty, które mogą zostać zatopione w wyniku ataku „tanich" dronów.

Sukces Ukrainy, która zniszczyła już ponad 20 proc. Floty Czarnomorskiej i zmusiła rosyjskie dowództwo do wycofania jej na wschodnią część morza, a nawet podjęcia decyzji o budowie nowej bazy morskiej w oddalonej od Krymu i przez to bezpieczniejszej Abchazji, z pewnością ma znaczenie. Nie ulega bowiem wątpliwości, co podkreślał Ben Hodges, były dowódca sił NATO w Europie, w specjalnym raporcie opublikowanym w maju ub.r. przez think tank CEPA, że o zwycięstwie w wojnie na Ukrainie przesądzi to, kto ostatecznie będzie kontrolował Krym.

> Nie ulega wątpliwości, co podkreślał Ben Hodges, były dowódca sił NATO w Europie, że o zwycięstwie w wojnie na Ukrainie przesądzi to, kto ostatecznie będzie kontrolował Krym

Póki co Ukraina może mówić o wymiernym sukcesie. Udało jej się odblokować czarnomorski szlak żeglugowy, mimo że Rosjanie, wychodząc w sierpniu ub.r. z porozumienia w tej kwestii, podpisanego dzięki staraniom ONZ i Turcji, zagrozili, że mogą traktować każdy obiekt, w tym statki cywilne, w kategoriach celów. Mimo tych pogróżek od sierpnia ub.r. z trzech kontrolowanych przez Ukrainę portów czarnomorskich wypłynęło ponad 500 statków, co w efekcie doprowadziło do tego, że eksport towarów masowych, przede wszystkim zboża i nasion roślin oleistych, wrócił do poziomu z 2021 r. Aby osiągnąć taki efekt, Ukraina musiała nie tylko we współpracy z państwami NATO, mającymi dostęp do brzegu Morza Czarnego, wyznaczyć nowy szlak żeglugowy, przebiegający przez wody terytorialne Rumunii i Bułgarii, lecz także „oślepić" Rosjan, pozbawić ich w pierwszym rzędzie zdolności w zakresie zwiadu i rozpoznania, a następnie „przegonić" ich marynarkę wojenną z tej części Morza Czarnego. Wymagało to precyzyjnego i rozpisanego na wiele etapów planu działania, który jest metodycznie realizowany przez siły ukraińskie.

SKUTECZNE DZIAŁANIA

Najpierw odbito Wyspę Węży, którą Rosjanie zdobyli w pierwszym okresie wojny i gdzie zainstalowali swe systemy ogniowe. Ten, kto kontroluje tę niewielką, ale strategicznie niezwykle ważną wysepkę, może blokować szlaki żeglugowe z Odessy i innych okolicznych portów. Następnie ukraińscy komandosi opanowali tzw. Wyszki Bojki, nieeksploatowane platformy znajdujące się na Morzu Czarnym nieopodal krymskiego wybrzeża, które Rosjanie wykorzystywali, instalując tam systemy rozpoznania elektronicznego. Równocześnie z atakami na rosyjskie okręty Ukraińcy niszczyli systemy radarowe znajdujące się na Krymie, unieszkodliwili baterie obrony przeciwrakietowej, a kilkanaście dni temu zestrzelili rosyjski samolot wczesnego ostrzegania A-50, który kosztował 300 mln dol. Wcześniej najprawdopodobniej brytyjska rakieta Storm Shadow uderzyła w znajdujący się w Sewastopolu budynek sztabu rosyjskiej Floty Czarnomorskiej. W tym ataku miało zginąć kilkudziesięciu rosyjskich oficerów.

Oprócz działań Grupy 13 ukraińskie siły specjalne prowadzą na Krymie inne operacje zaczepne. Ich przedstawiciele poinformowali m.in. o zdobyciu i wysadzeniu kolejnej platformy wydobywczej znajdującej się u wybrzeży Krymu, z której Rosjanie prowadzili rozpoznanie elektroniczne, a także zainstalowali na niej systemy umożliwiające start irańskich dronów bojowych. Za operację „Cytadela", bo takim kryptonimem określono tę akcję, odpowiadała 73. Grupa Morskiego Centrum Sił Operacji Specjalnych, której żołnierze „nie powiedzieli jeszcze ostatniego słowa". Opis działań sił ukraińskich na Krymie można kontynuować, ale nie ulega wątpliwości, że obecnie jest to jedyny okupowany przez Moskali obszar, gdzie ukraińskie siły specjalne prowadzą działania na szerszą skalę. Pozwala to nam zrozumieć nie tylko, jak będzie wyglądała sytuacja na półwyspie w najbliższych miesiącach, lecz także jak te działania wpisują się w ukraiński plan wygrania wojny.

PRZEŁOMOWY PUNKT WOJNY

Ze strategicznego punktu widzenia dla ukraińskich elit Krym jest ważniejszy niż pozostałe okupowane przez Rosjan tereny ich państwa. Z tego też powodu prezydent Andrzej Duda myli się, rozważając czy Kijów nie będzie musiał pogodzić się z utratą półwyspu. Jak napisała jeszcze w ub.r. w Atlantic Council Maria Zołkina, pracująca w London School of Economics, bez odzyskania Krymu Ukraina nie ma co liczyć na stabilny pokój, a utrata półwyspu przez Rosjan może być przełomowym punktem wojny.

Do tej pory na Zachodzie przyjmowano, że ma on przede wszystkim znaczenie symboliczne. W świetle tego rozumowania jeśli Putin straci zdobyty w 2014 r. półwysep, to nie będzie już w stanie nikogo w Rosji przekonać, że wygrywa wojnę, wszystkie wysiłki i wyrzeczenia, na które godziło się rosyjskie społeczeństwo od lutego 2022 r. okażą się daremne i ta utrata złudzeń może doprowadzić do obalenia Putina albo przez lud, albo przez jego kamratów. Taka ocena sytuacji implikowała następne sądy, w świetle których właśnie z tego

eprasa.pl 05aed3788f

powodu, że Krym jest ważny dla Kremla, w obliczu jego utraty rosyjskie władze mogą się zdecydować na eskalację wojny nawet do poziomu nuklearnego. A zatem w obliczu takiego scenariusza lepiej będzie odpuścić Krym i pozostawić nad nim kontrolę Moskalom.

Zołkina, dostrzegając „brak jedności sojuszników" w kwestii odzyskania Krymu, podnosi fundamentalne w tym kontekście argumenty. Otóż jak napisała: „Jeśli rosyjskie groźby nuklearne zapobiegną wyzwoleniu Krymu, Kreml nieuchronnie zastosuje to samo podejście, aby skonsolidować kontrolę nad innymi regionami Ukrainy, które znajdują się obecnie pod rosyjską okupacją. Stworzony zostanie niebezpieczny precedens o katastrofalnych skutkach dla przyszłości bezpieczeństwa międzynarodowego".

Jan Kalberg, wykładowca akademii West Point, przedstawił właśnie na portalu think tanku CEPA scenariusz rosyjskiej wojny o państwa bałtyckie, w których ten element gry nuklearnej ma decydujące znaczenie. Jak napisał, „gdybym dowodził rosyjskim Sztabem Generalnym, to uderzyłbym w dwóch kierunkach – na estoński Tallin i jednocześnie na Wilno oraz Przesmyk Suwalski. Starałbym się wykorzystać przewagę zaskoczenia i to, że siły NATO, najwcześniej z Polski, byłyby w stanie dotrzeć w rejon walk w 72 godziny. Ten czas pozwoliłby Rosjanom na znaczne zdobycze terytorialne, a wojnę zakończyliby, odpalając nad niezaludnionymi obszarami, zarówno nad akwenem morskim, jak i nad własnym terytorium, głowice jądrowe niewielkiej mocy. Skala strat byłaby niewielka, ale przerażenie na Zachodzie, że właśnie uruchamiany jest scenariusz armagedonu, miałoby skłonić polityków z państw oddalonych od Rosji z pogodzeniem się z tym, iż w Europie Środkowej NATO musi ustąpić". To tylko intelektualna prowokacja, ale pokazująca, iż od tego, w jaki sposób rozwiąże się „kwestię Krymu" – po myśli Kijowa czy Moskwy – mogą zależeć nie tylko losy obecnej wojny, lecz także coś znacznie więcej, w tym przyszłość Polski.

NOWA STRATEGIA

Pytanie tylko, w jaki sposób dowództwo ukraińskich sił zbrojnych chciałoby odzyskać półwysep i czy może w tym liczyć na wsparcie sojuszników. W tym przypadku nieco uwagi należy poświęcić nowej ukraińskiej strategii wojennej. W skrótowy sposób opisał ją gen. Wałerij Załużny, który opublikował w CNN artykuł poświęcony temu zagadnieniu. Napisał w nim, że to, co trzeba w sposób zasadniczy zmieniać sprowadza się do „sposobu użycia sił". Ukraina nie ma większych szans na pokonanie Rosji, jeśli brać pod uwagę tylko potencjały obu stron, ale współczesne pole walki to również starcie myśli technicznej, wynalazków i przede wszystkim tego, jak w nowatorski sposób wykorzystać to, czym się dysponuje. Załużny jest przekonany, że systemy bezzałogowe już niedługo zaczną dominować, wyręczając nawet artylerię czy kosztowne rakiety. Na tym polu Ukraina może osiągnąć przewagę, jeśli, jak napisał, „co cztery miesiące" będzie w stanie wprowadzać do walki nowe, rewolucjonizujące sytuację systemy bezzałogowe własnej konstrukcji. Takie jak właśnie drony morskie, pierwszy raz użyte w walce w ub.r., których zastosowanie zmienia sytuację strategiczną na Morzu Czarnym, ośmielając też państwa NATO, bo Rumunia, Bułgaria i Turcja rozpoczynają wspólną misję usuwania min morskich, utrudniających żeglugę do Odessy. Te nowe systemy, znacznie tańsze od tradycyjnych środków walki, mają dać nie tylko lepszą świadomość sytuacyjną, wiedzę, co wróg robi, gdzie się znajduje i co może planować, lecz także są w stanie zniwelować rosyjską przewagę w artylerii i ciężkim sprzęcie. Wojna w coraz większym stopniu będzie bezkontaktowa, a ukraińskie oddziały, choć mniejsze liczebnie, będą szybsze w działaniu.

> Ukraina przy użyciu systemów bezzałogowych nowej generacji będzie przenosić wojnę na teren Federacji Rosyjskiej, atakując przede wszystkim sektor rafineryjny

Ale to nie jedyna zmiana w ukraińskiej strategii. Nieco więcej o tym, jak może wojna wyglądać, napisali na stronach War on the Rocks, specjalistycznego portalu zajmującego się kwestiami wojskowymi i strategicznymi, Michael Kofman, Rob Lee i Dara Massicot. Ich zdaniem siły ukraińskie przejdą do defensywy, ale będą się skutecznie bronić zza linii obrony przypominających rosyjską linię Surowikina. Nie oznacza to, że wojna zostanie „zamrożona", ale przede wszystkim może się zmienić gra sił. Jeśli Moskale będą atakować umocnione pozycje, a strona ukraińska nadal celnie uderzać z dystansu, to logika „ścierania się sił" może zacząć działać na korzyść Ukrainy. Straty rosyjskie będą rosły, a postępy w terenie będą co najwyżej umiarkowane. Głównym zadaniem Ukrainy będzie „przetrwać", przeprowadzić mobilizację i zreorganizować swe siły, rozbudować przemysł zbrojeniowy i utrzymać poparcie sojuszników. Jeśli to się uda, to pod koniec roku sytuacja strategiczna Ukrainy być może zacznie się zmieniać na jej korzyść, bo wówczas Rosjanie staną przed bolesnym dylematem. Nie tylko nie osiągną przewagi i najprawdopodobniej nie zajmą Donbasu, lecz także nie będą już w stanie w większym stopniu mobilizować swej gospodarki. Dodatkowo strona ukraińska właśnie przy użyciu systemów bezzałogowych nowej generacji będzie przenosić wojnę na teren Federacji Rosyjskiej, atakując cele cywilne, przede wszystkim sektor rafineryjny. Krym znajdzie się pod stałym ostrzałem, a to będzie oznaczało, że koszty utrzymania półwyspu i związane z tym straty Floty Czarnomorskiej będą tylko rosły. Wówczas, na początku 2025 r., kiedy Rosjanie zmobilizują już wszystkie swoje zasoby wojskowe i ekonomiczne, a Ukraina przetrwa i utrzyma wsparcie sojuszników, będzie można mówić o odzyskaniu przez Kijów inicjatywy, a nawet szansach na rozpoczęcie rokowań pokojowych, ale na warunkach akceptowalnych dla Zełenskiego. Wtedy kwestia Krymu może wrócić, ale na zupełnie innych warunkach, niż się dziś powszechnie sądzi.

eprasa.pl 05aed3788f

Ukraina: rozkład systemu władzy

Za kilka dni upłyną już dwa lata, odkąd ruszyła wielka moskiewska inwazja na Ukrainę. Od tamtego czasu w demokratycznym świecie co najmniej dwukrotnie zmieniały się opinie i nastroje towarzyszące toczącej się wojnie

JAN ROKITA

W końcówce zimy 2022 r. mało kto sądził, że Kijów będzie zdolny obronić się przed wielokilometrowymi zagonami pancernymi, bombami i rakietami oraz odkrywaną stopniowo skalą okrucieństw popełnianych przez Moskali na ludności cywilnej. Chyba najbardziej widomym dowodem powszechności takiego pesymistycznego nastawienia była pospieszna ucieczka personelu wszystkich zachodnich ambasad z Kijowa, a jedyny wyjątek, czyli trwanie w ukraińskiej stolicy polskiego ambasadora, było raczej świadectwem osobistej odwagi ambasadora Cichockiego niźli wiary polskich władz w zdolność do zachowania niepodległości przez wschodniego sąsiada.

I choć wiosną i latem 2022 r. ów początkowy pesymizm miał się okazać (całe szczęście!) przesadzonym czarnowidztwem, to od początku stały przecież za nim co najmniej trzy oczywistości politycznego rozumu.

Po pierwsze – oczywiste były różnice potencjału ludzkiego, militarnego i gospodarczego pomiędzy napastnikiem i napadniętym.

Po drugie – równie oczywiste było to, że skoro na Kremlu raz zapadła historyczna decyzja o zbrojnym podporządkowaniu sobie Ukrainy, utraconej niegdyś bez wystrzału przy okazji nagłej rozsypki Sowietów, to nie ma takiej siły, która mogłaby skłonić Moskwę do rezygnacji z tego celu, bez względu na cenę, jaką przyjdzie zań zapłacić.

No i po trzecie – oczywistością było również to, iż Zachód ani nie ma zamiaru dać się wciągnąć w tę wojnę, ani też nie będzie latami utrzymywać państwa ukraińskiego i zbroić jego armii, albowiem pierwsze lepsze demokratyczne wybory postawią taki plan pod znakiem zapytania. Te trzy argumenty były w mocy 24 lutego 2022 r. i nie straciły jej aż do dziś.

OD EUFORII PO BOLESNY PRAGMATYZM

Cofnięcie się moskiewskich kolumn pancernych sunących na Kijów w pierwszej chwili zakrawało na cud, ale fachowcy od strategii wojskowych wkrótce nam wyjaśnili, iż przyczyna tkwiła w kiepskiej taktyce działań Moskali oraz inteligentnym dowodzeniu siłami ukraińskimi. Dziś wiemy, że to nie tylko względy militarne zdecydowały o zdarzeniach tamtej wiosny, lecz także nie całkiem do dziś jasne okoliczności rozmów pokojowych, prowadzonych naonczas pod patronatem tureckiego prezydenta Erdoğana. Obie strony kłamią teraz co do przebiegu i wyniku owych rozmów, ale wiadome jest przynajmniej to, iż jakiś plan zawieszenia broni i ustępstw po obu stronach przez chwilę musiał wydawać się realny.

Fot. President of Ukraine

epresa.pl 05aed3788f

Kiedy jednak doposażona przez Amerykę, Anglię i Polskę ukraińska armia zaczęła wypierać Moskali znad Dniepru i spod Charkowa, demokratyczny świat (jak to ma w swojej naturze) wpadł w istną euforię. Licząc z grubsza od wczesnej jesieni 2022 r., sam przeczytałem grubo ponad setkę różnych analiz, polskich, europejskich, a nawet amerykańskich (choć tych było z pewnością najmniej), rysujących perspektywę militarnego rozbicia Rosji siłami samej Ukrainy, oczywiście wyposażonymi i finansowanymi przez Zachód.

Polityczny rozum zawsze podpowiadał, że wymagałoby to jednak cudu, choć zaraz potem pojawiała się w głowie druga myśl, że w historii także cuda, choć z rzadka, mogą stawać się faktami.

Euforia na Zachodzie trwała zatem dość długo, gdzieś do jesieni 2023 r., a była podtrzymywana kolejnymi decyzjami Ameryki, a potem także Niemiec, łamiącymi wcześniej obowiązujące tabu co do nieprzekazywania Ukrainie nowoczesnej broni ofensywnej: artylerii, czołgów, rakiet, a w końcu samolotów bojowych.

Atmosfera powoli zaczęła się psuć dopiero wraz z coraz wyraźniejszą stagnacją na froncie, radykalnie kolidującą zarówno z mrzonkami snutymi ustawicznie w mediach o rychłym militarnym wyzwoleniu całości zaatakowanego kraju, jak i z buńczuczną pewnością siebie prezydenta Zełenskiego. Ten bowiem po okresie pewnego wahania w końcu uzależnił możliwość zawieszenia broni nie tylko od całkowitego wyzwolenia kraju, lecz także od obalenia Putina, postawienia autorów inwazji przed sądem oraz rosyjskich reparacji za dokonane zniszczenia.

Dla każdego zdroworozsądkowego obserwatora to wszystko musiało wyglądać coraz bardziej niedorzecznie. Więc zarówno sam Zełenski, jak i jego doradcy oraz generałowie, próbowali jakoś przeciwstawić się nadchodzącemu kolejnemu zwrotowi nastawienia Zachodu wobec wojny. Ale inaczej niźli wiosną 2022 r. tym razem im się to nie udało, bo też chyba nie mogło się udać.

W Kijowie podnoszono argument, wedle którego oczekiwanie od ciężko krwawiącej armii ukraińskiej wielkich zwycięstw w starciu z potęgą Moskwy jest albo naiwnością, albo działaniem w złej wierze wobec napadniętego kraju. To był zasadny argument, zważywszy, że Zachód ani nie udzielił Ukrainie poparcia politycznego, które mogłoby się okazać rozstrzygające dla przebiegu wojny, ani takiej pomocy militarnej, jaka byłaby konieczna do odparcia agresji. W tej pierwszej kwestii do rangi symbolu urosła uparta odmowa zaproszenia Ukrainy do NATO podczas szczytu w Wilnie, co dałoby Kijowowi jakieś pole manewru do negocjacji z Moskwą, bez obaw o przyszłą utratę niepodległości. W tej drugiej zaś miarodajny jest – co tu dużo mówić – żałosny bilans dwuletniego zachodniego wsparcia finansowo-militarnego, wyliczony przez holenderską firmę Atradius łącznie na kwotę 128 mld euro (dla porównania – wojna z Irakiem i Afganistanem kosztowała 8 bln dol., czyli co najmniej 50 razy więcej). Tyle tylko, że cała ta, najzupełniej prawdziwa argumentacja, nawet w najmniejszym stopniu nie

epressa.pl 95aed3788f

była w stanie zmienić narzucającej się oczywistości: tej mianowicie, że cele wojny deklarowane przez Ukrainę są niewspółmierne do jej możliwości.

WEWNĘTRZNY KONFLIKT

Dodatkowo pod koniec drugiego roku wojny zaczęły wychodzić na jaw coraz ostrzejsze tarcia, konflikty oraz zacięta personalna rywalizacja na szczytach władzy w Kijowie.

To, jak bardzo wojna odkleiła od ukraińskich realiów samego prezydenta Zełenskiego, opisał w przejmującym reportażu z Kijowa wybitny dziennikarz Simon Shuster na łamach tygodnika „Time". Odizolowany od świata i zamknięty w wąskim kręgu najbardziej zaufanych ludzi przywódca państwa, rozgoryczony niewystarczającym do zwycięstwa poziomem wsparcia Zachodu, od dłuższego czasu robi już wrażenie polityka niezdolnego do zapanowania nad pogarszającą się sytuacją kraju. I wyczekującego na jakiś – tym razem najprawdziwszy, a więc pozaracjonalny – cud, zdolny ocalić zarówno całość Ukrainy, jak i zdobytą przezeń podczas wojny absolutną i niekontrolowaną władzę.

Na przełomie roku gwoździem do trumny stał się tajemniczy i przewlekły konflikt głowy państwa z podlegającą mu armią, którego spektakularnym zewnętrznym przejawem są ponawiane próby zdymisjonowania głównego dowódcy armii gen. Załużnego. Niezliczone powstałe już na ten temat analizy sugerują a to niezadowolenie Zełenskiego spowodowane błędami planowania działań wojennych latem ub.r., a to motywowany sondażami popularności brak aprobaty głowy państwa dla wysuwanych przez armię planów powszechnej mobilizacji; a to znów po prostu strach ukraińskiego przywódcy, iż popularny dotąd dowódca armii mógłby snuć plany spisku i przejęcia władzy.

W ostatnich tygodniach sytuacja stała się na tyle napięta, że w sprawę dymisji generała Zełenski wmieszał bezpośrednio Biały Dom, zmuszając Amerykanów do przyznania wobec mediów, że wiedzą coś na temat intryg na szczytach władzy w Kijowie, ale nie mieszają się w nie, uznając suwerenność władzy prezydenta Ukrainy.

Dymisja albo nie dymisja Załużnego nabrała tymczasem charakteru tragikomicznego serialu, w którym co drugi dzień pojawiają się w największych światowych mediach nowe odsłony. Raz Zełenski ma żądać dymisji swojego generała, a ten ma odmawiać, innym znów razem, za zgodą Amerykanów, generał już ma być odwołany, ale jednak nie jest. I tylko Bóg raczy wiedzieć, kto będzie dowodzić operacjami ukraińskiej armii w najbliższy poniedziałek, kiedy czytelnik dostanie ten tekst do ręki.

> W ciągu ostatnich dwóch lat Zełenski stał się najbardziej celebrycką figurą polityczną naszego świata, podczas gdy losy jego własnego kraju zdają mu się wymykać spod kontroli

W chwili, gdy go przygotowuję, ostatnia odsłona serialu wygląda tak, iż ponoć prezydent Ukrainy ma zamiar w ogóle wymienić rozliczne najwyższe władze kraju dla efektu „odświeżenia przywództwa". Rzecz w tym, że jeśli faktycznie z przywództwem państwa ukraińskiego zaczyna być coś nie tak, to zasadniczą tego przyczyną jest pułapka, zatrzaskująca się wokół samego Zełenskiego. W ciągu ostatnich dwóch lat stał się on najbardziej celebrycką figurą polityczną naszego świata, podczas gdy losy jego własnego kraju zdają mu się wymykać spod kontroli.

OSTRZEŻENIE

Trwający i pogłębiający się rozkład systemu władzy w Kijowie nie będzie łatwy do zahamowania. I nie ma też co się temu nazbyt dziwić. W końcu każdy Polak ma w pamięci, jak wojna 1939 r. stała się u nas okazją do mściwych intryg i porachunków pomiędzy ówczesnymi polskimi politykami. Wbrew temu, co zwykło się pisać w patriotycznych wierszach, wojna, w której brak szybkiego i wyraźnego zwycięstwa nigdy nie jest okolicznością skłaniającą do politycznej zgody. Przeciwnie – stwarza wyborne okazje do ostrej walki o władzę i brutalnych porachunków, których nie dałoby się przeprowadzić w czasie pokoju.

W chwili, gdy kończy się drugi rok wojny, bez nadziei na rychłe zwycięstwo, to Witalij Kliczko decyduje się na precedensową publiczną przestrogę pod adresem prezydenta, aby ten nie podejmował kroków, które dezintegrują naród ukraiński, osłabiając jego zdolność oporu. Burmistrz Kijowa żąda od głowy państwa, aby „wreszcie położyć kres politycznym intrygom i wewnętrznym walkom". To tak naprawdę jest pierwszy atak polityczny na Zełenskiego o takim znaczeniu od samego początku wojny. A to, że wychodzi od burmistrza Kijowa, jest faktem o mocnej politycznej wymowie. Bo Kliczko to przecież ostatni z historycznych przywódców Majdanu, nadal odgrywający istotną rolę w ukraińskiej polityce.

Obecny problem rozkładu władzy na Ukrainie jest wyjątkowy w tym sensie, że podobnie jak w Moskwie, tak w Kijowie wojna doprowadziła do całkowitego skupienia władzy w rękach jednego człowieka, coraz bardziej odklejonego od politycznych realiów. Ale w przeciwieństwie do Moskwy, gdzie tyrania Putina jest głęboko osadzona w rosyjskim dziedzictwie samodzierżawia, a strach, donos i przemoc są najlepiej znanymi narzędziami władzy, to Kijów – zwłaszcza od czasów zwycięskiego Majdanu – jest politycznie wielobarwny, wolnościowy, albo i nawet w tradycyjnie polskim stylu skłonny do wewnętrznej anarchii. W końcu to nie przypadek, że w dawnej Rzeczypospolitej to właśnie litewsko-ruskie kresy były siedliskiem najsilniejszych tendencji wewnętrznego rozstroju państwa.

Dzisiejsza kwadratura koła ukraińskiego systemu władzy tkwi w tym, iż ani autorytaryzm Zełenskiego, ani czające się za rogiem polityczne rozprzężenie nie dają dużej nadziei na sprawne pokierowanie Ukrainą w jednej z najtrudniejszych chwil w całej jej historii.

eprasa.pl 05aed3788f

Rosyjski spisek w Katalonii

MAŁGORZATA WOŁCZYK

Lądowanie 10 tys. uzbrojonych Rosjan w oblanej słońcem i ciepłym morzem Barcelonie wydaje się scenariuszem filmu fantasy. A jednak ujawnione przez hiszpańską prokuraturę wyniki śledztwa i dwa raporty firmowane przez Komisję Europejską przynoszą zatrważającą wiedzę o wspólnych planach separatystów katalońskich i ludzi Kremla, aby próbować wywołać konflikt zbrojny w sercu Europy jeszcze w 2017 r.

Hiszpania zastygła w szoku, gdy 29 stycznia br. ujawniono wyniki śledztwa „rosyjskiego spisku" w Katalonii. Mimo że od 2020 r. pojawiały się w prasie domniemania o „bratniej" pomocy między aktywistami secesjonizmu katalońskiego a emisariuszami Kremla, to jednak niedowierzanie, iż Rosja mogła być mocarstwem aż tak nieobliczalnym i skorym do wywołania wojny, zwyciężało. Dziś, gdy znanych jest mnóstwo szczegółów tej operacji, pozostaje tylko kiwać głową, powtarzając słynne hiszpańskie hasło z czasów wojny domowej: „¡Rusia es culpable!" („Rosja jest winna!").

NIENAWIŚĆ DO KORZENI

Zacznijmy jednak od początku, bo Polacy bardzo lubią robić wypady do Barcelony, aby zajrzeć na stadion „Més que un club", czyli FC Barçy, ale też aby zaznać uroków życia w jednym z najpiękniejszych miast Europy. Problem w tym, że jak mówią historycy: „Barcelona jest miastem zawsze gotowym do rewolucji", oczywiście wyłącznie tych z gruntu proletariackich, lewicowych i separatystycznych. I choć dzieli z resztą Hiszpanii wspólną historię od 2242 lat, to coraz częściej nie chce być z nią kojarzona.

Starożytna Hispania jako prowincja Rzymu miała nawet stolicę właśnie w „katalońskiej" Tarragonie. Związek Katalonii z resztą Hiszpanii został przypieczętowany unią personalną w 1469 r., ale 100 lat temu rozpoczął się kataloński kaprys secesji. Trzeba jednak zaznaczać, że oderwania od Hiszpanii żąda przede wszystkim wąski krąg establishmentu, aktywiści i działacze partyjni z Junts per Catalunya, CUP, ERC, którym królestwo Hiszpanii kojarzy się po prostu z krajem stosów inkwizycji, podbojów i reżimem gen. Franco. Trochę to śmieszy, biorąc pod uwagę, jak chętnie Katalończycy uczestniczyli we wszystkich tych narodowych projektach i jak bardzo bogaciła się na

Fot. Vectorkel/Shutterstock.com, Chris Trinh/Shutterstock.com

eprasa.pl 05aed3788f

nich właśnie Barcelona. Po raz pierwszy w 1931 r. szef regionalnego rządu Katalonii Francesc Macià proklamował Republikę Katalońską, ale władze II Republiki Hiszpanii szybciutko się z tym pomysłem rozprawiły, rozwiązując Generalitat (rząd) i wsadzając do więzienia pomysłodawców.

W październiku 2017 r. oglądaliśmy obrazki płonącej Barcelony, gdzie rebelianci postanowili oderwać siłowo swój kawałek ziemi, nie pytając reszty autonomicznych regionów Hiszpanii o zdanie. Tym bardziej więc nie oglądali się na konstytucję z 1978 r., którą sami entuzjastycznie poparli, a której zapisy od pierwszego artykułu mówią o nierozerwalności i jedności całego terytorium Hiszpanii. Kto zatem mógł pomóc Katalończykom zrealizować ich kaprys secesji? Oczywiście Rosja i jej odwieczna strategia *divide et impera*.

KREML I PUIGDEMONT ZAWIĄZUJĄ SPISEK

Kremla przedstawiać nie trzeba w tej historii, za to twarz prowodyra ruchu niepodległościowego Katalonii musi być czytelnikom przypomniana. Carles Puigdemont był liderem katalońskich separatystów i pełnił funkcję szefa rządu (Generalitat) Katalonii w latach opisywanych poniżej zajść.

Pierwsze rozmowy na temat współpracy rozpoczęły się już w 2014 r. To wtedy Rosja zwęszyła, że zbuntowana Katalonia stanowi w sam raz dobry cypelek na mapie, aby zainwestować najpierw w rozpad Hiszpanii, a potem w kaskadowe problemy dla całej zdestabilizowanej Europy. Kwestia nielegalnego referendum na Krymie w 2014 r. zbliżyła obie strony. Półwysep, będący wtedy pod okupacją rosyjską, miał jakoby zagłosować większościowo za przyłączeniem do Rosji. Głosowanie przy urnach było jednak kpiną i nie zostało uznane ani przez Zgromadzenie ONZ, ani żadne inne międzynarodowe gremia. Trzy lata później podobny scenariusz wymuszonego referendum skopiowali katalońscy separatyści, ustawiając urny nawet przed ołtarzami w parafiach ogarniętych nacjonalistycznym wirusem. Wielu Katalończyków pochwaliło się w mediach społecznościowych, że miało możność zagłosować nawet osiem razy w różnych punktach. Reszta Hiszpanów patrzyła w szoku, jak budzą się demony wojny, a rząd Rajoya w Madrycie działał niemrawo, usiłując zatrzymać kołowrót zdarzeń z użyciem kordonów policji. Jak komentują znawcy tematu, zarówno Rosja, jak i ucząca się od niej Katalonia potrafiły jako pierwsze prowadzić skuteczne wojny hybrydowe, które nie śniły się nawet ministrom spraw zagranicznych w innych krajach.

Carles Puigdemont, były lider katalońskich separatystów oraz były szef rządu (Generalitat) Katalonii

Jeden z oskarżonych w rosyjskim spisku – Víctor Terradellas, czyli dawna prawa ręka Carlesa Puigdemonta, zeznał niedawno: „2015 r. to początek bliskiej współpracy. Potem Rosja zaoferowała nam ogrom pieniędzy i utworzenie w niepodległej już Katalonii coś w rodzaju raju podatkowego i kryminalnego, ale też pomoc wojskową, która wywołałaby imponujący rozlew krwi, który mógłby zdestabilizować nie tylko Hiszpanię, lecz także UE".

Właściwie wtedy wspólnymi siłami rozpoczęła się cyberoperacja ogromnej polaryzacji społeczeństwa. Farmy botów, które zaciekle uaktywniły się przed referendum, zostały potem zdemaskowane jako pochodzące głównie z Rosji.

PROPAGANDA ROSYJSKO-KATALOŃSKA W WARSZAWIE

Ogromna kampania dezinformacji ruszyła nawet w Polsce. Grupa hiszpańskich rezydentów w Warszawie, obserwując moje wypowiedzi i teksty, uznała, że można mi zaufać, pokazała mi listę przekupionych (ich zdaniem) dziennikarzy z mainstreamu i rozsyłała do wszystkich redakcji listy z prośbą o nieuleganie powszechnej propagandzie separatystycznej, która już wtedy dysponowała ogromnymi funduszami również na Polskę. Nawet „Rzeczpospolita" dała się nabrać niczym dziecię i opublikowała list imć Alfreda Boscha, podszywającego się pod „ministra spraw zagranicznych" nieuznanej, bo nieistniejącej (!) Republiki Katalońskiej. Rozmiar operacji dezinformującej był więc imponujący nawet nad Wisłą. Było im o tyle łatwo, że Polakom wystarczy puścić dźwięki katalońskiej pieśni „L'Estaca", którą Jacek Kaczmarski przerobił na „Mury", aby serce przeciętnego Polaka sympatyzowało z buntem lewicowców.

Obok dezinformacji panowała ogromna ignorancja, bo Puigdemont już wcześniej był widoczny w wywiadach dla rosyjskich mediów (np. „Sputnika"), gdzie przeciwstawiał się wszelkim sankcjom, które spadły na Rosję po nielegalnej aneksji ukraińskich obwodów. Co ciekawe, hiszpańscy analitycy uważają, że Rosja zdobywała wówczas know-how odnośnie do środowisk na Zachodzie, szukała słabych punktów i przywódców, którzy byliby skłonni zdradzić kraj, suwerenność i nietykalność granic. Wszystko to było testem Kremla, w jaki sposób osłabić Europejczyków i jak daleko można się posunąć w cyberoperacjach dezinformacji.

BARCELONA W OGNIU

Puigdemont jako ówczesny premier Katalonii i prowodyr zamachu stanu spotkał się z emisariuszem Kremla dzień przed ogłoszeniem niepodległości w wyniku owego referendum. Jak podają różne doniesienia, on sam wystraszył się ponoć kremlowskiej oferty wysłania 10 tys. żołnierzy, bo wojskowa interwencja obcego mocarstwa

Fot. Martinbertrand.fr/Shutterstock.com

eprasa.pl 05aed3788f

była jednak przekroczeniem pewnej granicy, którą, jak widać, uznają nawet zdrajcy. Inne podania mówią, że to sam Kreml źle ocenił stopień przygotowania Katalończyków do siłowego wybicia się na niepodległość. A jednocześnie podsłuchane rozmowy wskazują, że aktywiści secesjonizmu (zapewne za podszeptem rosyjskim) sugerowali konieczność poświęcenia przynajmniej 100 ofiar śmiertelnych, aby rozlew krwi w sprawie niepodległości przyniósł oczekiwany efekt.

Finalnie jak wiadomo nie doszło do lądowania Grupy Wagnera ani innych wojsk rosyjskich, ale zarówno lotnisko El Prat w Barcelonie, jak i struktury krytyczne były wtedy okupowane przez bojówki separatystyczne być może właśnie po to, aby umożliwić Rosjanom lądowanie. Niektórzy czytelnicy pamiętają może obrazy Barcelony płonącej za sprawą terrorystów z Komitetów Obrony Republiki (CDR) i Tsunami Democratic. To właśnie ci „katalońscy demokraci", pragnący ponoć jedynie suwerenności, byli współodpowiedzialni za rannych współobywateli każdego dnia zamieszek, zniszczone mienie i terror w mieście. A wszystko to na rozkaz głównych prowodyrów procesu niepodległości pod wodzą Puigdemonta i przy współpracy z Kremlem.

Wyniki śledztwa z Barcelony w „sprawie Wołoha", czyli spisku rosyjskiego, to wcale nie jedyny oficjalny dokument, który traktuje o działaniach Rosji w Katalonii, choć najświeższy. W marcu ub.r. powstały dwa raporty sygnowane przez Parlament Europejski na podstawie dokumentacji i udostępnionych wyników śledztwa. Wynika z nich, że w czasie kryzysu 2017 r. katalońscy przywódcy ruchu niepodległościowego zostali wykorzystani przez Rosję. Ekipa Puigdemonta była powiązana z agentami rosyjskiego wywiadu oraz postaciami z przestępczości zorganizowanej w Moskwie.

Kreml miał wyrazić życzenie, aby przy jego wsparciu niepodległa Katalonia stała się globalną bazą kryptowalut i prania pieniędzy. Hiszpańscy dziennikarze zwykli dodawać, że także „wielkim burdelem i kasynem dla ludzi Kremla". Ponadto Rosjanie zaproponowali sfinansowanie długu Katalonii w zamian za ustawodawstwo korzystne dla kryptowalut.

Wnioski płynące z raportów nie pozostawiają wątpliwości, że Moskwy nie interesowała sprawa niepodległości, a jedynie wywołanie konfliktu, destabilizacji Hiszpanii i całej Unii Europejskiej.

Władze hiszpańskie ustaliły, że agenci wyspecjalizowanej grupy wojskowej rosyjskiego wywiadu o nazwie Jednostka 29155 (powiązanej z innymi próbami zamachu stanu i morderstwami w Europie) przebywali w Katalonii w newralgicznym czasie. Wszędzie pisze się też o tym, że Kreml zapewnił wsparcie finansowe i logistyczne organizatorom referendum, a finalnie obiecano wesprzeć rebeliantów kwotą 50 mld dol. Ile z tego dostali Katalończycy? Tego dowiemy się po zakończeniu śledztwa.

> „Rosja zaoferowała nam ogrom pieniędzy i utworzenie w niepodległej już Katalonii coś w rodzaju raju podatkowego i kryminalnego, ale też pomoc wojskową, która wywołałaby imponujący rozlew krwi, który mógłby zdestabilizować nie tylko Hiszpanię, lecz także UE" – zeznał jeden z oskarżonych Katalończyków

CZY PUIGDEMONT POCIĄGNIE NA DNO SANCHEZA?

Wokół całej historii kryje się parę innych wątków, które sprawiają, że codziennie wszystkie media żyją sprawą „spisku rosyjskiego".

Trzeba przypomnieć, że po tym nieudanym zamachu stanu Puigdemont uciekł w bagażniku auta do Waterloo, gdzie wedle wstępnych doniesień Kreml zadbał o jego dostatnie życie. Mimo że jest zbiegiem sprzed hiszpańskiego wymiaru sprawiedliwości, obciążonym zarzutami: przewodzenia zamachowi stanu, buntu przeciwko państwu, defraudacji pieniędzy publicznych, to wciąż jest europosłem. W dodatku mieszka blisko Brukseli, bo jako pozbawiony immunitetu obawia się aresztowania w Hiszpanii. A jednak historia na tym się nie kończy, bo tu dokładnie zaczyna się komediodramat!

Jak mówi większość Hiszpanów, od ostatnich lipcowych wyborów to właśnie Puigdemont *de facto* rządzi krajem. Dzięki głosom jego siedmioosobowej partii Junts w Kongresie Pedro Sánchez zdołał ponownie zasiąść w fotelu premiera. Stał się jednak jego maltretowanym zakładnikiem, bo Puigdemont cały czas aktualizuje listę żądań, które musi spełnić obecny rząd Hiszpanii, aby utrzymać koalicję. Oczekiwana przez Puigdemonta amnestia ma dotyczyć już nie tylko organizacji buntu, terroryzmu i malwersacji pieniędzy, lecz także całkowitego uniewinnienia zarówno jego, jak i towarzyszy od wszelkich zarzutów o zdradę państwa (!), której dokonał, przekazując obcemu mocarstwu wrażliwe dane wywiadowcze i prosząc Rosję o interwencję. Dlatego Sánchez nagina prawo i z pomocą posłusznych mu sędziów redaguje dziwaczne projekty ustaw, które mają uchronić jednego kryminalistę (za to koalicjanta!) i jego świtę od poniesienia konsekwencji.

Co najciekawsze, Sánchez, zasiadający w fotelu premiera od 2018 r., musiał mieć wiedzę od służb specjalnych, że Puigdemont i jego klika byli umoczeni w rosyjski spisek. Mimo to uznał, że zdrajców państwa warto dokooptować do swojej koalicji, byle tylko utrzymać władzę. Żenujące? Owszem, ale oglądając media hiszpańskiego mainstreamu, żadna zdrada i niepraworządność nie stanowią większego problemu, w przeciwieństwie do rosnących w siłę partii konserwatywnych w Europie, w tym oczywiście partii Vox.

eprasa.pl 05aed3788f

Wielki bunt

DARIUSZ MATUSZAK

Można pomyśleć, że w Europie trwa gigantyczna wystawa maszyn rolniczych. We Francji zablokowano nimi autostrady i dojazdy do Paryża. Koparkami zerwano nawet asfalt, a ulice miast, siedziby władz spłynęły gnojówką. Tony obornika wylądowały przed wejściami do urzędów. W Brukseli uzbrojona po zęby policja broniła dostępu do Parlamentu Europejskiego. W Niemczech zablokowano lotnisko we Frankfurcie i przeprowadzono oblężenie siedziby państwowej telewizji NDR. Swymi potężnymi maszynami wjechali do miast farmerzy irlandzcy i hiszpańscy. W sklepach zaczyna brakować żywności, bo blokowane są centra dystrybucyjne sieci handlowych. W całej Europie są tysiące punktów zapalnych i wiele wskazuje na to, że protest się rozkręca. Polscy rolnicy rozpoczęli 30-dniowy strajk i do 10 marca chcą blokować przejścia graniczne z Ukrainą.

STADA POD NÓŻ

Głównym powodem rolniczych protestów jest sprzeciw wobec prowadzonej przez Unię Europejską i gorliwie wdrażanej na różne sposoby przez władców poszczególnych państw obłąkańczej polityki Zielonego Ładu. A są to kroniki szaleństwa. I tak w Holandii w 2023 r. rząd Marka Ruttego zaczął przymusowo przeprowadzać program wywłaszczania gospodarstw LBV. Wszystko dlatego, że produkują za dużo azotu. W Irlandii zaś przeszkadza metan, więc władza chce wyrżnąć 200 tys. sztuk bydła. Za to w Niemczech i Francji umyślono, że maszyny emitują za dużo spalin, więc zniesiono ulgi podatkowe przy zakupie paliwa do nich. Paryż zorientował się jednak, że przeszarżował i zapowiedział wycofanie się z pomysłu. Nowy premier Gabriel Attal pamięta, że nowe opłaty wywołały trwające dwa lata rozruchy żółtych kamizelek. Przerwała je dopiero pandemia.

Berlin się jednak uparł i przy okazji potwierdził, że w Niemczech rządzi koalicja szaleńców. Spójrzmy: rolnicy argumentują, że przy zakupie oleju napędowego do maszyn powinni być zwolnieni z opłat na drogi, bo swoim sprzętem nie jeżdżą po nich, tylko po polach. Na to „rząd świateł drogowych", jak się określa koalicję czerwonych, czyli socjalistów z SPD, żółtych – niby-liberałów z FDP – i Zielonych, odpowiedział, że w budżecie brakuje pieniędzy, choć Berlin zafundował za 350 mln euro ścieżki rowerowe w Peru. To nie żart. Trwa kłótnia o to, ile dokładnie kochanych pieniążków dostała Lima, ale niemieccy rolnicy powinni się radować, bo jak ich przekonuje minister rozwoju Svenja Schulze: „Takie finansowane przez niemieckich podatników inwestycje wynikają z globalnej odpowiedzialności i przyczyniają się do ochrony klimatu". Czy kogoś dziwi, że można wylać pod domem takich ludzi cysternę gnojówki?

Protesty dają też eurokratom, urzędniczej kaście i elitom okazję, by pokazać w jakiej pogardzie mają poddanych, jak oderwane są od rzeczywistości. W Niemczech władcy opowiadają, iż protesty rolnicze zostały zawłaszczone przez skrajną prawicę, minister spraw wewnętrznych Nancy Faeser grozi policją, a gabinet Olafa Scholza organizuje wielkie wiece sprzeciwu wobec AfD. We Włoszech media opisują rolników jako chciwą kastę, która broni swych przywilejów oraz dotacji i nie chce się zgodzić na ratujący ludzkość Zielony Ład. Jak podaje Grzegorz Górny na portalu Polityce.pl, „La Repubblica", czyli włoski odpowiednik „Gazety Wyborczej", przedstawia gospodarzy jak Sowieci, czyli jako kułaków, którzy stoją po stronie kontrrewolucji. Coś w tym jest. Rolnicy to ludzie o konserwatywnej postawie, z silnym poczuciem tradycji i tożsamości, więc są niewygodni dla władców i właścicieli UE. Niech znikną jako grupa. Najlepiej przenieść całe towarzystwo do miast i tam trzymać pod kontrolą w 15-minutowych zonach.

Francja zablokowana, a w państwowej telewizji France TV w jednym z najważniejszych programów politycznych – „Quelle époque" – publika i występujący rechoczą, gdy słyszą o wieśniakach, co to mieszkają pod jednym dachem z matką, mają sześć zębów i pracują po 17 godz. na dobę, zarabiają 512 euro na

Fot. Franck Legros/Shutterstock.com

eprasa.pl 05aed3788f

Francuscy rolnicy na drodze wjazdowej do Paryża

Protestów o takim zasięgu, z takim natężeniem i różnorodnością form demonstrowania Unia Europejska jeszcze nie znała. A wszystko zaczęło się w 2023 r. od rolników holenderskich, a teraz rozlało się w Irlandii, Hiszpanii, Francji, Belgii, Niemczech, Włoszech, Grecji, Rumuni i w Polsce

kwartał i narzekają, że nie mogą znaleźć żony. Ha, ha, ha – jaśnie państwo pękają ze śmiechu. Niewiarygodny poziom pogardy wobec tych, co żywią, a których życie zniszczono.

A na koniec wychodzi cała na biało, pretensjonalna i skrajnie nieudolna niby-przywódczyni Europy Ursula von der Leyen i oznajmia, że ona rozumie rolników i wie, skąd się biorą protesty. Otóż oni najbardziej odczuwają skutki globalnego ocieplenia. Skoro tak cierpią od tego ocieplenia, to UE im załatwi, żeby go nie było. Nam się wydawało, że Urszula Zielińska z resortu klimatu, co to pojechała do Brukseli, to sobie tylko coś tam paplała o ograniczeniu emisji gazów cieplarnianych o 90 proc. A tu proszę, Komisja Europejska podjęła wielką decyzję – będzie, jak chce Zielińska. Gazów nie będzie – do 2040 r. o 90 proc. emisji mniej.

400 MLD ZŁ ROCZNIE

Nie tylko emisji, ale jak mawiał klasyk Kononowicz, niczego nie będzie. Zgodnie z zasadą brzytwy Ockhama, iż nie należy mnożyć bytów ponad potrzebę, najlepsze jest najprostsze tłumaczenie jakichś zjawisk. Jeśli dociekać, dlaczego Unia prowadzi taką politykę wobec rolnictwa, to odpowiedź jest jedna: bo chce, żeby go nie było. Nieomylni eksperci oszacowali, że w Irlandii rolnictwo odpowiada za 38 proc. emisji gazów. Nie wystarczy wyrżnąć 200 tys. krów. Niech idą pod nóż wszystkie bydlątka. A niby co ma być w Polsce, w której 400 tys. ha użytków będzie zalanych, zamienionych w mokradła w ramach „Strategii Bioróżnorodności"? Niby co ma w Unii zostać, skoro na szaleństwa klimatyzmu ma ona wydawać 1,5 bln euro rocznie? Polski udział w tym obłędzie to 400 mld zł. I tak rok w rok przez 25 lat.

Szef WHO, etiopski komunista Tedros Ghebreyesus, wzywa do zmiany diety i transformacji rolnictwa, bo ono odpowiada za 30 proc. emisji gazów. To Unia, Nowa Zelandia i Kanada są tymi regionami świata, gdzie się eksperymentuje na ludziach, wdraża szaleństwa. Póki co nie można powiedzieć ranczerowi w Teksasie, że się mu wybije pół stada. Ale można próbować z bezzębnym francuskim wieśniakiem. W tym kontekście zrozumiała jest decyzja o wpuszczeniu do Europy niespełniającej norm żywności z Ukrainy. Nie chodzi o pomoc walczącemu narodowi, tylko o agroholdingi z Holandii, Belgii czy Luksemburga, które wykupiły połacie tego kraju, mogą zalać Europę tanią, podłą produkcją rolną i wykończyć farmerów. Paszę dostarczą Europejczykom wielcy posiadacze z Ukrainy i producenci sztucznego mięsa czy białka z robactwa.

Wróćmy do Francji, bo ten kraj to unijny czempion w niszczeniu rolnictwa W ciągu 10 lat zniknęło tam 100 tys. gospodarstw, a rolników ubyło 30 proc. Jedna trzecia z nich zarabia mniej niż wynosi płaca minimalna, czyli ok. 1,4 tys. euro. Nie ma żadnej zastępowalności pokoleń. W ciągu sześciu lat połowa gospodarzy wymrze albo przejdzie na rentę, a dwie trzecie młodych porzuca ojcowiznę. Ci, którzy zostają na wsi, rzeczywiście nie mogą znaleźć żony, bo nie ma kobiet, które świątek, piątek, w każdą pogodę chcą wstawać przed świtem, pracować kilkanaście godzin w ziemi i przy zwierzętach, walczyć z monstrualną francuską i unijną biurokracją, bo ta już zupełnie oszalała i wymaga nawet geolokalizacji każdego kawałka pola oraz przesyłania z nich zdjęć na dowód, co się uprawia.

Wraz z upadkiem rolnictwa czeka nas zagłada ogromnej części naszej kultury. Francuskie jaśniepaństwo powinno płakać, a my razem z nimi, a nie rechotać, gdy pomyśli, co się stanie z ich wielką kuchnią, wielkimi narodowymi produktami, gdy ostatni rolnik i jego matka umrą. Wszyscy poza władcami dostawać będziemy produkty jedzeniopodobne – sery i mięsa z wtryskarek, porcjowaną paszę z dzienną dawką kalorii i składników odżywczych dla podtrzymywania funkcji organizmu. I wszyscy będziemy zależni od łaski innych regionów świata. Niech tam gdzieś wojna wybuchnie, statki nie dopłyną, a o michę ryżu z Chin będziemy walczyć.

Kto kontroluje energię i żywność, ten ma nad poddanymi nieograniczoną władzę. Europą rządzą szaleńcy, ideologiczni obłąkańcy. To przestaje być kwestią sporów politycznych, odmiennych poglądów na pracę dla powszechnego pożytku. Nie chodzi o wybór formacji politycznych. To jest już starcie cywilizacyjne. To walka o podstawowe wolności. Albo my, wolni obywatele świadomi i broniący swych praw, albo oni, do cna zepsuci, zdegenerowani, skorumpowani władcy Unii.

eprasa.pl 05aed3788f

Przeciwniczka AfD z transparentami „Nie ma miejsca dla AfD" oraz „Natychmiast delegalizować AfD", Kolonia, luty 2024 r.

Fot. PhotoBatta/Shutterstock.com

Zarządzanie strachem

W Niemczech rośnie alienacja pomiędzy obywatelami a klasą polityczną. Rząd chce walczyć z tym zjawiskiem, wydając setki milionów na działalność lewicowych NGO, które miałyby w imię podatników walczyć z AfD oraz podobnymi prawicowymi inicjatywami

ALEKSANDRA RYBIŃSKA

„Jedno nas jednoczy: gotowość do obrony demokracji i odrzucenie wszelkich form prawicowego ekstremizmu. [...] Gdy nasza demokracja jest atakowana, demokratyczny środek, większość naszego społeczeństwa musi zająć stanowisko i jasno powiedzieć: podtrzymujemy naszą demokrację, bronimy naszych Niemiec i nie pozwolimy na to, aby ten kraj został zniszczony przez ekstremistycznych szczurołapów". Te słowa prezydenta Niemiec Franka-Waltera Steinmeiera wywołały burzę. Szczurołapy to oczywiście Alternatywa dla Niemiec (AfD). A jeśli partia Alice Weidel i Tino Chrupalli to szczurołapy, czy to oznacza, że ich wyborcy to szczury? Według sondaży to ok. 20 proc. społeczeństwa. Steinmeier czynił oczywiście aluzję do XIII-wiecznej legendy o fleciście z Hameln, spisanej m.in. przez braci Grimm. Według tej legendy flecista zatrudniony jako szczurołap, gdy odmówiono mu zapłaty, wyprowadził w nieznane wszystkie dzieci z Hameln. W ten sam sposób obywateli z demokracji ma wyprowadzać AfD.

WANNSEE 2.0

Słowa Steinmeiera idealnie wpisują się zresztą w podobne wypowiedzi innych polityków mainstreamu. Niemcom ma grozić „faszyzm" (wicekanclerz Robert Habeck), „nazizm" (lider grupy parlamentarnej FDP Christian Dürr) lub co najmniej „powrót warunków panujących za czasów Republiki Weimarskiej", jak podkreślił szef instytutu badań opinii publicznej Forsa Manfred Güllner. Dlatego jak złośliwie zauważył na łamach „Die Welt" publicysta Henryk M. Broder, „z 90-letnim opóźnieniem Niemcy przystępują do walki z faszyzmem". „Wnuki i prawnuki tych, którzy w latach 30. XX w. pomogli Hitlerowi dojść do władzy lub nie stawiali żadnego oporu wobec nazistów, teraz chcą zapobiec, by historia się nie powtórzyła" – dodał. Setki tysięcy wzięły więc udział w demonstracjach „przeciwko prawicy". Rozdawano białe róże w aluzji do działającej, głównie w Monachium i Hamburgu w latach 1942–1943 grupy antynazistowskiej. Petycję o pozbawienie polityka AfD z Turyngii Björna Höcke praw obywatelskich, takich jak prawo do kandydowania w wyborach i sprawowania urzędów publicznych, podpisało prawie 1,7 mln obywateli.

Histeria, która ogarnęła klasę polityczną i medialną za Odrą, to odpowiedź na spotkanie ok. 20 polityków AfD oraz CDU i byłego lidera ruchu tożsamościowego w Austrii Martina Sellnera 25 listopada w jednym z hoteli

eprasa.pl 05aed3788f

w Poczdamie. Mieli oni tam debatować o „reemigracji", czyli deportacji obcych, tych z niemieckim paszportem i bez, tak w każdym razie twierdzi dziennikarski kolektyw Correctiv, który ze swojego reportażu zrobił od razu sztukę teatralną, mieszając fakty i fikcję. Do dziś nie wiadomo dokładnie, co było omawiane na tym spotkaniu, okrzykniętym „konferencją w Wannsee 2.0" (a Correctiv jest podejrzewany o komitywę z kontrwywiadem), ale to przecież nieistotne. Potrzebny był pretekst do mobilizacji społeczeństwa przeciw skrajnej antyimigranckiej prawicy oraz – ewentualnie – do delegalizacji AfD.

BEZPIECZNIKI

Delegalizacja AfD to oczywiście przedsięwzięcie ryzykowne. W 2017 r. nie udało się zakazać NPD, która w międzyczasie przemianowała się na Die Heimat (Ojczyzna). Ponadto AfD ma o wiele większe poparcie społeczne, szczególnie we wschodnich Niemczech, gdzie osiąga nawet do 40 proc. w sondażach, co czyni jej delegalizację tym trudniejszą. Efekt może być bowiem przeciwny od zamierzonego. Partia jest ponadto reprezentowana w Bundestagu i w parlamentach wszystkich landów z wyjątkiem Bremy i Szlezwika-Holsztynu. Jak dotąd w powojennych Niemczech udało się zdelegalizować dwie partie: Socjalistyczną Partię Rzeszy, będącą następczynią NSDAP, i partię komunistyczną. Obie miały marginalne znaczenie.

Obecnie niemiecki rząd nie jest gotów podjąć ryzyka zakazu działalności AfD. Szuka więc innych sposobów na osłabienie tej partii. A przy okazji wszystkiego, co znajduje się na prawo od SPD i Zielonych. Firmy, w tym duże banki, angażują się w akcję pod hashtagiem „Nigdy więcej jest teraz!", publikując deklaracje o przywiązaniu do wielokulturowości. Björn Höcke stanął przed sądem, oskarżony o podżeganie do nienawiści. AfD w Turyngii jest obserwowana przez kontrwywiad, a młodzieżówka partii została zakwalifikowana przez ten sam wywiad jako „pewnie ekstremistyczna". Przed partią Weidel i Chrupalli ostrzegają zarówno potomkowie „zamachowców" na Hitlera, hrabiego Stauffenberga i von Moltkego, jak i stryjeczna wnuczka Hermanna Göringa Bettina. Jak z zadowoleniem pisze dziennik „Die Welt": „Politycy AfD zaczynają się bać".

Uczestnicy spotkania o „reemigracji" także znaleźli się pod obserwacją służb. Mimo że nie do końca wiadomo, o co są właściwie oskarżani oprócz posiadania niewłaściwych (głupich?) poglądów. Jak na razie nie jest to karalne. Nikt z nich nie ma też jakiegokolwiek wpływu na politykę imigracyjną Berlina. No, ale gra toczy się o to, by takiego wpływu nie mieli i w przyszłości. Tu niemieccy politycy, media i eksperci chętnie powołują się na przykład Polski, gdzie „dzielny" premier Donald Tusk z determinacją przywraca państwo prawa. W takich przypadkach niszczenie demokratycznych zasad jest oczywiście uzasadnione. Jak można przeczytać na łamach „Die Welt", CDU oraz partie rządzącej koalicji – SPD, Zieloni i FDP – chcą „chronić Trybunał Konstytucyjny" przed AfD.

ZINSTYTUCJONALIZOWANA WALKA

„Celem jest uniknięcie sytuacji takiej jak w Polsce, gdzie Trybunał Konstytucyjny upadł pod naciskiem rządzącej wówczas partii Prawo i Sprawiedliwość" – twierdzi gazeta. Sekretarz parlamentarny FDP Stephan Thomae stwierdził w rozmowie z „Die Welt", że „parlamentaryzm i sądownictwo konstytucyjne muszą być bardziej odporne na wrogów demokracji". W tym celu istotne struktury TK powinny zostać osadzone w ustawie zasadniczej. Tak, aby nikt nie mógł ich zmienić, bo do tego potrzebna byłaby większość dwóch trzecich Bundestagu. Obecnie zmiany w TK wymagają zwykłej większości posłów.

Ale na tym nie koniec. Szefowa MSW Nancy Faeser chce, by Bundestag jak najszybciej przyjął ustawę o „wspieraniu demokracji" (Demokratiefördergesetz), która ma pozwolić rządowi na stałe finansowanie NGO walczących z „faszyzmem", skrajną prawicą i „na rzecz zachowania demokracji". Projekt ustawy zawiera zresztą dość ciekawe zapisy, przewiduje choćby stworzenie miejsca, gdzie będzie można zgłaszać wypowiedzi i czyny „antyfeministyczne". Taki państwowy ośrodek denuncjacji i dyfamacji. Podczas debaty nad projektem w Bundestagu jeden z posłów FDP przywołał stwierdzenie byłego prezydenta Gustava Heinemanna, który powtarzał, że „nie należy bronić ustawy zasadniczej metodami sprzecznymi z jej duchem i celami". Szanse, by partie mainstreamowe wzięły sobie ten cytat do serca, są jednak znikome. Wajcha została przestawiona. Polityczny mainstream uważa, że musi pozbyć się wyborczych alternatyw, które wyrosły w ostatnich latach jak grzyby po deszczu.

212 mln euro rocznie ma więc otrzymywać ponad 530 organizacji w celu zwalczania AfD i podobnych ruchów. Działacze Antify oraz innych skrajnie lewicowych organizacji byli już tak mocno zmobilizowani podczas manifestacji przeciwko prawicy, że niektórzy z nich domagali się w publicznym radiu statusu urzędników. Z odpowiednim wynagrodzeniem. Zwalczanie niesłusznych opcji politycznych jako działalność państwowa, opłacana z podatków także tych, którzy te opcje popierają. Lub, jak to ujął ów polityk FDP: „Bycie przeciwnikiem antydemokratów nie czyni cię samemu demokratą". Niemcy zresztą mają już od dawna bardzo podobne programy, choćby Federalną Centralę Kształcenia Politycznego z budżetem przekraczającym 100 mln euro rocznie, a niebawem ma powstać Centrum Przyszłości na rzecz Jedności Niemiec i Transformacji Europejskiej ze 180 pracownikami, które ma się zajmować tym samym, czyli wspieraniem demokracji.

Tymczasem notowania rządu są rekordowo niskie, a frustracja obywateli rekordowo wysoka. Nie wspominając o protestujących rolnikach. Björn Höcke pewnie rzeczywiście ma skrajne, a nawet niebezpieczne poglądy (także na temat Polski), ale nie z tego powodu gromadzi coraz więcej fanów, tylko dlatego, że rządzący nie potrafią odpowiedzieć na lęki i obawy obywateli.

EPILOG

Może się więc szybko okazać, że instytucjonalizacja walki z „faszyzmem" nie wystarczy i trzeba będzie sięgnąć po środki, które tak zachwycają niemieckie media i polityków, gdy patrzą na Polskę: te nielegalne, brutalne i niedemokratyczne. Skoro Tusk może, to czemu nie Scholz?

eprasa.pl 05aed3788f

Kongo wpływa do Tybru

Czy w Kościele katolickim wybiła godzina Afryki? Część watykanistów uważa, że następny papież może pochodzić z Czarnego Lądu

GRZEGORZ GÓRNY

Przez dziesięciolecia publicyści religijni zwykli powtarzać, że Afryka jest przyszłością Kościoła. Niedawno Jonathan Liedl na łamach „National Catholic Register" zwrócił jednak uwagę, że nie można spoglądać dłużej na katolicyzm afrykański jedynie w perspektywie przyszłości, ponieważ już obecnie wpływa on na teraźniejszość Kościoła, decydując o jego kształcie, dynamice i kierunkach rozwoju.

Najświeższym tego przykładem był masowy bunt episkopatów Czarnego Lądu przeciw watykańskiej deklaracji „Fiducia supplicans", zezwalającej na błogosławienie par homoseksualnych. Czarnoskórzy biskupi kategorycznie odrzucili ów dokument, a Stolica Apostolska musiała uznać i zaaprobować ich sprzeciw.

BARBARZYŃCY ZAMIENILI SIĘ MIEJSCAMI

W 1900 r. w Afryce mieszkał niespełna 1 mln katolików. W 1955 r. było ich 16 mln, w 1978 55 mln, zaś dziś jest już 265 mln. O ile w 2021 r. liczba księży na całym świecie spadła o 2347, o tyle na Czarnym Lądzie wzrosła o ponad 1500. Afryka jest jedynym kontynentem, na którym rośnie liczba kleryków w wyższych seminariach duchownych: obecnie jest ich prawie 34 tys. – najwięcej na naszym globie. Tam też najwięcej katolików uczestniczy regularnie w niedzielnej mszy, np. w Nigerii – 94 proc., a w Kenii – 73 proc. (dla porównania: w Niemczech 14 proc., we Francji – 8 proc., a w Holandii – 7 proc.).

Na naszych oczach odwraca się również kierunek misji. 100 lat temu misjonarze z Europy wyruszali do Afryki, by ewangelizować tubylczą ludność. Dziś coraz więcej duchownych z Czarnego Lądu posługuje w opustoszałych parafiach Starego Kontynentu, który zamienia się w teren misyjny. Przykładem może być Irlandia, gdzie w ciągu ostatnich trzech lat zmarło ponad 25 proc. tamtejszego duchowieństwa. Zastępują ich księża z takich krajów, jak Nigeria, w której pracowało niegdyś wielu irlandzkich kapłanów.

Do Europy przyjeżdżają również afrykańscy kaznodzieje, którzy są w stanie przyciągać rzesze katolików, np. ks. John Bashobora z Ugandy, który w 2015 r. potrafił zgromadzić na Stadionie Narodowym w Warszawie ponad 40 tys. ludzi. Wspomniany duchowny opowiadał, że przed laty europejscy misjonarze, przybywając do jego ojczyzny, zabraniali czarnoskórym tubylcom wykonywać tatuaże oraz nosić kolczyki na całym ciele, przekonując ich, że jest to przejaw barbarzyństwa, niegodny człowieka cywilizowanego. Dziś, jak mówi ks. Bashobora,

Fot. Shutterstock

afrykańscy księża, obserwując wytatuowane i zakolczykowane tłumy Europejczyków, konstatują ze zgrozą recydywę barbarzyństwa i regres cywilizacji na Starym Kontynencie.

KAPITAŁ SPOŁECZNY I MORALNY

Wbrew temu, co głoszą niektórzy lewicowi publicyści, chrześcijańscy misjonarze na Czarnym Lądzie nie byli kojarzeni przez miejscową ludność z kolonialnym wyzyskiem. Wręcz przeciwnie, jawili się jako siła dobroczynna, niosąca moralność, oświatę czy higienę. Biali księża zostali zapamiętani jako ludzie odważni, troskliwi, zdolni do poświęceń i okazujący miłosierdzie. Dlatego Kościół w Afryce wszedł w okres dekolonizacji z dużym zasobem kapitału moralnego. Dotyczyło to nie tylko katolików, lecz także anglikanów i protestantów. To nie przypadek, że większość przywódców pierwszego pokolenia afrykańskiej niepodległości była chrześcijanami i wychowankami misyjnych szkół, jak np. Kwame Nkrumah w Ghanie, Leopold Seghor w Senegalu czy Julius Nyerere w Tanzanii. Ten ostatni mówił wprost, że misjonarze „przynieśli do Afryki najlepsze z tego, co znali – Kościół i styl życia".

Chrześcijaństwo odegrało też dużą rolę w czasie tzw. drugiej rewolucji afrykańskiej, gdy wiele rządów, które powstały po dekolonizacji, uległo korupcji i przerodziło się w krwawe reżimy. W wielu krajach dochodziło wówczas do masowych protestów i walki przeciw tyranii. To właśnie wtedy Kościół z powodu swego autorytetu moralnego stawał się ostoją wolności i centralnym punktem oporu. Tak było m.in. w Kenii, Malawi, Beninie, Togo czy Zimbabwe, gdzie głównym antagonistą dyktatora Roberta Mugabe okazał się bp Pius Ncube. Niektórzy hierarchowie byli nawet mordowani z powodu swej niezłomnej postawy, np. kard. Émile Biayenda z Kongo czy anglikański abp Janani Luwum z Ugandy.

Świadectwo męczeństwa uwiarygadniało Kościół, który wykorzystywał swoje wpływy w społeczeństwie do nadawania kierunku zmianom politycznym. Biskupom szczególnie zależało na tym, by ich państwa nie dryfowały w stronę komunizmu, dlatego popierali wszelkie reformy na rzecz demokratyzacji. Rolę tę doceniał m.in. Samuel Huntington, który stwierdził, że w latach 80. ub.w. Kościoły w Afryce były lokomotywami postępu, blokując rozwój ruchów marksistowskich.

RELIGIA GLOBALNEGO POŁUDNIA

W 1995 r. anglikański pisarz ks. John Mbiti z Kenii, zwany niekiedy ojcem współczesnej teologii afrykańskiej, stwierdził, że „centra uniwersalności Kościoła nie znajdują się już w Genewie, Rzymie, Atenach, Paryżu, Londynie, Nowym Jorku, ale w Kinszasie, Buenos Aires, Addis Abebie i Manili". W ten sposób czarnoskóry duchowny wyrażał pogląd, że środek ciężkości chrześcijaństwa przesunął się z cywilizacji Zachodu w kierunku tzw. Globalnego Południa.

Podobną tezę postawił w 2001 r. amerykański socjolog i religioznawca Philip Jenkins w swej książce „Chrześcijaństwo przyszłości". Autor sprzeciwił się twierdzeniom, jakoby religia Chrystusowa przeżywała kryzys w skali globalnej. Jego zdaniem jest wręcz odwrotnie – zapaść dotyczy jedynie części Europy, Ameryki Północnej i Australii, podczas gdy reszta naszego globu doświadcza duchowego przebudzenia. Według niego „chrześcijaństwo powinno przeżyć światowy boom w nowym wieku, ale znacząca większość wierzących nie będzie ani biała, ani europejska, ani euroamerykańska". Szczególna rola przypadnie Afryce, która do połowy XXI w. powinna się stać najludniejszym chrześcijańskim kontynentem.

Jenkins pisał nie tylko o prymacie ilościowym, lecz także jakościowym Kościoła na Czarnym Lądzie. Z obserwacji autora wynika, że w odróżnieniu od wymierającego chrześcijaństwa na Zachodzie, które jest mocno zsekularyzowane i liberalne obyczajowo, wspólnoty w Afryce prezentują się jako tradycjonalistyczne i ortodoksyjne, zorientowane bardziej na sprawy nadprzyrodzone niż na zaangażowanie społeczne. To Kościół młody, żywotny i dynamiczny, pielęgnujący przede wszystkim osobistą relację człowieka z Bogiem. Jeśli to on ma nadać oblicze katolicyzmowi w XXI w., próżne są nadzieje modernistów na liberalizację doktryny.

Oczywiście wiele osób ma wątpliwości, czy Afryka byłaby w stanie pełnić wiodącą rolę

w Kościele. Można się jednak odwołać do przykładu z pierwszych wieków po Chrystusie. Wówczas chrześcijaństwo rozwijało się głównie w basenie Morza Śródziemnego, gdzie znajdowało się centrum cywilizacji rzymskiej. Bastionami nowej religii były m.in. Azja Mniejsza i Afryka Północna. Ich mieszkańcy spoglądali na ludy mieszkające na północ od Dunaju jak na nieokrzesanych barbarzyńców. A jednak z czasem to właśnie na owych dalekich terenach rozkwitnie Kościół, zaś w Azji Mniejszej i Afryce Północnej zniknie on niemal zupełnie. Dlaczego analogiczna sytuacja nie miałaby się powtórzyć w przyszłości? Już dziś chrześcijaństwo zanika w europejskich metropoliach, zaś rozwija się bujnie na Czarnym Lądzie, na który Europejczycy często patrzą z poczuciem wyższości, jak starożytni Rzymianie na barbarzyńców z północy.

WYBIŁA GODZINA AFRYKI

W 1969 r. odbyła się pierwsza w erze nowożytnej wizyta papieska na kontynencie afrykańskim, gdy Paweł VI odwiedził Ugandę. W trakcie tego wydarzenia w Kampali utworzono Sympozjum Konferencji Episkopatów Afryki i Madagaskaru (SCEAM), czyli organizację skupiającą wszystkie katolickie episkopaty w tej części świata. Powstała instytucja mogąca publicznie artykułować głos Kościoła na Czarnym Lądzie.

Dynamiczny rozwój katolicyzmu w Afryce znalazł odbicie także w nominacjach do kolegium kardynalskiego i kurii rzymskiej. Za pontyfikatu Jana Pawła II nad Tybrem pojawili się czarnoskórzy hierarchowie, którzy później stawali na czele watykańskich kongregacji i dykasterii, np. kardynałowie Francis Arinze z Nigerii, Peter Turkson z Ghany czy Robert Sarah z Gwinei. Ten ostatni zdobył wielki autorytet w Kościele jako myśliciel, teolog i autor poczytnych książek.

W 1994 r. Jan Paweł II zwołał w Rzymie pierwszy synod biskupów z Czarnego Lądu, wieszcząc, iż „wybiła godzina Afryki". Rok później owocem tego wydarzenia stało się ogłoszenie przez niego adhortacji posynodalnej „Ecclesia in Africa". Ostatni rozdział owego dokumentu został zatytułowany „Będziecie moimi świadkami aż po krańce ziemi". Wymowa była jasna: nadszedł czas, by przestać już traktować ten kontynent jedynie jako ziemię misyjną, a zacząć stawiać przed nim poważne zadania. W takim duchu wypowiadali się też zresztą uczestnicy synodu. Jak pisał papież: „Ojcowie synodalni dostrzegli wezwanie, które Bóg kieruje do Afryki, aby odegrała w pełni i na skalę całego świata swoją rolę w planie zbawienia rodzaju ludzkiego".

AFRYKA MÓWI: „NON POSSUMUS"

Po raz pierwszy w Kościele katolickim głos Afryki w skali globalnej został usłyszany na początku br., gdy całe episkopaty gremialnie sprzeciwiły się ogłoszonej 18 grudnia 2023 r. watykańskiej deklaracji „Fiducia supplicans". Wspomniane już Sympozjum Konferencji Episkopatów Afryki i Madagaskaru wydało wspólne oświadczenie, w którym kategorycznie wykluczyło możliwość błogosławienia par jednopłciowych przez kapłanów. Protest czarnoskórych hierarchów był tak masowy i zdecydowany, że Stolica Apostolska musiała pójść na ustępstwa, uznając prawo duchownych na tym kontynencie do odrzucenia dokumentu.

Część komentatorów zwracała uwagę, że już wcześniej afrykańscy dostojnicy nie byli zadowoleni z wielu decyzji podejmowanych w Watykanie. Postkolonialny kompleks niższości wobec metropolii nie pozwalał im jednak na zdecydowany protest. Niemniej jednak coś się przełamało. Ogłoszenie „Fiducia supplicans" stanowiło moment, w którym zostali zmuszeni powiedzieć: „Non possumus". Zgoda na błogosławienie związków homoseksualnych oznaczała odstępstwo od wiary i zdradę Chrystusa.

Upór afrykańskich dostojników zwrócił na nich uwagę katolickiej opinii publicznej. W oczach wielu wierzących jawią się oni jako prawdziwi obrońcy ortodoksji, nie idący na kompromisy z możnymi tego świata. Dla wielu z nich presja na błogosławienie par jednopłciowych to jedynie kolejny etap ideologicznej i mentalnej kolonizacji, którą Zachód próbuje narzucić Globalnemu Południu. Od wielu lat różne agendy ONZ-owskie, instytucje unijne i zachodnie rządy szantażują bowiem kraje Afryki, uzależniając pomoc finansową od przyjęcia postulatów środowisk LGBT+. Czarnoskórzy przywódcy coraz częściej jednak mówią białym panom zdecydowane „nie".

CZARNY PAPIEŻ?

Kluczową rolę we wspomnianym buncie episkopatów Czarnego Lądu odegrał przewodniczący SCEAM kard. Fridolin Ambongo z Kinszasy. Jest on jednym z najbliższych współpracowników Franciszka w Radzie Kardynałów, dlatego przeprowadził całą operację tak, by nie wyglądała na spisek przeciw papieżowi. Dzięki jego dyplomatycznemu kunsztowi odrzucenie „Fiducia supplicans" dokonało się za zgodą Stolicy Apostolskiej. Mediacyjne zdolności kongijskiego purpurata połączone z jego doktrynalną pryncypialnością zwróciły na niego uwagę watykanistów. Niektórzy, np. Franca Giansoldati czy John L. Allen Jr, uważają, że Ambongo byłby najlepszym kandydatem na przyszłego papieża jako człowiek mogący uspokoić rozdygotaną sytuację w Kościele katolickim.

Sam hierarcha mówi wprost, że Zachód chce narzucić Afryce poprzez ONZ-owskie agencje, m.in. UNICEF i WHO, swą dekadencką i niemoralną kulturę, a zwłaszcza ideologię LGBT+. Jak stwierdza: „Ponieważ na Zachodzie nie lubią dzieci, chcą obrać za cel podstawową komórkę ludzkości, jaką jest rodzina. Zniszczyć rodzinę i zniszczyć społeczeństwo. Na Zachodzie, ponieważ nie kochają dzieci, nie wierzą w rodzinę, nie wierzą już w małżeństwo. Dziś Zachód traci swoje wartości. Nie lubi dzieci, ale po to, by gospodarka działała, muszą szukać ludzi za granicą. Stopniowo będą znikać. Życzymy im szczęśliwej śmierci!".

W 1991 r. ks. Ralph Wiltgen napisał książkę „Ren wpada do Tybru". Jej tytuł podkreślał wpływ, jaki na kształt Kościoła posoborowego wywarli biskupi i teolodzy z Niemiec. Jak twierdzi australijski publicysta katolicki Scott Smith, czasy się jednak zmieniają i od tej pory to nie Ren, lecz Kongo będzie wpływać do Tybru.

eprasa.pl 05aed3788f

Gwiazdorskie ciosy

Po Zacu Efronie, ulubieńcu nastolatek i gwieździe Disneya, nie ma już śladu. Na kinowy ring wkroczył właśnie zmieniony fizycznie odtwórca roli zawodowego zapaśnika Kevina Von Ericha. „Bracia ze stali" to filmie o sportowym biznesie i rodzinnym fatum

Fot. GutekFilm

eprasa.pl 05aed3788f

JOLANTA GAJDA–ZADWORNA

Przygodę z aktorstwem zaczął jako 11-latek. Od teatru. Z czasem zauważyli go też twórcy telewizyjni. Przełom nastąpił w 2006 r., gdy Disney Channel zrealizował „High School Musical". Zac Efron (wtedy już 18-latek) dostał rolę Troya Boltona, kapitana szkolnej drużyny koszykówki. I grał tę postać – z coraz większym medialnym i kasowym powodzeniem – także w dwóch kontynuacjach.

Niebieskooki, chłopięcy z wyglądu ulubieniec widowni trafiał również do kolejnych masowych produkcji. Można go było oglądać m.in. w nominowanym do Złotego Globu musicalu „Król rozrywki", opartej na telewizyjnym serialu kinowej wersji „Baywatch. Słoneczny patrol" (2017) czy komedii „Co ty wiesz o swoim dziadku?" (2016). W 2019 r. wszedł na ekrany film „Podły, okrutny, zły", w którym Efron zagrał seryjnego mordercę i gwałciciela Teda Bundy'ego, udowodniając, że nie brakuje mu również dramatycznego talentu. Teraz rolą w „Braciach ze stali" przebił się do kolejnej, szerokiej grupy odbiorców.

SUKCES I KLĄTWA

Wrestling, rozbudowana o dodatkowe elementy forma zapasów, największą popularność i krociowe zyski przynosi w Stanach Zjednoczonych. Kevin Von Erich (to w niego wciela się w „Braciach ze stali" Efron) należał do klanu, który zrewolucjonizował tę dyscyplinę w latach 70. i 80. ub.w. Razem z braćmi odniósł na ringu wiele sukcesów (sam zdobył tytułu mistrza Teksasu wagi ciężkiej), jednak cena, jaką zapłaciła za to cała rodzina, była bardzo wysoka.

Z sześciu synów Fritza Von Ericha na amerykańskiej premierze „Braci ze stali" pojawił się jeden – dziś 66-letni Kevin Von Erich. David, którego w filmie gra Harris Dickinson, w wieku 25 lat przedawkował leki przeciwbólowe, Kerry (w tej roli Jeremy Allen White, gwiazda serialu „The Bear") jako 33-latek popełnił samobójstwo, Mike, mając zaledwie 23 lata, przedawkował środki nasenne, a 21-letni Chris zastrzelił się. Najstarszy Jack, zmarł, gdy miał sześć lat.

DWA RINGI

Nim kolejne tragedie zniszczyły rodzinę, w wrestlingu lat 70. i 80. bracia Von Erich osiągnęli status supergwiazd. „Byli niczym bogowie. Jak superbohaterowie z komiksów" – komentował odtwórca roli Kerry'ego Jeremy Allen White. Zafascynowny wrestlingiem reżyser i zarazem scenarzysta Sean Durkin połączył na ekranie amerykański sen ze sportowym i rodzinnym ringiem. Na pierwszym z nich, realizując własne ambicje, surowy ojciec wymusza u synów bezwzględne posłuszeństwo i katorżnicze ćwiczenia. Na drugim trwa nieprzerwanie walka o rodzicielską miłość, uznanie i uwagę.

Film Seana Durkina koncentruje się na historii trzech braci, przy czym główną postacią jest tu Kevin. Kreację Efrona docenił pierwowzór: „To rola dla niego. Pasuje do niej jak nikt" – mówił po premierze Von Erich.

Fot. GutekFilm

eprasa.pl 05aed3788f

FIZYCZNA METAMORFOZA

Wcielenie się w ważącego ponad 100 kg, atletycznego wrestlera było nie lada wyzwaniem. Na potrzeby filmu Efron zwiększył masę mięśniową o 10 kg. Przede wszystkim jednak musiał powalczyć – zarówno o wiarygodne sportretowanie człowieka, którego legenda w USA jest wciąż żywa, jak i oddanie wrażliwości, a także rodzinnego zaangażowania granego przez niego bohatera. Cechy te były szczególnie ważne dla reżysera. „Muskularna budowa ciała Zaca rzuca się w oczy. Ale Kevin ma w sobie łagodność, którą u Zaca też widać" – mówi Durkin.

Fizyczna transformacja dała aktorowi również siłę do wrestlerskich pojedynków. Co podkreślają twórcy filmu, zarówno Efron, jak i Allen White oraz Dickinson samodzielnie odtwarzali sceny wszystkich walk.

W ALEI SŁAW

W wydłużonym okresie przygotowań do roli poza rosnącą muskulaturą, fani zauważyli też inne zmiany w wyglądzie aktora. Pojawiły się sugestie, że zaczął eksperymentować z zabiegami medycyny estetycznej. Efron wielokrotnie zaprzeczał takim działaniom. W końcu wyjaśnił, że nowy wygląd twarzy to efekt nieszczęśliwego wypadku z... 2013 r. Z czasem doszło do „nadmiernej kompensacji mięśni żwaczy", a więc i rozbudowania szczęki. Niezależnie od tych tłumaczeń, widać wyraźnie, że 36-letni dziś Zac Efron nie tylko fizycznie, lecz także aktorsko daleko odszedł od wizerunku roztańczonego chłopca. Zamiany te są zauważane i doceniane.

11 grudnia ub.r., dziesięć dni przed amerykańską premierą „Braci ze stali", Zac Efron odsłonił swoją gwiazdę w słynnej Hollywoodzkiej Alei Sław w Los Angeles. Podczas ceremonii mówił: „To takie surrealistyczne. Gram, śpiewam i tańczę odkąd pamiętam, odkąd byłem małym chłopcem, ale nigdy w najśmielszych snach nie wyobrażałem sobie, że będę tu dziś stał".

Fot. Screen/twitter.com/MileyCyrus

Zwycięskie kwiaty

Miała 11 lat, gdy trafiła na casting do Disneyowskiego serialu „Hannah Montana" (emisja 2006–2011). Jako 15-latka, już w roli gwiazdy przebojowej serii, Miley Cyrus pojawiła się w „High School Musical 2" (2007). Młodsza od Zaca Efrona o pięć lat, w nocy z 4 na 5 lutego odniosła spektakularny sukces.

W mediach społecznościowych krąży nagranie z występu Miley na tegorocznej gali najważniejszych wyróżnień w światowym przemyśle muzycznym, podczas którego krzyczy głośno: „Właśnie wygrałam swoją pierwszą nagrodę Grammy!". Dodajmy: po ponad 17 latach w branży (bo równolegle z karierą aktorską Cyrus rozwijała działalność muzyczną).

66. ceremonia Grammy przyniosła amerykańskiej piosenkarce, autorce tekstów i aktorce dwie statuetki (w tym w kategorii Nagranie roku) za przebój „Flowers". 31-latka skradła show nie tylko ekspresyjnym wyśpiewaniem utworu. Zwróciła również uwagę aż pięcioma stylizacjami. Najodważniejszą z nich – w której wystąpiła na czerwonym dywanie – była „naga" mikrosukienka wykonana z 14 tys. (!) złotych agrafek. W relacjach z gali zauważono też pozostałe suknie oraz charakterystyczną fryzurę Cyrus. Zwłaszcza stylizacja wybrana na występ i zgrana z dynamiką wykonania sprawiła, że porównywano ją do tak charakterystycznych wykonawczyń jak Dolly Parton czy Tina Turner.

JGZ

eprasa.pl 05aed3788f

3 MIŁOŚCI

Arystokracja demokracji

ROBERT TEKIELI

Wiele osób krzywi się, gdy przy opisie ustroju współczesnej demokracji liberalnej używa się takich pojęć, jak „dyktatura" czy „totalitaryzm". Bez wątpienia występujący dziś w tzw. starych demokracjach ustrój realnego liberalizmu różni się od ustroju realnego socjalizmu, który panował w Sowiecji w XX w. Jednak jest to już tylko różnica stopnia, a nie jakości.

Dzisiejsi totalitaryści są bardziej bezczelni. Breżniew, myśląc o inwazji na Europę, mówił o pokoju, szefowa Europejskiego Banku Centralnego Christine Lagarde tydzień temu stwierdziła publicznie, że cyfrowe euro ma być mechanizmem kontroli społecznej.

Dziś obywatelom UE grozi kara więzienia lub grzywna za transakcje gotówkowe powyżej 1 tys. euro, dla Lagarde już takie sumy jak 300 euro w gotówce są podejrzane. Rzecz dzieje się w Unii Europejskiej, instytucji, w której zamieciono pod dywan kolejną aferę korupcyjną; dowodami w niej były zabezpieczone przez prokuraturę reklamówki pełne lewych pieniędzy.

Pilotaż CBDC, cyfrowej waluty banku centralnego, prowadzą obecnie jedynie totalitarne Chiny. I nie jest to przypadek, zachodni establishment od dłuższego już czasu wzoruje się na chińskich metodach totalnej kontroli społecznej.

W lutym 2022 r. o wolnościowej roli gotówki namacalnie przekonali się uczestnicy kanadyjskiego Konwoju Wolności. Protest kierowców ciężarówek został stłumiony dzięki zamrożeniu ponad 200 kont bankowych na łączną kwotę 7,7 mln dol. kanadyjskich. „Nie mogłem zrobić żadnych przelewów elektronicznych, nie mogłem zapłacić rachunków przez internet" – mówił prasie jeden z poszkodowanych. Rząd kanadyjski zamroził konta bankowe protestujących i członków ich rodzin oraz dożywotnio oznaczył ich czerwoną flagą w systemach. Mrożenia dokonywano bez konieczności uzyskiwania postanowienia sądu. Według premiera Trudeau osoby protestujące należały do „małej, skrajnej mniejszości", która miała „niedopuszczalne poglądy", a „blokowanie kont bankowych jest zgodne z kanadyjską Kartą Praw i Swobód". Mówimy o rodzącym się totalitaryzmie finansowym nieznanym nigdzie i nigdy w historii poza Koreą Północną.

Współczesna demokracja liberalna nie jest ani demokracją, ani nie jest wolnościowa. Wolny świat upadł pod ciężarem cenzury politycznej poprawności i dyktatu irracjonalnych ideologii. Współczesne „liberalne demokracje" zamieszkuje człowiek gramsciański, rządzi nimi zniewolony umysł, produkt hegemonii kulturowej. A za kulisami twardo realizowane są interesy arystokracji demokracji.

Dziewiętnastowieczne wojny opiumowe zakończyły się, gdy w 1860 r. kilkudziesięciotysięczny brytyjski korpus ekspedycyjny zajął Pekin, a w wyniku twardego traktatu pokojowego chińskie porty zostały otwarte dla handlu z Wielką Brytanią i Francją. Wolny handel narzucony nagą siłą. Liberalizm albo śmierć.

Samo określenie „wojny opiumowe" wzięło się stąd, że brytyjskie żądania wobec chińskiego rządu dotyczyły głównie wymuszenia legalizacji przemycanego już od kilku dekad opium, degradującego chińskie społeczeństwo.

Od ponad 30 lat kulturowa kolonizacja Trzeciego Świata odbywa się pod hasłami dostępu do „bezpiecznej aborcji" oraz „szerokiej edukacji seksualnej". Państwom Globalnego Południa arystokracja demokracji za pośrednictwem takich instytucji jak UE, WHO, ONZ stawia ultimatum: pieniądze, jeśli aborcja.

Trwa współczesna wojna opiumowa. Zachodni establishment forsuje ideę, by dostępność do aborcyjnego zabijania dzieci uznać za prawo człowieka. Wewnętrzny front tej wojny mamy też w UE. Emmanuel Macron forsuje wpisanie prawa do aborcji do Karty Praw Podstawowych Unii Europejskiej. Kulturowa kolonizacja Europy Środkowej nie została jeszcze zakończona.

Przez ostatnie osiem lat trwał w Polsce demontaż „współczesnej liberalnej demokracji" w imię demokracji jako takiej. Dziś nasz kraj jest miejscem eksperymentu, jak daleko można się będzie posunąć w całkowitym odwróceniu/odrzuceniu porządku prawnego, gdy cel jest krytyczny dla zachodniego establishmentu, tej współczesnej arystokracji demokracji. Krytyczny w dwóch sensach tego słowa. Po pierwsze, bardzo trudny do przetrwania, a jednocześnie rozstrzygający o dalszych losach. Po drugie, taki, którego przekroczenie spowoduje gwałtowne zmiany jakiegoś układu. I mowa tu nie tylko o europejskim superpaństwie w budowie, nie tylko o interesach zagrożonej niemieckiej gospodarki, lecz także o całym jawiącym się coraz wyraźniej globalnym projekcie: Wielkiego Resetu, Społeczeństwa Otwartego, Agendy 2030 czy chińskiej Społeczności Ludzi Dzielących Wspólną Przyszłość, jakkolwiek ktoś zechce go nazwać.

Od dekady Chińska Republika Ludowa prowadzi swoją wojnę opiumową i odwzajemnia się Zachodowi fentanylem. Ludzkie zombie snują się ulicami amerykańskich miast. Fentanyl można już kupić w Warszawie.

eprasa.pl 05aed3788f

WOJNA CYWILIZACJI

POPKULTURA

Może być *„Myśliwi z ruin”*, to południowokoreańska produkcja postapo z Donem Lee („Eternals”) w roli głównej. Średnie kino klasy B o nieskomplikowanej fabule, co pozwala jej płynąć wartko od mordobicia do strzelaniny, od strzelaniny do mordobicia. Co ważne, choreografia scen walki jest więcej niż przyzwoita, a Don Lee, nietuzinkowy arm wrestler, ma papiery na to, by uwierzyć, że wystarczy, by dał z liścia, aby zamknąć sprawę. Dokładnie tak, jak bohater grany ongiś przez Buda Spencera. Do tego niewymuszony komizm – scena z maczetą! Nie ma się czego wstydzić, oglądając tę bajkę.

Na ekranie Seul, z którego nie został kamień na kamieniu, próbujące przetrwać cywilizacyjną apokalipsę niewielkie grupy ludzi, szalony naukowiec, bardzo ożywione żywe trupy i porwana nastolatka. Akcja toczy się ku oczywistemu zakończeniu, nad scenariuszowymi absurdami nie będę się rozwodził, a film odnotowuję ze względu na kreację Dona Lee. Stworzył on nowy typ w galerii ekranowych silnych ludzi. Nowy, jeśli ktoś nie pamięta wspomnianego już Buda Spencera, gwiazdy kina akcji z kaset VHS; nie sądzę też, by koreański aktor wzorował się na swoim włoskim poprzedniku, olimpijczyku – 194-centymetrowym waterpoliście. Lee jest w swej roli absolutnie wiarygodny, a my znamy takie postaci. W każdym miasteczku, na każdym osiedlu jest taki, w sumie dobroduszny, koleś. Ten, który w czasach mojego dzieciństwa mieszkał w Krzepicach, był niewysoki, miał pałąkowate nogi, nieschodzący z policzków rumieniec i potrafił podnieść sejf, półtora, na półtora, na 1,5 m.

Komiksowa konwencja w „Myśliwych z ruin” się sprawdza. Jeśli więc nie oczekujesz od obrazków migających z prędkością 24 na sekundę choć cienia refleksji i lubisz hektolitry sztucznej krwi generowanej przez najtańszy software CGI, możesz obejrzeć ten film, co oczywiście nie oznacza, że jakoś szczególnie go polecam.

POPKULTURA

Może być „Kiepsko wyglądasz, spałeś w nocy? Mógłbyś nagrywać te mecze i oglądać je w dzień. – Żartujesz? To jak mieć niestrawność bez frajdy ze zjedzenia ciastka...”. Skoro dialog warto zapisać, a w filmie występuje Liam Neeson, moglibyśmy spodziewać się dobrej fabuły. W przypadku *„Demaskatora”* i tak, i nie. Plusów jest naprawdę dużo, ale rzecz jest do bólu wtórna. Neeson gra zatrudnionego przez FBI najemnika do zadań specjalnych Travisa Blocka, paranoika z nerwicą natręctw, co rodzi kłopoty, bo agent walczy o relację z wnuczką, choć charakter jego pracy nie pomaga w utrzymaniu więzi z rodziną. Travis chce przejść na emeryturę, jednak jego podopieczny wykrywa spisek wewnątrz firmy. Agent, co dziś rzadkie, jest w pełni pozytywnym bohaterem. Chce dotrzeć do prawdy wbrew wszystkiemu, a zagrożone jest życie jego, córki i wnuczki. Cały jego świat trzęsie się w posadach, to, co było fundamentem, punktem odniesienia, zaczyna wyglądać jak pułapka. Tak zaczyna się gra pomiędzy głównym bohaterem a szefem FBI, któremu wiele zawdzięcza, do którego ma zaufanie i od którego jest do pewnego stopnia charakterologicznie uzależniony.

Mark Williams, scenarzysta 34 odcinków serialu „Ozark”, wyreżyserował „Demaskatora” na podstawie swojego scenariusza. Film nie zarobił na siebie, więc może Williams znów skoncentruje się na pisaniu historii. Wszyscy dobrze by na tym wyszli, bo lepszy reżyser najpewniej dołożyłby swoją cegiełkę i mógłbym film z pełnym przekonaniem polecić.

Siłą „Demaskatora” jest dobra gra aktorska – oprócz Neesona ciekawa Claire van der Boom. Opowieść toczy się gładko, choć nie ma jakichś spektakularnych zwrotów akcji, zaś najważniejsza jest wymowa filmu. Oglądamy świat ani przez różowe okulary, ani w myśl teorii spiskowych. Władza szefa FBI, trzymającego w rękach teczki i kariery polityków, to potężna pokusa. W dialogach pojawia się postać Johna Edgara Hoovera, który nie wahał się walczyć o swoje za pomocą najbrudniejszych metod. Jednak prawdziwym spoiwem pokoju społecznego nie jest, jak sądził Hoover, podstęp, krew i kłamstwo, ale prawo i sprawiedliwość, możliwość spojrzenia sobie rano w lustrze w oczy.

***Robert Tekieli**, Polskie Radio*

eprasa.pl 05aed3788f

Maciej Walaszczyk

Tajemna droga zespołu z Wilna

Žalvarinis, „Live at Kilkim Žaibu Festival XXII", 2023

Głosy wokalistek krążą, przenikają się, uzupełniają, tworząc efekt fali dźwiękowej, a wspiera je rockowo-gitarowe tło. Bez zgiełku i decybeli. Tak gra Žalvarinis, najbardziej znany litewski zespół folkrockowy.

Działa już od 23 lat, przeszedł barwną drogę, a założyli go metalowcy i wokalistki obrzędowego zespołu Kūlgrinda. Obrzędowego, bo kultywującego tradycje żywych na Żmudzi, przedchrześcijańskich kultów bałtyjskich. Pamiętajmy, że Bałtowie w tej części Europy przebywają na jednej i tej samej ziemi od co najmniej 2 tys. lat. A kūlgrinda to starożytne tajemne kamienne drogi, wytyczane kiedyś przez błota, jeziora czy nawet rzeki. Dziś taką drogą przez popkulturę podąża zespół z Wilna.

To album koncertowy, nagrany dwa lata temu podczas Kilkim Žaibu Festival, na którym znalazły się m.in. utwory z wydanej w tym samym czasie płyty „Cantabile". Filozofią tej muzyki nie jest używanie folkloru niczym eksponatu muzealnego. Jest ożywiony zróżnicowanymi i gustownymi instrumentalizacjami z pogranicza rocka i jazzu, a niesie go śpiew wokalistek Sigite Jonynaitė i Vilte Ambrazaitytė. Uprawiają one sutartinės – tradycję litewskiej pieśni polifonicznej, gdzie melodie po nałożeniu się na siebie tworzą harmoniczną, gęstą, dźwiękową tkankę. To wokale są tu najważniejsze, a gitary tylko dozują emocje, nie zagłuszając tego, co najważniejsze. Nastój ten dominuje podczas całego koncertu, choćby w pieśniach takich jak „Turėjo liepa" czy „Trep Trep". To muzyka bardzo wciągająca, ale w warstwie słownej przesycona opisami relacji między człowiekiem a siłami natury.

Zespół otrzymał niedawno prestiżową państwową Nagrodę Twórców Sztuki za 2023 r. za wkład wniesiony w rozwój muzyki litewskiej, a teraz walczy o możliwość reprezentowania tego kraju w konkursie Eurowizji. „Nie poddajemy się stereotypom konkursu, chcemy zaprezentować naszą kulturę, ujawnić się, pokazać tożsamość naszego narodu, duchowość i piękno naszego języka" – deklaruje kompozytor i gitarzysta Robertas Semeniukas. Nagrana z tej okazji piosenka „Gaudė vėjai" opowiada o sile wspólnoty, bo „tylko idąc razem, możemy ocalić to, co dla nas najważniejsze". Chodzi oczywiście o wiszące nad Litwą zagrożenie rosyjską agresją. A nadwrażliwych ostrzegam: słuchając tego koncertu, poza pogańską kosmologią, natrafimy też na „Czerwoną kalinę" i okrzyki Slava Ukraini.

Obrazy mistrza Škvoreckego

Josef Škvorecký to prozaik na miarę Kundery czy Hrabala. A nawet większy, ważniejszy i prawdziwszy. Po agresji wojsk Układu Warszawskiego w 1968 r. wyemigrował do Kanady, gdzie mieszkał aż do śmierci. Poza pracą wykładowcy i tłumacza prowadził Oficynę '68 Publishers, wydając w niej książki autorów czeskich i zachodnich, zakazanych w kraju nad Wełtawą.

Josef Škvorecký „Gorzki świat", Wydawnictwo Czarne 2020

Tom opowiadań jest podzielony na trzy części. Zawiera m.in. wzruszające i zaprawione lekkim humorem historie Żydów z rodzinnego Náchodu. Tych dobrych i wyrachowanych, pobożnych i chcących zapomnieć o Bogu, albo takich jak pedagog Onkel Hubert – Żyd z angielskim obywatelstwem, urodzony w Austrii, żyjący w Czechosłowacji, za swój język ojczysty uważający niemiecki. A pomiędzy takimi jak on Czesi, niektórzy od 1938 r. udający Niemców, a także Niemcy wstydzący się zakochanych w Hitlerze ziomków. W opowiadanych historiach wielu dopatrzy się nieprawdopodobieństwa, ale przecież nie chodzi w nich o realizm. „Czyż wojna nie jest bardziej fantasmagorią aniżeli rzeczywistością? Jeśli zaś przypisać ją rzeczywistości, czy w takim razie rzeczywiście jesteśmy ludźmi?" – pyta autor. Niemal wszyscy zginęli w obozie w Terezinie, a ich los ujawniał w ludziach prymitywne odruchy. „Taki jest ten świat oparty na obojętności" – mówi jeden z bohaterów do Rebeki – dziewczyny, która Terezin przeżyła.

Druga cześć opowiada o czasach stalinizmu, w Czechosłowacji trwającego właściwie do 1968 r. Autor wie, o czym pisze, gdy w kapitalnej opowiastce „Zwyczajny tydzień Květoslava Prska" miejsca uwięzienia stawiającego opór duchowieństwa nazywa klasztorami koncentracyjnymi. Zostały one zlikwidowane dopiero w czasie Praskiej Wiosny. Tytułowy Květoslav to redaktor wydawnictwa zajmujący się tym, co robią dziś zachodni cenzorzy od cancel culture. Może przerobienie Wuja Toma na ateistę mu się nie udaje, ale w efekcie jego starań niewolnik zyskuje świadomość klasową. Gdy się jednak okazuje, że w „Inwazji jaszczurów" Čapka ktoś przeoczył antyradzieckie fragmenty, cała redakcja musi w czynie społecznym wyciąć, a potem wkleić do 40-tys. nakładu stronę poprawionego tekstu.

Pisarz kochał też jazz i o nim są opowiadania wypełniające trzecią część zbioru. Trzeba go przeczytać, a potem sięgnąć po „Batalion czołgów" i „Przypadki inżyniera ludzkich dusz".

eprasa.pl 05aed3788f

Encyklopedia endecji

Ukazał się trzeci tom „Encyklopedii Ruchu Narodowego" wydawanej staraniem Instytutu Dziedzictwa Myśli Narodowej. Wśród autorów nazwiska m.in. prof. Bogumiła Grotta, dr. hab. Rafała Łętochy, dr. Rafała Sierchuły czy nadzorującego ten projekt dr. Krzysztofa Kawęckiego

Hasła mają szeroki rozrzut tematyczny i dotyczą zarówno myśli politycznej, organizacji, takich jak np. Ruch Narodowo-Radykalny, Zespół Stu czy Narodowy Związek Robotniczy, jak i syntetycznych opisów zjawisk lub wydarzeń, w tym m.in. pogrzebu Romana Dmowskiego w 1939 r., Ślubów Jasnogórskich Młodzieży Akademickiej z 1936 r., tytułów prasowych związanych narodowcami („Gazeta Warszawska", „Kurier Poznański" czy „Słowo Polskie").

Jednym z najciekawszych haseł, interesujących choćby ze względu na zdominowanie tego tematu przez lewicowe środowiska feministyczne, jest działalność posłanek Związku Ludowo-Narodowego i SN w Sejmie II Rzeczypospolitej. Jak się okazuje, najwięcej kobiet startowało z list narodowych oraz PSL „Wyzwolenie". Najważniejszą z nich była z pewnością Gabriela Balicka, sprawująca swój mandat przez cztery kadencje z rzędu, ale również Zofia Sokolnicka (ekspert na konferencji pokojowej w Wersalu) czy Irena Puzynianka. Najczęściej należały one do Narodowej Organizacji Kobiet, lecz wchodziły także w skład organów klubowych i partyjnych. Szczególną aktywność przejawiała Balicka, która już w 1919 r. wraz z Zygmuntem Seydą złożyła m.in. wniosek o zniesienie ograniczeń wobec mężatek w zakresie działań prawnych oraz stosunków majątkowych. Rok później w sprawie zniesienia ograniczeń w prawie prywatnym, administracyjnym i procesowym. Angażowała się także w dyskusje dotyczące upośledzenia kobiet w urzędach państwowych, gdzie ograniczano im możliwość awansów bez względu na wykształcenie. Kobiety domagały się też wprowadzenia ograniczeń dla sprzedaży i spożycia alkoholu, widząc w alkoholizmie zagrożenie dla społeczeństwa i przyczyniając się do nałożenia ustawowych ograniczeń zniesionych w 1931 r. Posłanki postulowały również zwiększanie nakładów na edukację i szkolnictwo. To Balicka zwracała uwagę na konieczność wychowania narodowego i wprowadzenia nauki o obywatelstwie jako osobnego przedmiotu. Podejmowały też sprawę konieczności objęcia kobiet opieką po porodzie, opieki nad młodocianymi matkami oraz przeciwdziałania handlu kobietami, które były sprzedawane do domów publicznych m.in. w Argentynie.

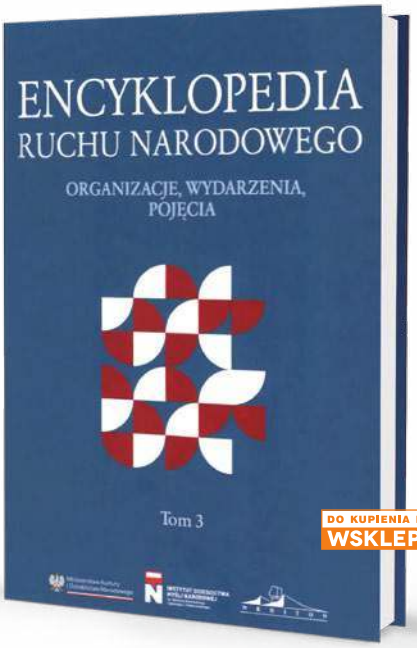

„Encyklopedia Ruchu Narodowego", t. 3, Neriton; IDMN 2023

DO KUPIENIA NA STRONIE WSKLEPIKU.PL

Tom ten zawiera również interesującą z dzisiejszej perspektywy historię powstałego w latach 30. Związku Popierania Polskiego Stanu Posiadania, skupiającego przedstawicieli polskiego handlu, przemysłu i rzemiosła. Organizacja była z zasady apolityczna, lecz wspierana przez władze sanacyjne oraz działaczy endeckich. Prowadziła m.in. akcje planowanego osadnictwa na terenach pozbawionych polskich kupców i rzemieślników, ułatwianie im pozyskiwania bezprocentowych kredytów od Banku Gospodarstwa Krajowego czy pomocy prawnej. Zakładano m.in. sklepy, składy opałowe, warsztaty szewskie albo stolarskie, kawiarnie, zakłady fryzjerskie, cukiernie i hurtownie. Na początku lat 30. XX w. jedna trzecia Żydów utrzymywała się z handlu i kredytów, będąc w posiadaniu połowy istniejących sklepów i warsztatów rzemieślniczych, dominując zdecydowanie nad stanowiącą dwie trzecie obywateli ludnością zaangażowaną w rolnictwo i uzależnioną od ich pośrednictwa. Dlatego szczególnie po wielkim kryzysie ekonomicznym i spadku siły nabywczej konflikt przybierał formy zorganizowanego bojkotu, także w postaci przemocy skierowanej m.in. wobec klientów sklepów żydowskich i ich właścicieli. Ale przede wszystkim był motorem akcji wspierania polskich właścicieli.

Znajdujemy też historię Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół" – potężnej organizacji ponadzaborowej, krzewiącej narodową świadomość, kulturę i sport masowy. To Zygmunt Balicki (prywatnie mąż Balickiej) dostrzegł w grach zespołowych możliwość rozwijania solidaryzmu, współpracy i dyscypliny charakteryzującej m.in. Niemców. Dlatego podczas II Zlotu „Sokoła" we Lwowie 14 czerwca 1894 r. rozegrano pierwszy mecz piłkarski na ziemiach polskich. Trwał on tylko 6 min, aż do pierwszej bramki, którą strzelił W. Chomicki.

eprasa.pl 05aed3788f

Polska Opera Królewska – imponuje bogactwem przedsięwzięć

Zespół Instrumentów Dawnych Polskiej Opery Królewskiej Capella Regia Polona

Pod mecenatem ORLENU

To już siódmy sezon istnienia Polskiej Opery Królewskiej, która na stałe wpisała się w krajobraz kultury wysokiej nie tylko Warszawy, lecz także całej Polski, a nawet Europy

Opera zainaugurowała działalność jako nowa państwowa instytucja kultury 1 sierpnia 2017 r., na mocy Zarządzenia Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego z 25 lipca 2017 r. Jej powstanie było rezultatem wyraźnego postulatu środowiska muzyków i miłośników opery, którzy wyrazili potrzebę stworzenia w Warszawie nowego, kameralnego teatru operowego. Na czele instytucji stanął pierwszy dyrektor Ryszard Peryt, który pełnił tę funkcję do swojej śmierci 23 stycznia 2019 r. Obecnie funkcję dyrektora pełni Andrzej Klimczak, zaangażowany w organizację i rozwój Opery od samego początku jej istnienia. W 2024 r. Mecenasem Polskiej Opery Królewskiej został ORLEN.

„Jesteśmy dumni, że od stycznia 2024 r. ORLEN zyskuje miano Mecenasa Polskiej Opery Królewskiej oraz Mecenasa »Opery w drodze«. Współpraca ta przyczyni się do realizacji naszej misji upowszechniania kultury wysokiej nie tylko w Warszawie, lecz także w innych zakątkach kraju" – możemy przeczytać na stronie Polskiej Opery Królewskiej pod adresem operakrolewska.pl.

Rzeczywiście dotychczasowe 6,5 roku funkcjonowania tej instytucji imponuje bogactwem przedsięwzięć artystycznych. Działalność Polskiej Opery Królewskiej opiera się na trzech filarach. Główny nurt stanowi kreacja nowych przedstawień najwybitniejszych dzieł operowych z epoki baroku i klasycyzmu. Istotnym zadaniem instytucji jest także przywracanie bogatego, często zapomnianego repertuaru muzyki polskiej na scenę, obejmując zarówno dzieła operowe, jak i utwory wokalne oraz instrumentalne. Pierwszy sezon opera, wówczas kierowana przez śp. dyrektora Ryszarda Peryta, rozpoczęła od wykonania Requiem d-moll

W pandemii nie próżnowali

Aż dwa lata z sześcioletniej historii istnienia Polskiej Opery Królewskiej przypadły na okres całkowitego, a potem częściowego zamknięcia instytucji kultury. To jednak właśnie Polska Opera Królewska jako pierwsza w Polsce, a druga w Europie, po okresie lockdownu dała premierę operową – skrojone w sam raz na miarę pandemicznych obostrzeń dziełko Pergolesiego „La serva padrona". W tym trudnym dla kultury okresie teatr przeniósł swoją działalność do internetu i zaprezentował aż 22 transmisje nowych programów koncertowych.

Fot. Materiały POK

eprasa.pl 05aed3788f

Wolfganga Amadeusza Mozarta. To jego dzieła operowe pojawiają się w repertuarze instytucji najczęściej. Oprócz niego muzyka polska. Już w pierwszym miesiącu działalności artyści przedstawili warszawskiej publiczności „Credo" Krzysztofa Pendereckiego oraz pierwszą premierę sceniczną, „Dziady – Widma" Stanisława Moniuszki na kanwie dramatu Adama Mickiewicza.

SPECJALNOŚĆ – AUTENTYZM MUZYKI DAWNEJ

Oprócz produkcji operowych Polska Opera Królewska aktywnie uczestniczy w działalności koncertowej, prezentując zarówno kompozycje dawne, jak i współczesne, zarówno kameralne, jak i symfoniczne. Wszystkie te przedstawienia są starannie przygotowywane, z dbałością o najwyższy poziom wykonawczy i autentyczność brzmienia z epoki, z której pochodzą. Prezentowanie dzieł muzyki dawnej jest od początku jednym z ważniejszych celów istnienia instytucji. W 2019 r. dyrektor Klimczak zorganizował drugi cykliczny festiwal Polskiej Opery Królewskiej – In Tempore Regum – Muzyka Czasu Królów. Podczas dotychczasowych trzech edycji w zabytkowych warszawskich wnętrzach oraz w bazylice jasnogórskiej prezentowano kompozycje od średniowiecznych po klasyczne. Na scenie Teatru Królewskiego w Łazienkach zagościł nawet balet „Noverre en action", inspirowany kontaktami reformatora baletu z królem Stanisławem Augustem.

Dbałość o stylowość wykonań kompozycji barokowych zaowocowała utworzeniem w 2018 r. Zespołu Instrumentów Dawnych Polskiej Opery Królewskiej Capella Regia Polona. Jego działalność zainaugurowało wykonanie fragmentów oratorium „Mesjasz" w bazylice Św. Krzyża. Oprócz bogatego repertuaru koncertowego, prezentowanego głównie w cyklu „Muzyka dawna na Zamku Królewskim", Capella jest głównym filarem kolejnego już festiwalu Polskiej Opery Królewskiej – Festiwalu Barokowego. Jego pierwsza edycja miała miejsce w 2021 r. i złożyły się na nią zrealizowane do tego czasu przez teatr opery barokowe: „Orfeusz" Monteverdiego, „Scene buffe" Scarlattiego, „Dydona i Eneasz" Purcella, „Rodelinda i Rinaldo" Haendla oraz „La serva padrona" Pergolesiego. W 2022 r. Festiwal Barokowy poświęcony był w całości twórczości Claudia Monteverdiego, a w 2023 r. Georga Friedricha Haendla.

DOTRZEĆ Z OPERĄ WSZĘDZIE, GDZIE SIĘ DA

Jednym z priorytetowych celów Polskiej Opery Królewskiej jest realizacja wydarzeń z cyklu „Opera w drodze", w ramach którego Opera już ponad 65 razy prezentowała swoje spektakle i koncerty w mniejszych i większych ośrodkach, występując na zaproszenie teatrów, filharmonii, festiwali i domów kultury. Artyści Polskiej Opery Królewskiej odwiedzili m.in. Sanok, Chorzów, Sandomierz, Zieloną Górę, Krasiczyn, Piłę, Grudziądz, Wejherowo i Ełk. Teatr gościł również za granicą. W Wilnie prezentował spektakl „Dziady – Widma" Stanisława Moniuszki, zaś na festiwalu w ukraińskim Tulczynie – koncertową wersję „Strasznego dworu". W 2022 r. opera dwukrotnie gościła w Pärnu w Estonii – wiosną z koncertem kameralnym, a w lipcu na festiwalu Pärnu Opera Days, gdzie m.in. po raz pierwszy na estońskiej ziemi zaprezentowała „Straszny dwór" Stanisława Moniuszki. W chorwackiej stolicy Zagrzebiu zaprezentowano z kolei koncert muzyki polskiej.

Polska Opera Królewska w ujęciu statystycznym

- prawie 7 lat istnienia
- ponad 750 wydarzeń
- ponad 30 premier operowych
- ponad 170 premierowych koncertów

Ponad 70 występów w ramach „Opera w drodze"

Projekty zagraniczne:

- 2018 Litwa (Wilno)
- 2019 Ukraina (Tulczyn)
- 2022 Estonia (Pärnu – cztery wydarzenia)
- 2022 Chorwacja (Zagrzeb)

FESTIWAL LETNI – OD PODSUMOWANIA PO WYDARZENIE TEMATYCZNE

Na zakończenie każdego sezonu Opera prezentuje festiwal letni, trwający ok. trzech tygodni. Przez pierwsze lata miał on formułę podsumowania sezonu, a od 2021 r. organizowane są festiwale tematyczne, poświęcone konkretnym twórcom lub rozdziałom z historii muzyki. To właśnie talenty i ogromne zaangażowanie pracowników Opery – nie tylko solistów śpiewaków, członków Zespołu Wokalnego, Orkiestry Polskiej Opery Królewskiej, Zespołu Instrumentów Dawnych, lecz także niewidocznych na co dzień dla publiczności pracowników technicznych i administracji – sprawiają, że instytucja cały czas poszukuje najbardziej adekwatnych form dotarcia do widzów i słuchaczy. Instytucja do dziś funkcjonuje bez własnej sceny, dlatego wszystkie spektakle operowe są wystawiane w Teatrze Królewskim w Starej Oranżerii w Muzeum Łazienki Królewskie w Warszawie.

KIERUJĄC SIĘ PLATOŃSKĄ TRIADĄ

Polska Opera Królewska odwołuje się nazwą, godłem i charakterem działalności do wybitnych początków opery w Polsce. Z szacunku do dziedzictwa teatru władysławowskiego, którego scena znajdowała się w Zamku Królewskim w Warszawie, Polska Opera Królewska kontynuuje tradycję pierwszego stałego teatru operowego w Polsce i jednego z pionierskich na świecie, a jednocześnie z powodzeniem dąży do doskonałości wykonawczej.

Wspominając złote czasy opery z okresu panowania Stanisława Augusta, Polska Opera Królewska hołduje imponującej architekturze Teatru Królewskiego w Łazienkach, zbudowanego z inicjatywy monarchy. Obecnie jest to główna scena instytucji, której misją jest pielęgnowanie i upowszechnianie polskiego dziedzictwa muzycznego.

Dodatkowo Opera Królewska jest zaangażowana w budowanie oraz umacnianie polskiej i europejskiej tożsamości, skoncentrowanej wokół wielkiej platońskiej triady – Prawdy, Dobra i Piękna – czytamy na stronie operakrolewska.pl.

Teraz, dzięki zyskaniu tak potężnego mecenasa, jakim jest ORLEN, instytucja zyska jeszcze większe możliwości rozwojowe.

PARTNER DODATKU

ORLEN

Artykuł sponsorowany | 29/0124/F

eprasa.pl 05aed3788f

Paweł Tarnowski żeglarskim wicemistrzem świata

Na Lanzarote, wyspie będącej częścią archipelagu Wysp Kanaryjskich, odbyły się mistrzostwa świata w windsurfingowej olimpijskiej klasie iQFOiL. ***Paweł Tarnowski***, utalentowany żeglarz, windsurfer i kitesurfer, członek Żeglarskiej Kadry Narodowej, który swoją postawą uczy, że ciężka praca przynosi dobre owoce, zdobył tam srebrny medal. Najbliższe wielkie wyzwanie, przed którym – wiele na to wskazuje – stanie Tarnowski, to letnie igrzyska olimpijskie w 2024 r. w Paryżu

Rozmawiamy z mistrzem, którego sportowe wysiłki Kasa Stefczyka i Fundacja Stefczyka wspiera od 15 lat

Na początku lutego na mistrzostwach świata w olimpijskiej windsurfingowej klasie iQFOiL zdobył pan srebrny medal. Co w tych zawodach było największym wyzwaniem, któremu musiał pan stawić czoło?

Paweł Tarnowski: Przede wszystkim żeby pojechać na te zawody od początku do końca w pierwszej dziesiątce. To był mój plan. Troszeczkę zjadał mnie niepotrzebny stres. Z tyłu głowy miałem pytania: „Czy mi się uda? Czy nie popełnię jakiegoś błędu?". Stres wynikał głównie z tego, że przed zawodami miałem sporo różnych sytuacji, które mogły wyprowadzić mnie z równowagi i pokrzyżować moje plany. Były to kłopoty sprzętowe – już miałem skompletowany dobry, dograny sprzęt (deska, żagiel, hydroskrzydła itd.), ale na jednym z treningów nastąpiło mocne zderzenie z zawodnikiem z Chin i ten sprzęt mi się zepsuł. Dosłownie dwa, trzy dni przed zawodami musiałem go na nowo dobrać, co zajmuje sporo czasu i kosztuje dużo stresu oraz energii. Druga kwestia to drobna kontuzja stopy (podobną miałem podczas mistrzostw świata w zeszłym roku), ale na szczęście okazało się, że to było delikatne zbicie palca i szybko przeszło. Więc miałem z tyłu głowy te sytuacje tuż sprzed zawodów i bałem się, żeby to się nie powtórzyło. Jak już doszedłem do finałów, to – o dziwo – byłem spokojny, bo miałem konkretny plan na te wyścigi i wiedziałem, że jak go wykonam, to jest szansa na medal. I to się ziściło. Zrobiłem dokładnie tak, jak zaplanowałem i jest medal, jest srebro. Bardzo się cieszę.

Ten medal poświęcił pan żonie i synkowi.

Moja żona przez ostatnie pół roku zrobiła bezkonkurencyjnie najlepszą robotę. Nasz synek Henryk urodził się dokładnie podczas poprzednich mistrzostw świata w sierpniu 2023 r. Teraz ma pół roku. Każdy ojciec widzi ogrom pracy włożony w całe to „dziecięce zamieszanie" przede wszystkim przez matki, a szczególnie w sytuacji takiej, w jakiej jest moja żona. Ja trenuję za granicą, a treningi są długie. Niestety mało bywam w domu, więc tym bardziej nakład pracy żony włożony w opiekę nad synem jest ogromny. Ten medal jest jej i dla niej. I razem chcieliśmy zadedykować ten sukces naszemu synkowi, bo teraz jest naszą największą radością. Mam to szczęście, że moja żona jest tak wspaniała. Również cały sztab trenerski, koledzy z teamu, sponsorzy, rodzina, bliscy i wszyscy, którzy mnie wspierają, pomagają w tej sportowej drodze. Tak więc ten medal jest wprawdzie zdobyty przeze mnie, lecz po części należy do każdej z tych osób, które umożliwiły i ułatwiły mi drogę do niego.

Fot. Instagram

Swój pierwszy medal mistrzostw świata wywalczył pan w 2007 r., w wieku zaledwie 13 lat. Potem zdobył pan wiele trofeów sportowych. Czy kolejne tytuły smakują tak samo jak te pierwsze?

Z pewnością tytuł mistrza jest bardzo fajnym uczuciem, bo stoi się na tym pierwszym miejscu, a nie na drugim lub trzecim.

Autopromocja

eprasa.pl 05aed3788f

Wywalczyłem dotąd młodzieżowe mistrzostwo świata i mistrzostwo Europy seniorów, ale tym razem chodzi o wyższą ligę, bo to mistrzostwa świata, choć tym razem zająłem nie pierwsze, ale drugie miejsce. Mam na koncie bardzo dużo wygranych pucharów świata, medali z pucharów Europy, mistrzostw Polski, ale to nie smakuje tak samo jak seniorski medal mistrzostw świata – to mój pierwszy taki medal. To niesamowite uczucie. Przede wszystkim jest to dla mnie bardzo duże osiągnięcie, bo mamy rok olimpijski. Za niecałe pół roku odbędą się igrzyska, a wiemy doskonale, że w roku olimpijskim wszyscy zawodnicy są w najlepszej formie. Zdobywając teraz na Lanzarote medal, potwierdziłem, że należę do ścisłej czołówki.

W sierpniu w Hadze wywalczył pan dla Polski kwalifikacje olimpijskie w windsurfingowej klasie iQFOiL. Czy zdobyty teraz tytuł wicemistrza świata oznacza, że weźmie pan udział w letnich igrzyskach olimpijskich w 2024 r. w Paryżu?

Czekam na oficjalną decyzję sztabu Polskiego Związku Żeglarskiego i... mam nadzieję, że będę startował na olimpiadzie.

W 2009 r. podpisał pan swój pierwszy w życiu kontrakt. Była to umowa sponsorska z Kasą Stefczyka. Oznacza to, że Kasa wspiera pana w drodze do spełniania sportowych marzeń nieustannie od 15 lat. Czy w dzisiejszych czasach możliwa jest kariera sportowa bez sponsorów?

Myślę, że w żeglarstwie bez sponsorów bardzo trudno o karierę sportową na takim poziomie, na jakim zdobywa się medale mistrzostw świata, mistrzostw Europy czy puchary świata. Nie jest to sport zbyt dochodowy, za to jest bardzo drogi. To paradoks, ale tak jest. Sprzęt kosztuje bardzo dużo. Kosztowne są też wyjazdy, bo przecież wystarczy spojrzeć za okno – ciężko sobie wyobrazić regularne treningi na windsurfingu czy w ogóle treningi żeglarskie w Polsce. Tak więc rola sponsorów i partnerów jest nieoceniona. Kasa Stefczyka jest pierwszym sponsorem, którego kiedykolwiek miałem. Ogromne podziękowania należą się dla całej Kasy za wiarę we mnie przez te 15 lat, od pierwszych moich sukcesów, które osiągnąłem, gdy byłem jeszcze bardzo młodym chłopakiem. Kasa Stefczyka wspierała mnie i od zawsze wierzyła w to, że mój udział w igrzyskach olimpijskich jest możliwy. Jesteśmy już bardzo blisko zrealizowania tego celu, a sama możliwość udziału w igrzyskach i prestiż oraz zaszczyt walki o medale są budujące i na tyle dla mnie wyjątkowe, że myślę, iż może to być również coś inspirującego dla Kasy Stefczyka, a także wszystkich, którzy mnie dopingują i wspierają.

eprasa.pl 05aed3788f

ORLEN Copernicus Cup w Toruniu i ORLEN Cup w Łodzi – widać postęp u sportowców

Polscy lekkoatleci już rozpędzeni w sezonie olimpijskim

Podczas zgrupowania w RPA wicemistrzyni świata z Budapesztu i wicemistrzyni olimpijska w sztafecie pobiła rekord Polski na dystansie 300 m, który od 49 lat należał do legendarnej Ireny Szewińskiej. Wiele świetnych rezultatów Polacy uzyskali także podczas jubileuszowego mityngu ORLEN Copernicus Cup w Toruniu i co najważniejsze notowali tam jeszcze lepsze wyniki niż podczas rozegranego 10 dni wcześniej mityngu ORLEN Cup w Łodzi.

Największa aktualnie gwiazda polskiej lekkoatletyki Natalia Kaczmarek postanowiła w tym roku zrezygnować ze startów w hali, by jak najlepiej przygotować się do biegania na otwartym stadionie, jak to będzie miało miejsce w Paryżu. Jak donosił serwis informacyjny Polskiego Związku Lekkiej Atletyki, Kaczmarek trzykrotnie startowała na bieżniach w Republice Południowej Afryki i uzyskała znakomite wyniki ze wspomnianym rekordem Polski na 300 m na czele, który teraz wynosi 35,52 sek.

Polscy lekkoatleci bardzo obiecująco rozpoczęli tegoroczny sezon, którego kulminacyjnym punktem będą oczywiście igrzyska w Paryżu. Swoją znakomitą dyspozycję potwierdziła jedna z naszych największych olimpijskich nadziei medalowych Natalia Kaczmarek

– Jestem bardzo zadowolona z tych biegów. Pokazały, że szybkościowo jest naprawdę dobrze. Wiedziałam, jakie czasy uzyskuję na treningach i że stać mnie na poprawienie tego rekordu. Niemniej jednak miałam w głowie, że wynik, jaki osiągnęła Irena Szewińska jest naprawdę dobry i aby go poprawić muszę pobiec bardzo odważnie. Dodatkowo na taki wynik muszą też pozwolić warunki, ale one były zdecydowanie sprzyjające. Gdy zobaczyłam ten wynik, bardzo się ucieszyłam, chociaż byłam też naprawdę bardzo mocno zmęczona. Cieszę się, że zrezygnowałam z sezonu halowego, bo teraz mam bardzo dużo czasu na przygotowania do startów letnich. Mam nadzieję, że już w kwietniu będę w wysokich dyspozycjach. To też ważne w kontekście kwalifikacji sztafet do igrzysk, które zaplanowano na początek maja – powiedziała dla pzla.pl Natalia Kaczmarek.

Tuż po znakomitych wieściach z RPA przyszły równie optymistyczne z mityngu z Düsseldorfu, gdzie w biegu na 60 m

Fot. Paweł Skraba, Marek Biczyk, Łukasz Szeląg (2x)

eprasa.pl 05aed3788

przez płotki zwyciężył Jakub Szymański, uzyskując czas 7,47 sek., co jest nowym rekordem Polski U-23, który wcześniej przez ćwierć wieku należał do Tomasza Ścigaczewskiego. Jednocześnie ten wynik sprawił, że Szymański został liderem światowych tabel w swojej konkurencji. Mityng w Düsseldorfie był zaliczany do cyklu „srebrnego", czyli World Athletics Indoor Tour Silver, ale kolejne zawody miały już znacznie wyższą rangę. Organizowany w Toruniu po raz 10., zatem jubileuszowy ORLEN Copernicus Cup jest zaliczany do imprezy z lekkoatletycznej „złotej ligi", a więc cyklu World Athletics Indoor Tour Gold. Tegoroczny ORLEN Copernicus Cup był czwartym z siedmiu przystanków cyklu Gold. Po zawodach w Astanie, Ostrawie i Bostonie to właśnie na toruńskim ORLEN Copernicus Cup była skupiona uwaga lekkoatletycznego świata. Tegoroczny mityng zapowiadano jako nieoficjalną rywalizację najlepszych polskich lekkoatletów z bardzo mocną reprezentacją reszty świata. Rzeczywiście, jego pasjonujący przebieg potwierdził te oczekiwania, a zawodnicy godnie uczcili okrągły jubileusz imprezy.

EWA SKRADŁA SHOW

Największą gwiazdą wśród polskich reprezentantów była z pewnością sprinterka Ewa Swoboda, która w biegu na 60 m uzyskała czas 7,01 sek., co była najlepszym tegorocznym wynikiem na świecie. Swoboda stoczyła zacięty pojedynek z mającą iworyjskie korzenie reprezentantką Włoch Zaynab Dosso. Polka minimalnie pokonała rywalkę, a dokładna różnica pomiędzy sprinterkami wyniosła zaledwie 0,013 sek. Rezultat z Torunia jest trzecim najlepszym wynikiem w karierze wyrazistej sprinterki, która wciąż przyozdabia swoje ciało nowymi tatuażami.

– Uwielbiam halę w Toruniu. To w niej uzyskiwałam swoje najlepsze czasy w karierze. Rozpędzam się w tym roku i liczę na fantastyczny doping moich kibiców w hali w Toruniu – mówiła jeszcze przed startem Ewa Swoboda i potwierdziła później, że – jak zawsze z jej strony – były to szczere słowa.

WYNIKI GODNE JUBILEUSZU

Po ustanowieniu rekordu Polski w biegu na 60 m przez płotki kolejny dobry start zanotował 22-letni Jakub Szymański. Zawodnik SKLA Sopot mimo błędów na końcowej części dystansu wygrał bieg, odnotowując drugi czas w karierze – 7,48 sek., czyli słabszy zaledwie o 0,01 sek. swojego osiągnięcia z Düsseldorfu. Szósty na mecie był Krzysztof Kiljan. Warszawianin czasem 7,61 sek. poprawił rekord życiowy i przesunął się na szóste miejsce w polskich tabelach historycznych.

Mająca apetyt na poprawienie halowego rekordu Polski Zofii Bielczyk Pia Skrzyszowska w finałowym biegu na 60 m przez płotki nie uniknęła błędów i minimalnie – o 0,12 sek. – przegrała na mecie z Nadine Visser. Holenderka wyrównała najlepszy czas w Europie, osiągając w Toruniu wynik 7,80 sek., a Polka ostatecznie uzyskała 7,81 sek. Wartościowy rekord życiowy na poziomie 8,02 sek. ustanowiła czwarta na mecie Weronika Nagięć. Zawodniczka nie tylko przesunęła się na 10. pozycję w polskich tabelach historycznych, lecz także wypełniła minimum na marcowe mistrzostwa świata w Glasgow.

Mocne tempo biegów na 1,5 tys. m doskonale wykorzystali polscy milerzy. W rywalizacji kobiet bieg wygrała Freweyni Hailu (3:55,28, najlepszy wynik na świecie i trzeci w historii), a siódma na mecie Weronika Lizakowska i dziewiąta Martyna Galant wypełniły minimum na halowe mistrzostwa świata. Polki poprawiły rekordy życiowe, uzyskując odpowiednio 4:05,16 i 4:05,67. Bieg mężczyzn wygrał Samuel Tefera (3:34,61), a ósmy na mecie Filip Rak osiągnął trzeci czas w historii polskiej lekkoatletyki, będący zarazem rekordem kraju U23 – 3:37,30. W biegu na 400 m zaimponowała Marika Popowicz-Drapała. W serii z udziałem Polek bydgoszczanka od początku nadała mocne tempo i wygrała z rekordem życiowym 52,14 sek. Serię międzynarodową wygrała z kolei Holenderka Lieke Klaver – czas 50,57 sek. to najlepszy wynik w historii toruńskiej imprezy. Konkurs tyczkarzy wygrał Piotr Lisek. Polski zawodnik zapewnił sobie wygraną, pokonując poprzeczkę zawieszoną na 5,75 m. Później jeszcze bezskutecznie atakował 5,85 m.

W klasyfikacji mityngów halowych World Athletics tegoroczna jubileuszowa edycja ORLEN Copernicus Cup zajmuje aktualnie drugie miejsce. Lepsze w tym sezonie na świecie były tylko weekendowe zawody w Bostonie, które podobnie jak te w Toruniu są zaliczane do elitarnego cyklu Indoor Tour Gold.

Polscy zawodnicy w Toruniu czują się jak w domu, sponsor tytularny Copernicus Cup – ORLEN jest też przecież generalnym sponsorem Polskiego Związku Lekkiej Atletyki, co gwarantuje, że najwyższy poziom przygotowań do każdych zawodów, w tym wyczekiwanych przez kibiców igrzysk olimpijskich.

W kontekście przygotowań olimpijskich warto się przyjrzeć, jakie rezultaty osiągali nasi najlepsi lekkoatleci w czasie mityngu ORLEN Cup, który 27 stycznia, a więc 10 dni przed Copernicusem, został rozegrany na bieżni ułożonej w łódzkiej Atlas Arenie. Tam najlepszy czas Ewy Swobody wyniósł 7,04 sek., Pii Skrzyszowskiej 7,85 sek., a Jakuba Szymańskiego 7,52 sek. Widać zatem wyraźnie, że im dłużej trwa sezon, tym lepsze wyniki osiągają nasi zawodnicy, a ich forma rośnie, co daje nadzieję polskim kibicom, że jej szczyt przypadnie właśnie na czas rywalizacji olimpijskiej.

W Paryżu lekkoatleci będą rozgrywali swoje konkurencje od 1 do 11 sierpnia, a areną zawodów będzie słynny stadion Stade de France, który powstał na mistrzostwa świata w piłce nożnej w 1998 r.

PARTNER DODATKU

ORLEN

Artykuł sponsorowany | 26/0124/F

eprasa.pl 05aed37686f

MATTHEW TELLER | DZIENNIKARZ BBC

Miasto zamrożonej chwili

Jak sam mówi, spędził pół życia, mieszkając, pracując i podróżując po Bliskim Wschodzie (ale nie tylko). Jego „Jerozolima. Nowa biografia starego miasta" (która ukazała się właśnie nakładem wydawnictwa Znak Koncept) została okrzyknięta mianem książki tygodnia „Observera" i książki roku „Daily Telegraph".

Związany zawodowo z BBC Matthew Teller opowiada o Jerozolimie z perspektywy współczesnych mieszkańców, wydarzeń i miejsc. Jak przystało na dziennikarza, kreśli biografię miasta z wnikliwością, wsłuchując się w różne narracje, nie poddając dawnym i obecnym podziałom politycznym czy topograficznym. Honorując przeszłość, zostawia jednocześnie sporo miejsca na emocje dzisiejszych, bardzo różnorodnych mieszkańców Jerozolimy.

Nie bez powodu rezygnuje z kolorowych ilustracji (wyjątkiem jest barwna mapa na okładce). Zestawia dawne czarno-białe fotografie ze współczesnymi, pozbawionymi feerii barw, dzięki czemu mocniej skupia uwagę czytelnika na tym, co przedstawiają. Choćby „Zdjęcie z 1917 roku, ukazujące Kopułę na Skale (u góry po lewej) i Mur zachodni (pośrodku po prawej) razem z zabudowaniami zniszczonej w 1967 roku Dzielnicy Marokańskiej widocznej na pierwszym planie".

Autor przywołuje opinię jednego z izraelskich prawników zajmujących się prawami człowieka: „Wojna 1967 roku przekształciła Jerozolimę z obiektu najszlachetniejszych dążeń ludzi do świętości w plac zabaw dla piromanów".

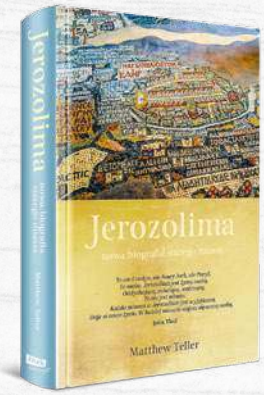

Teller próbuje dociec sedna tworzonej przez wieki jerozolimskiej przestrzeni oraz zmian, jakie w niej zachodziły. Pisze: „Dziesięć tysięcy metafor próbowało uchwycić istotę Jerozolimy. Warstwy cebuli to popularne wyobrażenie – nie tylko dlatego, że przywołuje na myśl kolejne warstwy historii, które można znaleźć zakopane pod każdą ulicą. Mustafa Abu Sway, profesor studiów islamskich, powiedział mi, że korzyścią z mieszkania tutaj jest »posiadanie właściwej wtyczki. Pozwala ci ona podłączyć się bezpośrednio do źródła energii«. Podoba mi się także to, co stwierdził inny przyjaciel, pisarz Yuval Ben-Ami. Nazwał on Jerozolimę »miastem zamrożonej chwili«. Ładnie pokazuje to ideę, wedle której wszystko, co widzisz, jest zaledwie migawką. Każdy maleńki krzyż spośród setek wyrytych w kamiennych ścianach bazyliki Grobu Świętego mówi o życiu pojedynczego pielgrzyma w chwili przybycia do celu. A jeśli – jak od dawna podejrzewano – maleńkie krzyżyki pochodzą z epoki krzyżowców (ostatnie badania wskazują, że mogą być wcześniejsze), to mówią one również o momencie podboju, zastygłym w kamieniu pod wpływem miecza rycerza-pielgrzyma" – sumuje.

A jaki przekaz może nieść charakterystyczne zwieńczenie Kopuły na Skale? W ciągu ostatnich dziesięcioleci to błyszczący złotem symbol Jerozolimy. Jednak od 1022 do 1959 r. kopułę pokrywał ciemnoszary ołów. „Teraz jest nie do pomyślenia, że kiedykolwiek była szara czy że kiedykolwiek do tej szarości mogłaby wrócić. Złota kopuła to kolejna zamrożona chwila, ukazująca rolę tego budynku na przełomie XX i XXI wieku, na styku religii i geopolityki" – pisze Teller.

Przy czym nie tylko szeroka perspektywa towarzyszy wędrówce autora. W prywatnym odbiorze ważnym punktem odniesienia jest dla niego doświadczenie pierwszej podróży do Jerozolimy, jeszcze jako dziecka, w 1980 r. Tak je wspomina: „To, co mam w pamięci z tamtych czasów, to rozproszone wrażenia: gładkie płyty chodnikowe pod stopami, pstrokate kolory i tkaniny zawieszone wysoko nad głową w wąskich alejkach, mój ojciec robiący coś, o czym dzisiaj nawet by nie marzył – wymieniający pieniądze w należącej do Palestyńczyka budce w bramie Damasceńskiej. I zapachy. Tak wiele zapachów. Słodkie rzeczy. Spalone. Gnijące. Mydło do prania. Gorący chleb. Zapachy, o których nic nie wiedziałem. Dopiero po latach, w czasach, gdy kupowanie i używanie przypraw stało się powszechniejsze także dla nas, rodziny z przedmieść Londynu, potrafiłem nazwać ten ziemisty zapach, który przez lata wypełniał moją głowę Jerozolimą. A więc to było to. Kumin".

Jolanta Gajda-Zadworna

Fot. Materiały prasowe

eprasa.pl 05aed3788f

SŁODKO-SŁONY

Czerwone pomarańcze

ANNA MONICKA

No więc skusiłam się i po raz kolejny, jak co roku, pozwoliłam sobie na odrobinę luksusu. Zamówiłam we włoskiej spółdzielni rolniczej cytrusy. Ekologiczne, takie, żeby nie zmarnował się ani kawałeczek nasączonej olejkami skórki. Paczka dotarła po dwóch tygodniach, w domu zapachniało latem, a my rzuciliśmy się, żeby podziwiać, macać, obierać, wyciskać, smażyć i zajadać, wyciągać pestki (może urosną i za parę lat będę miała na parapecie własny gaj?).

Zaprosiliśmy rodziców, żeby wspólnie cieszyć się energetycznymi smakami. Grejpfruty po prostu pożarliśmy – część podzieliliśmy na cząstki i potraktowaliśmy jak multiwitaminę, część w sałatce z sałatą rzymską i cykorią, polane odrobiną sosu z oliwy i czosnku. Z podpieczoną bagietką, żeby nic ciężkiego nie stłumiło świeżego smaku.

Gdy nasyciliśmy pierwszy głód, przyszła kolej na pomarańcze. Z nimi sprawa jest poważniejsza, bo można je wykorzystać na więcej sposobów. Skórkami zajął się mąż – część poocierał i zalał alkoholem – na nalewkę i do doprawiania różnych potraw, część ściął i usmażył w gęstym syropie – na lato do deserów. Smakują obłędnie, można nimi doprawiać biały ser lub gęste greckie jogurty.

Owoce pokrojone w plastry świetnie nadają się do wszelkich napojów, ale mistrzowskie danie wymyśliła moja córka. Przy tym tak proste, że sama może sobie przygotować. Gotujemy budyń waniliowy i układamy je na wierzchu, gdy jest jeszcze gorący. Puszczają sok i po chwili można się delektować. Niby nic, a smakuje wybornie. Dziecko orzekło, że mogłoby się tym żywić codziennie.

Ja z kolei bardzo lubię pomarańcze smażone na patelni. Grube plastry obranych owoców (mogą też być w skórce, byle była porządnie wyszorowana) układamy na gorącym maśle, posypujemy odrobiną cukru trzcinowego (najlepszy jest muscovado o karmelowym aromacie) i dobrego cynamonu, zrumieniamy z obu stron i podajemy. Same lub z omletem na słodko albo z obsmażoną na maśle, skropioną sokiem pomarańczowym chałką. Gdy podlejemy kropelką rumu, zrobi się bardziej wykwintnie. Popijamy rozgrzewającym naparem na skórkach.

Fot. Shutterstock

WILCZYM OKIEM

Bieszczadzki łosoś

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Chociaż w rzekach południowo-wschodniej Polski żyje kilka gatunków ryb łososiowatych, w tym nie tylko lipienie, pstrągi potokowe czy wielkie głowacice, lecz także same łososie, które co jakiś czas niespecjalnie skutecznie próbuje się przywrócić naszym rzekom, to bieszczadzkim czy też podkarpackim łososiem bywa nazywana inna, wcale nie łososiowata ryba. To zaszczytne miano przypada śwince (*Chondrostoma nasus*), rybie z rodziny karpiowatych.

Świnka dorasta do 50 cm długości i maksymalnie do nieco ponad 2 kg masy ciała, przeciętnie jednak ryba tego gatunku jest znacznie mniejsza. Jej ciało jest lekko wygrzbiecone, płetwy ze słabszym lub mocniejszym odcieniem czerwieni, łuski srebrne. Poszukując pożywienia, którym są drobne bezkręgowce żyjące przy kamienistym dnie i osadzające się tam glony, żerujące świnki regularnie błyskają srebrzystymi bokami w toni wodnej, co dla wprawnego oka jest oznaką obecności tych ryb. Polską nazwę świnka zawdzięcza kształtowi pyska, a dokładniej jego górnej części, tworzącej jakby nochal – spory, lecz budzący sympatię.

Kiedyś świnki, zamieszkujące wyższe, kamieniste, zaliczane do krainy brzany lub lipienia odcinki rzek o szybszym nurcie, były w Polsce jednym z liczniejszych gatunków ryb. Niestety, czynniki pustoszące naszą ichtiofaunę – zanieczyszczenia (wciąż obecne i bagatelizowane, powąchajmy co drugą rzeczkę), kłusownictwo i przegradzanie rzek zaporami bez przepławek niebędących fikcją, lecz rzeczywiście umożliwiających wędrówki ryb – sprawiły, że świnki stały się rzadkie.

Jednym z wyjątków jest Osława, lewobrzeżny dopływ Sanu. Na początku wiosny, zwykle w początkach kwietnia, kiedy woda się ociepla, w górę rzeki płyną pod prąd tysiące świnek. Jeżeli woda nie jest zmącona, wówczas niezbyt głęboka na wielu odcinkach toń Osławy pozwala na obserwowanie tych ryb podążających na tarliska i składających ikrę – całymi rozległymi ławicami, niczym łososie na Alasce. Temu widowiskowemu spektaklowi, jednemu z ciekawszych w naszej przyrodzie, świnka zawdzięcza tytułowe miano, jak wspomniałem zaszczytne – chociaż czy oryginalnej śwince potrzebny jest splendor innego gatunku?

eprasa.pl 05aed3788f

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Cyrk Hołowni

Wobec osoby, która coś zaniedbała, o czymś zapomniała, nie przygotowała się należycie (do pracy, nauki itp.), po prostu nawaliła – mówiło się: „niestety, kolego, nie odrobiłeś pracy domowej". To przykład często używanego w języku polskim związku frazeologicznego, gdy krótkimi słowami opisujemy pewne zjawisko bez wchodzenia w szczegóły.

Pierwszą decyzją nowej minister edukacji Barbary Nowackiej było zniesienie nakładania na uczniów obowiązku odrabiania prac domowych. To postulat samego Donalda Tuska z czasów ostatniej kampanii wyborczej, usilnie starającego się przypodobać młodym. Zatem młodzi mają się mniej uczyć, czyli mają być głupsi od choćby takiego wicepremiera, ministra cyfryzacji, dr. nauk humanistycznych (sic!) Krzysztofa Gawkowskiego, którego zdaniem prezydent Andrzej Duda zachowuje się „jak Judasz, który umywa ręce". Starsi Polacy, sprzed rządów Tuska, nie dogadają się już z wychowankami Nowackiej. Nie będą wiedzieć, co znaczy „nie odrobił pan lekcji", nie będą znali „filozofii Kalego" o tym, co jest dobre, a co złe, bo lewactwo w ramach poprawności politycznej wyeliminowało ten fragment wiedzy z lektur szkolnych. Szkodliwa działalność minister Nowackiej dopiero się rozkręca. Jeszcze nie raz szeroko otworzymy oczy ze zdumienia. Na razie jeździ po szkołach, napawając się władzą i czarując młodych swoją nowoczesnością.

To samo robi Szymon Hołownia, zapraszając do gmachu Sejmu młodych oraz wizytując szkoły. To oczywiste, że widzi wśród nich swoich przyszłych wyborców. Wszak to Hołownia postulował obniżenie progu czynnego prawa wyborczego. Ogłupić, okłamać, wykorzystać młodych do swojej polityki to klasyczna pajdokracja.

Koalicja 13 grudnia zachowuje się tak, jakby miała rządzić „do końca świata i jeden dzień dłużej". Specjalnie użyłem tu kolejnego związku frazeologicznego autorstwa Jerzego Owsiaka, jednego z największych lewaków, od 32 lat „wychowujących" na opak polską młodzież. Przekonanie, że zdobytej władzy nie oddadzą nigdy, jest u ludzi Tuska powszechne. Stąd to bezczelnie jawne łamanie prawa, bandyckie zastraszanie ludzi, czystki w mediach i bezwzględne zawłaszczanie instytucji państwa.

Koncepcja walki politycznej z PiS za pomocą ulicy i zagranicy okazała się niestety skuteczna. Dziś wszyscy wyrzucili na śmieci swoje koszulki z napisem „Konstytucja". Wyjątkiem jest „wielki OTUA", czyli Lech Wałęsa. Nadal chodzi w t-shirtach z napisem „Konstytucja". A w gabinecie ministra sprawiedliwości Adama Bodnara, w miejsce Chrystusowego krzyża zawisła na ścianie ramka ze słowem „Konstytucja" w środku. To inspiracja dla ministra do notorycznego łamania prawa.

Wracając do Szymona Hołowni. Jest on narzędziem w rękach Platformy i jej służb, które stworzyły formację polityczną Polska 2050. Służby te, za rządów Tuska i Kopacz, nadzorował bliski zaufany Tuska minister Jacek Cichocki, szef kancelarii premiera, były minister spraw wewnętrznych, sekretarz kolegium ds. służb specjalnych. Odpowiedzialny także za bezprawne kontakty SKW z rosyjską FSB, te wszystkie spotkania z Moskalami w Zakopanem, Krakowie i Kadynach. Fakt, że Cichocki zmienił partyjne barwy, to nie brak lojalności wobec dawnego pryncypała. Wręcz przeciwnie, to lepszy sposób kontrolowania „wyszczekanej gwiazdy TVN", szczególnie wtedy, gdy Hołownia postanowi zostać prezydentem RP. W 2020 r. Cichocki był szefem jego sztabu wyborczego. I nic dziwnego, że tenże Cichocki został pod koniec 2023 r. szefem kancelarii marszałka Sejmu Szymona Hołowni. To on, blokując stałe przepustki Mariusza Kamińskiego i Macieja Wąsika, zadecydował o zakazie wejścia do Sejmu.

Hołowni postawiono zadanie firmowania tego bezprawia. Wygaszając mandaty posłom Kamińskiemu i Wąsikowi i zakazując im wstępu do Sejmu, wywołał permanentny konflikt z opozycją, źródło przepychanek i manifestacji. Argumenty prawne nie mają tu żadnego znaczenia. Hołownia, choć bez wyższego wykształcenia, dobrze wie, że wyrok Sądu Okręgowego w Warszawie, skazujący obu posłów na więzienie, co dla Hołowni było równoznaczne z utratą mandatów poselskich, objęła amnestia, a potem został on zaskarżony do Izby Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych Sądu Najwyższego, która odwołania posłów zaakceptowała, przywracając im mandaty.

Ostatnią deską ratunku dla Hołowni jest podzielenie się swoim bezprawiem z Państwową Komisją Wyborczą, która mogłaby uznać wygaszenie mandatów posłów za skuteczne i wyznaczyć w ich miejsce dwie inne osoby z listy PiS do zaprzysiężenia przez Sejm. To by zamknęło sprawę, ale wytrawny prawnik, jakim jest szef PKW Sylwester Marciniak, tak komplementowany przez prezydenta Andrzeja Dudę, gdy rekomendował go na szefa PKW, wie, czym ryzykuje. Na razie uznał wniosek marszałka Sejmu w sprawie przekazania listy kandydatów w miejsce obu posłów za „przedwczesny". Mam nadzieję, że sędzia Marciniak nie zdecyduje się na wieczną infamię i nie dołączy do cyrku Hołowni.

www.wojciechreszczynski.pl

Reklama | 30/0124/F

MATERIAŁ
MARKETINGOWY

Ubezpiecz więcej
niż cztery ściany

Oszacuj realną wartość domu i wyposażenia,
aby otrzymać odpowiednie odszkodowanie
w razie szkody.

Dowiedz się więcej
u **agenta**, w **oddziale**, w **mojePZU**
lub pod numerem **600 600 601**
(Opłata zgodna z taryfą operatora)

Zakładem ubezpieczeń jest PZU SA. Materiał nie stanowi oferty w rozumieniu art. 66 kodeksu cywilnego. Szczegółowe informacje o zakresie ubezpieczenia, w tym o wyłączeniach i ograniczeniach odpowiedzialności, znajdziesz w aktualnych ogólnych warunkach ubezpieczenia PZU Dom dostępnych na pzu.pl, w naszych oddziałach i u naszych agentów. Prezentowane wartości wyposażenia są przykładowe, mają jedynie informacyjny charakter i są każdorazowo określane indywidualnie.

eprasa.pl 05aed3788f

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Buldożer

Aleksander Nalaskowski

Pełznie przez Polskę buldożer Tuska. Niszczy i rozjeżdża wszystko na drodze. Taktyka jest prosta: zniszczyć wszystko, absolutnie wszystko. Zmiażdżyć, przemielić, pokruszyć, poprzewracać, a swoich ludzi zrobić zarządcami gruzowiska.

Jakim trzeba być niegodziwcem, jaką kanalią, aby urodzić w głowie taki plan?! Jak bardzo trzeba mieć umysł zdegenerowany nienawiścią, na jak bardzo gadzim poziomie trzeba mieć emocje, by przyjąć taką strategię? Tusk wychodzi z założenia, że tylko zlikwidowane instytucje lub obsadzone jego małpkami są dlań niegroźne. Jeśli gdzieś wyczuwa zagrożenie, to na wszelki wypadek niszczy wszystko dookoła. Został jeszcze Trybunał Konstytucyjny i prezydent. Ale i z tym sobie poradzi machina zniszczenia. Na Trybunał znajdzie usłużnych profesorów, którzy wymyślą nową interpretację konstytucji. Wobec prezydenta rozpoczął już kampanię ośmieszania i nienawiści. Prezydent ma być wedle Tuska stróżem żyrandola, długopisem Kaczyńskiego. To nic, że fakty temu przeczą, bo Donald Niszczyciel ma fakty za nic. Prezydent podejmuje walkę, ściśle trzymając się litery prawa, tego samego, które Tusk ma w nosie. Posiadł on wyjątkową umiejętność mówienia czegoś innego niż robi. Jakże sponiewierane zostało pojęcie praworządności, jak upokorzony i rzucony w rynsztok został symbol serca, jak bardzo upodlono prawdę.

Aby prawa strona mogła liczyć na sukces, musi się odrodzić w zupełnie nowej postaci, z nowym przywództwem i nową retoryką

Tusk nie może się już cofnąć. Ani pół kroku. Może swoim buldożerem przeć tylko do przodu. Każdy krok w tył to dla niego kryminał. Doskonale o tym wie. A zatem gdy skończy swoją misję zmielenia wszystkiego, co stanowi dorobek ostatnich 30 lat, a zwłaszcza ostatnich 8, zwieje zarabiać bajońskie sumy w Brukseli. Zostawi Polskę, której polityczny i gospodarczy krajobraz będzie jak krajobraz księżycowy. Doskonale o tym wie i bez wątpienia sprawia mu to niezwykłą satysfakcję. Tym większą, im bardziej jesteśmy przerażeni i zrozpaczeni. Nie przejmuje się tym tylko kilka milionów lemingów, odmóżdżonych obywateli, którzy, dziedzicząc postawę socjalistycznego egoizmu, mają gdzieś Polskę jako norwidowski wspólny obowiązek. Dla nich to pojęcie brzmiące po chińsku.

Buldożer ma swoich operatorów. Wyjątkowo złośliwe indywidua w stylu Sienkiewicza, Bodnara, Nitrasa, Kołodziejczaka i paru innych, wśród których nie brakuje amatorów woreczków foliowych ze sproszkowaną „witaminą". Tajemnica publiczna, której nie chce wyjaśniać żaden dziennikarz śledczy?

Co będzie dalej? Nie wiem, ale wiem, że może być coraz gorzej. Za chwilę, już niedługo, wybuchnie tykająca bomba podwyżek cen energii. Wielu z nas gwałtownie zubożeje, wiele niedużych firm splajtuje. Podłość tego planu polega na tym, że podwyżki nastąpią po wyborach do samorządów i Parlamentu Europejskiego. Konfitury zostaną rozdane, a wtedy litr benzyny może kosztować nawet 15 zł. Tuska i jego akolitów to nie obejdzie.

Wielką zagadką jest dla mnie bierność, którą okazujemy wobec coraz zuchwalczych poczynań Tuskowego buldożera. Co z tego, że zebrało się nas onegdaj 300 tys., jeśli nic z tego nie wynikało, niczego to nie zmieniło poza chwilową poprawą naszych nastrojów. Pogróżki, że wiosną znów będziemy maszerować, co najwyżej rozbawiły Tuska, ale zupełnie na niego nie wpłynęły. Wie, że może się obawiać tylko przemocy, faktycznej siły, a nie transparentów i okrzyków. Spokojny, nawet najliczniejszy tłum nie budzi jego obaw.

Buldożer nie tylko miażdży nam teraźniejszość, lecz także przeszłość i przyszłość. Mamy zapomnieć o żołnierzach niezłomnych (*casus* tablicy w ministerstwie środowiska), a Nowacka zadba, by najmłodsi byli półanalfabetami. Jedno i drugie już się dzieje. Buldożer sunie codziennie o krok dalej i dalej. Jeszcze trzyma się kilka konserwatywnych tygodników, a właściwie zdroworozsądkowych, jeszcze nadają TV Republika, TV Trwam, ale już są plany i listy proskrypcyjne, aby je zlikwidować. Może jestem pesymistą, ale mam wrażenie, że dni mediów prawej strony są policzone. Sienkiewicz już nad tym pracuje, a Tusk nie pozwoli mu odpuszczać. Zrobi swoje i też wyjedzie do Brukseli.

Czy to się może zmienić? Może, ale tylko w drodze wyborów. Aby prawa strona mogła liczyć na sukces, musi się odrodzić w zupełnie nowej postaci, z nowym przywództwem i nową retoryką. Tego się nie da zrobić starymi siłami, ze zmęczonym prezesem i przytakującymi mu działaczami. 15 października PiS przegrało wybory, bo było już partią zużytą, mocno wypaloną, przekonaną, że zwycięstwo jest w zasadzie pewne. Wiało drętwotą, która przy niewątpliwej elokwencji Tuska nie mogła dać zwycięstwa. I nie dała. Suweren wybrał operatorów buldożera i mamy, co mamy.

eprasa.pl 05aed3788f

Michał Korsun prezentuje:* *Ile piwa nam nawarzy „przyjaciel" Ursuli von der Leyen?

Wycinki z przeszłości

Równo 100 lat temu „Kalendarz Gebethnera i Wolffa na rok 1914" zamieścił porady na luty.

„Dla ogrodników. W dalszym ciągu oczyszczać drzewa z robactwa, starannie tępiąc gniazda. Ku końcowi miesiąca wykrzesywać drzewa i obcinać suche gałęzie. W piwnicach przebierać owoce i psujące się oddzielić, gdyż po obraniu gospodynie będą miały z nich pożytek. W cieplarniach pędzić kwiaty cebulowe.

Dla myśliwych. Karmić zwierzynę i w dalszym ciągu pamiętać o schroniskach dla niej. Rozpoczynają się łowy na ptactwo przelotne, opadające na bagna. Tępić szkodniki, zwłaszcza lisy. Polowanie na zające kończy się ze schyłkiem miesiąca.

Dla gospodyń. Sprawdzić, czy nie psują się zapasy w spiżarni. Soki fermentujące się przegotowywać, robić likiery z owoców pozostałych po wypitych nalewkach. We dworach po długich wieczorach służbie dawać stosowne zajęcie. Karmić wieprze, przeznaczone na święta Wielkanocne. Zaopatrzyć spiżarnię w marynaty na zbliżający się Wielki Post".

Na zdjęciu: ilustracje z epoki.

(mk)

Na przedwiośniu, z hejnałem...

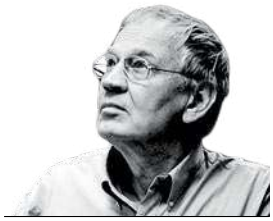

Leszek Długosz

Na przedwiośniu
(W luto-marcu)
Pod zielonym baldachimem leszczyny
— Chwila szczęsna
Przydarzona spośród wszystkich
Co przez niebo ciągną wraz z obłoki
Jedna taka, tu przysłana
— Zaproszenie do sezonu?
Świecie, nie płosz
Ucisz jady złe posoki
Pozimowa chwila jasna
— Zwoje słońca w seledynach
Jakby plaster łagodności
Oczy serce znów owijał
Świecie odpłyń
Schowaj swoje „newsy"
— Wawel, Planty
I leszczyny znów baldachim
Tkliwym wiatrem kołysany
To nie dosyć?
Z przypomnienia, i ta — oto
— Z uładzenia z samym sobą
Chwila jasna...
Na tej ławce przydarzona
Obdarzona nieba gestem
I zmącona już westchnieniem:
„Więc raz jeszcze?
— Ile jeszcze?"
Świecie, nie rań, zgódź się
— Ten raz choćby
— Ktoś by pragnął więcej?
Na przedwiośniu, w luto-marcu
Złota łuska prosto w serce
— Dotyk szczęścia...
Łowco szczęścia pod leszczyną
Z czułym wnykiem przyczajony
— Szczęścia dotyk? — Ktoś powiedział?
— Bez przesady, ot, szczęściątka zadraśnięcie
Chwila, moment...
— Trzebaż więcej?

Zamów prenumeratę! Według nowego cennika

CENNIK PRENUMERATY*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	109 zł	189 zł	349 zł

*Dane do przelewu w stopce redakcyjnej

eprasa.pl 05aed3788f

OD A DO ZYBERTOWICZ

Czyja będzie?

I obecne rządy przeminą. Jaka Polska po nich zostanie? Czy będziemy czuli się w niej gospodarzami?

Dość często Al. Ujazdowskimi przechodzę albo przejeżdżam obok pomnika premiera Jana Olszewskiego. Monument stoi przed Kancelarią Prezesa Rady Ministrów od grudnia 2022 r. Powstał za rządów *dobrej zmiany*. Na cokole widnieje napis: „Czyja będzie Polska...". Dziś, gdy nastały rządy *zmiany złej*, pewnie wielu czytelnikom „Sieci" pytanie to jawi się jak wyrzut sumienia.

I taka oto myśl nawiedziła mnie w południe w środę 7 lutego na Wojskowych Powązkach, gdy składano wieńce w dzień piątej rocznicy śmierci Jana Olszewskiego. Na pomniku nagrobnym widnieje taki sam napis, ale pod nim jest jeszcze znak Polski Walczącej. Może to właśnie za sprawą kotwicy w kształcie litery „P" tak mocno odczułam to pytanie.

A może bardziej chodzi o jego fundamentalną rolę, nie tylko w kontekście, w jakim z ust premiera Olszewskiego padło w 1992 r. – nie tylko na tle burzliwych dziejów naszego kraju i nie tylko w kontekście geopolityki. Ono winno być w tle zarówno codziennego kierowania państwem, jak i budowania strategii na przyszłość. Nawet te najwspanialsze projekty społeczne czy ekonomiczne nie uciekną od swoistego testu prawdy w postaci odpowiedzi na pytanie: kto jutro i w kolejnych dniach, a także latach, dekadach będzie o Polskę dbał, kto będzie za kształt Polski odpowiadał?

Pytania o przyszłość Polski nie można sobie odpuścić.

NOCNA ZMIANA

W nocy z 4 na 5 czerwca 1992 r. Sejm RP przegłosował wotum nieufności wobec rządu Jana Olszewskiego. Szanse na lustrację zostały pogrzebane na dobre kilka lat. PRL nie została ani uczciwie rozliczona, ani osądzona. Doszło do wyprzedawania majątku narodowego, dzikiej prywatyzacji. Za to wystartowały interesy ludzi umocowanych w dawnych strukturach komunistycznych i agenturalnych. Przeciw Olszewskiemu stał ówczesny prezydent Lech Wałęsa (dziś są dostępne dokumenty, dowodzące w sposób jednoznaczny, że Wałęsa był tajnym współpracownikiem SB o pseudonimie „Bolek"). Przeciw Olszewskiemu był także Donald Tusk. „Panowie, policzmy głosy..." – jakże pragmatycznie proponował.

To w tamtym historycznym momencie padły słynne słowa premiera Olszewskiego, że w głosowaniu przeciwko ówczesnemu rządowi „chodziło o to, czyja będzie Polska".

ZŁA ZMIANA

Zła zmiana nastała 13 grudnia 2023 r., gdy niemal w biegu, bo w drodze do Brukseli, Donald Tusk rozpoczął nowe rządy. Tak, *zła*. I to w podwójnym sensie.

Po pierwsze, wielu Polaków dało się uwieść obietnicami „100 konkretów" – przy kompletnym braku całościowej wizji państwa. *De facto* za „konkrety" robią w dużej mierze ogólnikowe frazesy, np.: „zniesiemy limity NFZ w lecznictwie szpitalnym, dzięki czemu znacząco skróci się czas oczekiwania na konsultacje i zabiegi". A niektóre „konkrety", np. dotyczące „babciowego", cen gazu oraz „uwolnienia sądów od politycznych wpływów" występują po dwa razy – to już daje tylko 97 konkretów.

Ale druga kwestia jest poważniejsza. Obecny rząd w imię rozliczeń – często zastępczych – jawnie, za przyzwoleniem niedawnych obrońców „zasad", łamie prawo, w tym konstytucję. Sięga po metody, które muszą pozostawić zły osad na psychice ludzi, dających się sprowadzić do roli brutalnych narzędzi.

CZYJA BĘDZIE POLSKA?

Złożoność współczesnego – globalnego i cyfrowego – świata dotyka także obszarów władzy w poszczególnych państwach. Dziś często trudno w sposób jasny i bezdyskusyjny przypisywać sprawstwo konkretnym osobom, a nawet grupom interesów. Działającym jawnie i niejawnie. Działającym „edukacyjnie" i manipulacyjnie. Krajowym i międzynarodowym.

Suwerenność państwa ogranicza globalizacja i sojusze międzynarodowe. Dziś wyraźniej niż dotąd widać, że pytając: „Czyja Polska?", dotykamy nie tylko gospodarczych uzależnień (wymuszona zielona transformacja), presji kulturowej (wojenki genderowe), manipulacji brukselskich (rozgrywki wokół „praworządności" i finansów), ale przede wszystkim zagrożenia brutalną wojenną agresją.

I obecne rządy przeminą. Jaka Polska po nich zostanie? Czy będziemy czuli się w niej gospodarzami?

Katarzyna Zybertowicz

Autopromocja | Reklama 4/0124/F

eprasa.pl 05aed3788f

NOWA TELEWIZJA

W POLSCE PL

POLITYKA NA DESER

CODZIENNIE O 20:35

Wydarzenia dnia komentują dla Państwa znani i lubiani:

- **Dorota Łosiewicz**
- **Krzysztof Feusette**
- **Stanisław Janecki**

OGLĄDAJ NAS

polsat box (wcześniej Cyfrowy Polsat) — NA POZYCJI **196**

NETIA — NA POZYCJI **192**

orange — NA POZYCJI **32**

vectra — NA POZYCJI **825**

PLAY (dawniej UPC) — NA POZYCJACH **339** dekoder Mediabox, **121** dekodery KAON i Horizon

www.wPolsce.pl

eprasa.pl 05aed3788f

eprasa.pl 05aed3788f